

MISTRZOWIE SF

ARTHUR C. CLARKE

MIASTO



I GWAZDY

accclarke.pl

Arthur C. Clarke

Miasto i gwiazdy

Przełożył: JACEK MANICKI
AMBER

Tytuł oryginału: THE CITY AND THE STARS

Ilustracja na okładce: J. BURNS

Opracowanie graficzne: Studio FOTOTYPE

Redaktor techniczny: ELŻBIETA STEFAŃSKA

Copyright © For the Polish edition

Copyright © 1993 by Wydawnictwo Mizar Sp. z o.o.

Published in cooperation with

Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 83-7082-165-0

Wydawnictwo Mizar Sp. z o.o.

Warszawa 1993. Wydanie I

Skład: Zakład Fototype w Milanówku

Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne

Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

[Rozdział 15](#)

[Rozdział 16](#)

[Rozdział 17](#)

[Rozdział 18](#)

[Rozdział 19](#)

[Rozdział 20](#)

[Rozdział 21](#)

[Rozdział 22](#)

[Rozdział 23](#)

[Rozdział 24](#)

[Rozdział 25](#)

[Rozdział 26](#)

Miasto, niczym skrzący się klejnot, spoczywało na łonie pustyni. Kiedyś zmieniało się i przekształcało, ale teraz Czas je omijał. Noc na przemian z dniem wstawała nad powierzchnią pustyni, ale na ulicach Diaspar trwało wieczne popołudnie, a ciemności nie zapadały tu nigdy. Długie, zimowe noce pokrywały pustynię szronem zamrożonych resztek wilgoci rozrzedzonej atmosfery Ziemi, ale miasto nie znało ani upału, ani chłodu. Nie miało żadnego kontaktu ze światem zewnętrznym; było wszechświatem samo w sobie.

Ludzie budowali kiedyś miasta, nigdy jednak takich jak to. Jedne przetrwały wieki, inne tysiąclecia, zanim Czas zatarł nawet ich nazwy. Tylko Diaspar rzuciło wyzwanie Wieczności osłaniając siebie i wszystko, czemu udzieliło schronienia przed powolnym działaniem wieków, przed spustoszeniem i rozkładem, przed zniszczeniami, jakich dokonywała rdza.

Od czasów powstania miasta wyschły oceany Ziemi i pustynia ogarnęła cały glob. Wiatry i deszcze starły na pył ostatnie góry, a świat był już zbyt znużony, aby wydać z siebie nowe. Miasta to jednak nie wzruszało; mogła rozsypać się w proch cała Ziemia, a Diaspar wciąż będzie chroniło dzieci swych budowniczych, unosząc je i ich skarby z prądem rzeki czasu.

Ludzie dużo zapomnieli, chociaż nie zdawali sobie z tego sprawy. Byli tak idealnie przystosowani do swego środowiska, jak ono przystosowane było do nich — bo i oni, i ono stworzeni zostali dla siebie. Nie obchodziło ich, co znajduje się poza murami miasta; było to coś, co wymazano z ich świadomości. Diaspar było wszystkim, co dla nich istniało, wszystkim, czego potrzebowali, wszystkim, co mogli sobie wyobrazić. Nic nie znaczyło dla nich, że Człowiek panował kiedyś nad gwiazdami.

Czasami jednak odżywały starożytne mity i wtedy, na wspomnienie legendy o Imperium, o czasach, kiedy Diaspar było młode i czerpało swe soki żywotne z kontaktu z wieloma słońcami, ogarniał ich niepokój. Nie chcieli powrotu tamtych dni, bo zadowoleni byli ze swej wiecznej jesieni. Chwała Imperium należała do przeszłości i tam powinna pozostać, ponieważ pamiętali, jaki koniec je spotkał, i na samą myśl o Najeźdźcach przenikał ich do głębi dreszcz samego kosmosu.

Wracali zatem do spokoju i ciepła miasta, do długiego złotego wieku, którego początki zaginęły gdzieś w pomroce dziejów, a którego koniec był jeszcze odleglejszy. O takich czasach marzyli i inni ludzie, ale tylko im dane było ich dożyć.

Mieszkali przecież w tym samym mieście, przechadzali się tymi samymi, cudownie niezmiennymi ulicami, podczas gdy w świecie zewnętrznym przeminęło już ponad tysiąc milionów lat.

Rozdział 1

Wydostanie się z Pieczary Białych Robaków zajęło im wiele godzin. Nawet teraz nie byli całkowicie pewni, czy nie ściga ich jeden z tych bladych potworów — a energia ich broni znajdowała się już niemal na wyczerpaniu. Unoszące się przed nimi w powietrzu świetlne strzałki, będące ich tajemniczymi przewodniczkami przez labirynty Kryształowej Góry, zachęcały wciąż do dalszej wędrówki. Nie mieli innego wyjścia, niż podążać ich śladem, chociaż, jak już wiele razy przedtem, mogły prowadzić ich na spotkanie jeszcze groźniejszego niebezpieczeństwa.

Alvin obejrzał się, aby sprawdzić, czy nikt się nie zgubił. Tuż za nim szła Alystra niosąc kulę zimnego, ale płonącego wiecznie światła, które od samego początku ich przygody wyluskiwało z mroków takie okropności i takie piękno. Blade, białe promieniowanie zalewało wąski korytarz i rozbryzgiwało się na wszystkie strony padając na połyskliwe ściany. Dopóki nie wyczerpie się jego energia, będą widzieli, dokąd idą, i zdołają wykryć wszelkie widzialne niebezpieczeństwa. Ale największe zagrożenie w tych jaskiniach — Alvin wiedział o tym aż nazbyt dobrze — stanowiły wcale nie te widzialne niebezpieczeństwa.

Za Alystra, uginając się pod ciężarem swych projektorów, szli Narillian i Floranus. Dlaczego te projektory są tak ciężkie, przemknęło przez myśl Alwinowi, jeśli tak łatwo można by je wyposażyć w neutralizatory grawitacji? Zawsze zastanawiały go takie szczegóły, nawet w ferworze najbardziej dramatycznych przygód. Gdy nawiedzały go takie myśli, wydawało mu się, że przez mgnienie oka drga w posadach gmach rzeczywistości i poza światem zmysłów dostrzega wtedy inny, całkowicie odmienny wszechświat...

Korytarz kończył się ślełą ścianą. Czyżby strzałka znowu ich oszukała? Nie — na ich oczach skała zaczęła rozsypywać się w pył. Przewiercała się przez nią wirująca metalowa włócznia powiększając się gwałtownie do rozmiarów gigantycznego świdra. Alvin z przyjaciółmi cofnęli się czekając, aż maszyna przebije się do pieczary. Z ogłuszającym metalicznym jazgotem — który z pewnością musiał rozchodzić się echem po wszystkich zakamarkach góry, budząc ze snu całe jej koszmarne plemię! — machina przewierciła ścianę i zatrzymała się tuż przy nich. Otworzyły się masywne drzwi i pojawił się w nich Callistron ponaglając ich krzykiem do pośpiechu. ("Dlaczego Callistron?" — pomyślał Alvin. — "Co on tu robi?"). W chwilę później byli już bezpieczni, a maszyna ruszyła zrywem naprzód rozpoczynając podróż w głąb Ziemi.

Przygoda była skończona. Niedługo, tak jak zawsze, znajdą się w domu i cała cudowność, strach i podniecenie pozostaną poza nimi. Byli zmęczeni i zadowoleni.

Z pochyłości podłogi Alvin zorientował się, że podziemny pojazd kieruje się w dół, do wnętrza ziemi. Callistron wiedział przypuszczalnie, co robi, i była to droga, która z pewnością zaprowadzi ich do domu. Jednak to chyba szkoda...

— Callistronie — odezwał się nagle Alvin — dlaczego nie posuwamy się w górę? Nikt nie wie, jak naprawdę wygląda Kryształowa Góra. Może byśmy tak przebili się na powierzchnię gdzieś na jej zboczu, żeby zobaczyć niebo i całą otaczającą ją krainę. Już wystarczająco długo przebywamy pod ziemią.

Mówiąc jeszcze te słowa, zorientował się, że popełnił gafę. Alystra wydała zduszony okrzyk, wnętrze podziemnej łodzi zafalowało, jak oglądany pod wodą obraz, i przez jej metalowe ściany Alvin zobaczył znowu na mgnienie oka inny świat. Te dwa światy zdawały się ścierać ze sobą.

Najpierw górę brał jeden, potem drugi. I nagle było po wszystkim. Nastąpiło uczucie pęknięcia, rozdzierania... i sen się skończył. Alvin był z powrotem w Diaspar, w swym własnym znajomym

pokoju, i unosił się w powietrzu na stopę czy dwie nad podłogą, chroniony przez pole grawitacyjne przed bolesnym kontaktem z twardą materią.

Był znowu sam. To była rzeczywistość i wiedział dokładnie, co się za chwilę wydarzy.

Pierwsza pojawiła się Alystra. Była bardziej zmartwiona niż rozżłoszczona, gdyż bardzo kochała Alvina.

— Och, Alvinie! — żaliła się, patrząc na niego ze ściany, na której się zmateriałizowała. — To była tak podniecająca przygoda! Dlaczego musiałeś ją popsuć?

— Przepraszam. Nie chciałem... Wydawało mi się, że to dobry pomysł...

Przerwało mu jednoczesne pojawienie się Callistrona i Floranusa.

— Słuchaj no, Alvin — zaczął Callistron. — Już trzeci raz przerywasz Sageę. Wczoraj zburzyłeś sekwencję chcąc wspiąć się na górę w Dolinie Tęczy, a przedwczoraj popsudeś wszystko usiłując cofnąć się do Punktu Początkowego w strumieniu czasu, który badaliśmy. Jeśli nie zaczniesz przestrzegać reguł gry, będziesz musiał chodzić sam.

Znikł rozwścieczony pociągając za sobą Floranusa. Narillian wcale się nie zjawił; miał prawdopodobnie powyżej uszu całej tej historii. Na ścianie pozostał tylko obraz Alystry, spoglądającej smutnie z góry na Alvina.

Alvin przechylił pole grawitacyjne, wstał i podszedł do zmateriałizowanego przez siebie stołu. Na blacie pojawiła się misa pełna egzotycznych owoców — nie było to pożywienie, jakiego oczekiwał, ale w ogarniającym go zakłopotaniu nie potrafił się skupić. Nie chcąc przyznać się do błędu, wziął najmniej niebezpiecznie wyglądający z owoców i zaczął go ostrożnie ssać.

— No więc — odezwała się w końcu Alystra — co teraz zamierzasz?

— Nic na to nie mogę poradzić — odparł Alvin nieco nadąsany. — Uważam, że reguły są głupie. Poza tym, jak mam je pamiętać, kiedy przeżywam Sageę? Zachowuję się w sposób, który wydaje mi się naturalny. A ty nie chciałaś zobaczyć góry?

Oczy Alystry rozszerzyły się w przerażeniu.

— To oznaczałoby wyjście na zewnątrz! — wykrztusiła.

Alvin wiedział, że przeciąganie tej rozmowy jest bezcelowe. To tu właśnie wznosiła się bariera, oddzielająca go od wszystkich ludzi jego świata, co mogło go skazać na życie w ciągłej frustracji. Zawsze — zarówno w rzeczywistości, jak i w marzeniach — pragnął wydostać się na zewnątrz. Jednak to "na zewnątrz" było dla wszystkich w Diaspar koszmarem, któremu nie byli w stanie stawić czoła. Jeśli można było tego uniknąć, nie mówili nawet o tym; było to w ich odczuciu coś nieczystego i diabelskiego. Nawet Jeserac, jego nauczyciel, nie potrafił wyjaśnić mu dlaczego...

Alystra wciąż patrzyła nań zasmuconym, ale czułym wzrokiem.

— Jesteś nieszczęśliwy, Alvinie — odezwała się po pewnej chwili. — Nikt w Diaspar nie powinien być nieszczęśliwy. Pozwól mi przyjść. Porozmawiamy.

Alvin pokręcił nieelegancko głową. Wiedział, czym by się to skończyło, a teraz właśnie pragnął być sam. Alystra, podwójnie rozczarowana, znikła rozpluwając się w powietrzu.

W mieście, w którym żyło dziesięć milionów istot ludzkich, nie było nikogo, z kim mógłby szczerze porozmawiać. Eriston i Etania lubili go nawet na swój sposób, ale teraz, kiedy minął już okres opiekuńczy, byli chyba szczęśliwi opuszczając go, aby sam kształtował swoje rozrywki i życie. Przez ostatnie kilka lat, kiedy jego odchylenie od standardowego wzorca stawało się coraz bardziej oczywiste, wyczuwał często zatroskanie swych rodziców, graniczące ze złością. Nie na niego, ale na pech, że z tylu milionów mieszkańców miasta właśnie oni zostali wybrani, aby go powitać, gdy dwadzieścia lat temu wychodził z Sali Tworzenia.

Dwadzieścia lat. Pamiętał swe pierwsze chwile i słowa, które wtedy usłyszał:

— Witaj, Alwinie. Jestem Eriston, wyznaczony ci na ojca, a to Etania, twoja matka. — Te słowa nic wtedy nie znaczyły, ale jego mózg zarejestrował je z bezbłędną wiernością. Pamiętał, jak spojrział wtedy w dół, na swe ciało; było teraz o cal czy dwa wyższe, ale poza tym mało się zmieniło od dnia narodzin. Przyszedł na świat niemal dorosły i niewiele się zmienił, nie licząc wzrostu, gdy za tysiąc lat nadejdzie czas, aby odejść.

Przed tym pierwszym wspomnieniem nie było nic. Pewnego dnia, być może, znowu przyjdzie nicość, ale ta myśl była zbyt odległa, aby wywołać w nim jakiegokolwiek uczucia.

Jeszcze raz wrócił myślami do tajemnicy swych narodzin. Alvina nie dziwiło, że mógł być stworzony w jednej chwili przez moce i siły, które materializowały wszelkie przedmioty otaczające go w codziennym życiu. Nie, to nie to było tajemnicą. Zagadką, której nie potrafił dotąd rozwikłać i której nikt nigdy mu nie wyjaśnił, była jego odmienność.

Odmieniec. Dziwaczne, smutne słowo. Smutno i dziwacznie było kimś takim być. Kiedy określano go tym przydomkiem — co robiono często, gdy sądzono, że tego nie słyszy — wydawało mu się, że wyczuwa w nim jakieś ukryte, złowieszcze znaczenie, które zagraża nie tylko jego szczęściu.

Rodzice, nauczyciel, wszyscy starali się ukryć przed nim prawdę, usiłując chyba ocalić w ten sposób beztroskę jego dzieciństwa. Pozory szybko znajdują swój kres; za kilka dni będzie dojrzałym obywatelem Diaspar i nic, czego zapragnie się dowiedzieć, nie będzie mogło być przed nim ukrywane.

Dlaczego, na przykład, nie nadawał się do wspólnego przeżywania Sag? Z tysięcy form rozrywek dostępnych w mieście były one najpopularniejsze. Biorąc udział w Sadze nie było się jedynie pasywnym obserwatorem, jak miało to miejsce w prymitywnych widowiskach z zamierzchłych czasów. Było się aktywnym ich uczestnikiem, kierującym się — tak się przynajmniej wydawało — własną wolą. Zdarzenia i sceneria przeżywanych przygód były wcześniej wyreżyserowane przez zapomnianych już artystów, ale pozostawili oni wystarczająco dużo swobody dla inwencji uczestników. Można więc było udawać się w te widmowe światy z przyjaciółmi w poszukiwaniu wrażeń, które były nie do pomyślenia w Diaspar, i tak długo, jak długo trwał sen, nie sposób było odróżnić go od rzeczywistości. A zresztą, któż mógł mieć pewność, że samo Diaspar nie było takim snem?

Nikt do tej pory nie zdołał wykorzystać wszystkich Sag, ułożonych i zarejestrowanych od początku istnienia miasta. Oddziaływały one na wszystkie emocje i odznaczały się nieskończone różnorodną subtelnością. Jedne, popularne zwłaszcza wśród ludzi bardzo młodych, stanowiły nieskomplikowane teatry przygody i łatwych do rozwikłania intryg. Inne sprowadzały się po prostu do badania stanów psychicznych, jeszcze inne były ćwiczeniami w logice i matematyce i dostarczały najwyższej rozkoszy bardziej wyrafinowanym umysłom.

Chociaż Sagi zdawały się zadowalać jego towarzyszy, to Alwinowi pozostawało po nich uczucie nieokreślonego niedosytu. Pomimo całej barwności wywoływanego przez nie podniecenia, mimo zmieniających się, jak w kalejdoskopie, scenerii i tematów, czegoś mu w nich brakowało.

Sagi — zdecydował — nigdzie w rzeczywistości nie przenoszą. Osnute są zawsze na tak wąskiej kanwie. Nie ma w nich wielkiej wiedzy, żadnego z rozległych krajobrazów, do jakich tęskniła jego dusza. A przede wszystkim, nie ma w nich nigdy cienia bezmiar, w którym naprawdę miały miejsce bohaterskie wyczyny starożytnego człowieka — świetlistej pustki pomiędzy gwiazdami i planetami. Artyści, którzy układali Sagi, byli zarażeni tą samą dziwną fobią, jaka była udziałem wszystkich mieszkańców Diaspar. Nawet te ich zastępcze przygody musiały rozgrywać się za zamkniętymi drzwiami, w podziemnych grotach albo w kształtnych małych dolinkach, otoczonych ze wszystkich stron wysokimi górami odcinającymi je od reszty świata.

Istniało tylko jedno wyjaśnienie tego stanu rzeczy. Dawno temu, może zanim jeszcze położono kamień węgielny pod fundamenty Diaspar, wydarzyło się coś, co nie tylko zniszczyło ciekawość i ambicję Człowieka, ale też zepchnęło go z gwiazd z powrotem do domu, aby kulił się tu, szukając schronienia w małym, zamkniętym światku ostatniego istniejącego miasta na Ziemi. Człowiek wyrzekł się wszechświata i powrócił do sztucznego łona Diaspar. Pałacy, niepohamowany pęd, który pchał go niegdyś ku granicom Galaktyki i ku mglistym wyspom poza nią, zamarł. Od niezliczonych eonów żaden statek nie wleciał do Układu Słonecznego. Gdzieś tam, pośród gwiazd, potomkowie Człowieka mogli nadal budować Imperia i niszczyć słońca — Ziemia ani o tym nie wiedziała, ani jej to nie interesowało. Ziemi — nie. Ale interesowało Alvina.

Rozdział 2

W pokoju było ciemno. Jarzyła się tylko jedna ściana, na której pod wpływem snuty przez Alvina marzeń pojawiały się i gasły fale barw. Cześć kompozycji zadowalała go; zakochał się w konturach niebotycznych gór wynurzających się z morza. W tych stromych zarysach tkwiła jakaś duma i potęga; przyglądał im się przez dłuższy czas, po czym wprowadził je do jednostki pamięci wizualizera, gdzie zostaną przechowane na czas, gdy będzie eksperymentował z resztą obrazu. Coś mu się wymykało, chociaż nie wiedział co. Wielokrotnie próbował zapełnić puste obszary odczytywanymi i materializowanymi na ścianie przez urządzenie pomysłami przesuwającymi mu się przez mózg. Nic mu nie wychodziło. Linie były drżące i niepewne, kolory brudne i matowe. Jeśli artysta nie wie, czego chce, nawet najcudowniejsze narzędzia w tym go nie wyręcą. Alvin skasował swoje nieudolne gryzmoły i gapił się posepnie na nie zapełniony w trzech czwartych prostokąt, który usiłował ożywić pięknem. Tknięty nagłym impulsem, podwoił wymiary istniejącej kompozycji i przesunął ją na środek. Nie — to nie było rozwiązanie. Wyważenie całości szwankowało. Gorzej — powiększenie ujawniło nowe defekty. Brak było pewności w tych, na pierwszy rzut oka, śmiałych liniach. Trzeba zacząć wszystko od początku.

— Całkowite wymazanie — polecił maszynie. Błękit morza zbladł, góry rozplynęły się jak mgła i w końcu pozostała tylko pusta ściana. Tak jak gdyby w ogóle ich nie było — jak gdyby zapadły się w otchłań zapomnienia, która pochłonęła wszystkie morza i góry Ziemi na wieki przed narodzinami Alvina.

Światło zaczęło z powrotem zalewać pokój i jasny prostokąt, na którym Alvin wyświetlał swe marzenia, zlewał się z wolna z otoczeniem, by po chwili upodobnić się do pozostałych ścian. Ale czy to były ściany? Dla kogoś, kto by znalazł się tu po raz pierwszy, pokój wydawałby się osobliwy. Nie stał w nim ani jeden mebel, przez co odnosiło się wrażenie, że Alvin unosi się w środku kuli. Nie widać było żadnych linii załamania płaszczyzn w miejscach, gdzie ściany przechodziły w sufit i podłogę. Nie było w nim niczego, na czym mogłoby oprzeć się oko; otaczająca Alvina przestrzeń mogła mieć równie dobrze dziesięć stóp, jak i dziesięć mil średnicy. Tyle tylko można było stwierdzić posługując się zmysłem wzroku. Trudno było oprzeć się pokusie ruszenia przed siebie z wyciągniętymi rękoma, celem odkrycia fizycznych granic tego niezwykłego pomieszczenia.

Takie jednak pokoje były "domem" większości przedstawicieli rasy ludzkiej przez większą część jej dziejów. Alwinowi wystarczyło tylko sformułować odpowiednią myśl i ściany staną się oknami wychodzącymi na tę część miasta, którą by chciał oglądać. Następne życzenie, i maszyny, których nigdy nie widział, zapełnią pomieszczenie wszelkimi sprzętami, jakich w danej chwili potrzebował. Fakt, czy były one "prawdziwe", czy nie, interesował w ciągu ostatniego miliarda lat kilku zaledwie ludzi. Pewnie były one nie mniej rzeczywiste niż cały świat materialny, ale kiedy przestawały być potrzebne, można je było zwrócić widmowemu światu banków pamięci miasta. Jak wszystko w Diaspar, nigdy się one nie zużyją i nie zmienią nigdy, o ile rozmyślnym aktem woli nie zostaną skasowane ich przechowywane tam matryce.

Alvin zrekonstruował już częściowo swój pokój, gdy w uszach rozbrzmiał mu natarczywy dźwięk dzwonka. Wysłał w odpowiedzi sformułowany w myśli sygnał i ściana, na której przed chwilą tworzył, rozplynęła się po raz wtóry.

Jak się tego spodziewał, stali tam jego rodzice z Jeserakiem. Obecność nauczyciela świadczyła o tym, że nie jest to zwykłe spotkanie rodzinne.

Złudzenie ich obecności było doskonałe. W rzeczywistości, czego Alvin był zupełnie świadom, Eriston, Etania i Jeserac oddaleni byli o mile, ponieważ budowniczości miasta tak samo pokonali

przestrzeń, jak ujarzmili czas. Alvin nie wiedział nawet na pewno, gdzie, pośród labiryntów Diaspar, mieszkają jego rodzice, gdyż przeprowadzili się po jego odejściu.

— Alvinie — zaczął Eriston. — Minęło już dwadzieścia lat od chwili, gdy wraz z twoją matką spotkaliśmy ciebie po raz pierwszy. Wiesz, co to oznacza. Nasza opieka nad tobą już się skończyła i możesz teraz robić, co chcesz.

W głosie Eristona dawał się wyczuć ślad, ale tylko ślad, smutku. Znacznie więcej było w nim ulgi, jak gdyby Eriston był zadowolony, że stan rzeczy, jaki istniał od pewnego czasu, został wreszcie prawnie zalegalizowany. Alvin cieszył się wolnością od paru dobrych lat.

— Rozumiem — odparł. — Dziękuję wam za opiekę i zapewniam, że będę o was pamiętał we wszystkich moich wcieleniach. — Była to formalna odpowiedź; słyszał ją już tyle razy, że wypłukało to ją z wszelkiego znaczenia. Jednak gdyby się nad nią zastanowić, to stwierdzenie "we wszystkich moich wcieleniach" było dziwną formułą. Alvin wiedział mgliście, co to znaczy; teraz jednak nadszedł czas, aby dowiedział się tego dokładnie. W Diaspar istniało wiele rzeczy, których nie rozumiał i których musiał się nauczyć w nadchodzących wiekach.

Przez chwilę wydawało mu się, że Etania też chce coś powiedzieć. Podniosła rękę, potem ją opuściła. Spojrzała bezradnie na Jeseraca i wtedy po raz pierwszy Alvin zdał sobie sprawę, że rodzice martwią się o niego. Przebiegł szybko pamięcią wypadki ostatnich tygodni. Nie, nie wydarzyło się ostatnio nic, co mogło tłumaczyć tę ledwie zauważalną niepewność, tę atmosferę niepokoju, która zdawała się otaczać Eristona i Etanie.

Jeserac zdawał się jednak panować nad sytuacją. Rzucił Eristonowi i Etanii pytające spojrzenie, upewnił się, że nie mają nic do dodania, i rozpoczął mowę, na której wygłoszenie czekał od wielu lat.

— Alvinie — zaczął — przez dwadzieścia lat byłeś moim uczniem i zrobiłem, co w mojej mocy, aby zapoznać cię z obyczajami panującymi w mieście i doprowadzić do tego dnia. Zadawałeś mi wiele pytań i nie na wszystkie potrafiłem udzielić ci odpowiedzi. Nie byłeś jeszcze gotów na dowiedzenie się o pewnych sprawach, a niektórych rzeczy sam nie wiedziałem. Twój okres niemowlęcy już się skończył, ale twoje dzieciństwo dopiero się zaczyna. Moim obowiązkiem jest nadal służyć ci radą, kiedy tylko będziesz jej potrzebował. Za dwieście lat, Alvinie, będziesz więcej wiedział o tym mieście i o jego historii. Ale nawet ja, który znajduję się u schyłku swego życia, nie widziałem nawet czwartej części Diaspar i nawet tysięcznej części jego bogactw.

Jak dotąd Jeserac nie mówił nic nowego, nie wypadało go jednak ponaglać. Starzec patrzył na Alvina poprzez przepaść wieków, jego słowa tchnęły nie dającą się ocenić mądrością, nabytą wskutek długiego kontaktu z ludźmi i maszynami.

— Powiedz mi, Alvinie — ciągnął Jeserac — czy zadawałeś sobie kiedykolwiek pytanie, co się z tobą działo, zanim się narodziłeś, zanim stwierdziłeś, że stoisz przed Eristonem i Etanią w Sali Tworzenia?

— Sądzę, że mnie przedtem nie było — że stanowiłem matrycę w mózgu miasta, czekając na odtworzenie... coś w tym rodzaju.

Obok Alvina zamajaczyło i zmaterializowało się niskie łóżko. Usiadł na nim i oczekiwał dalszych słów Jeseraca.

— Masz, oczywiście, rację — powiedział Jeserac. — Ale to jedynie część prawdy... bardzo mała część. Do tej pory przestawałeś jedynie ze swoimi rówieśnikami, a oni nie znają prawdy. Oni niedługo sobie ją przypomną, ale nie ty. Musimy więc przygotować cię na spojrzenie w oczy faktom.

Rasa ludzka, Alvinie, żyje w tym mieście od ponad tysiąca milionów lat. Był to nasz świat, od kiedy upadło Imperium Galaktyczne i Najeźdźcy powrócili do gwiazd. Poza murami Diaspar nie ma

nic oprócz pustyni, jak głoszą nasze legendy.

Mało wiemy o swoich prymitywnych przodkach poza tym, że byli istotami żyjącymi bardzo krótko i że potrafili, chociaż może się to wydawać bardzo dziwne, reprodukować się bez pomocy jednostek pamięci czy organizatorów materii. W jakimś skomplikowanym i na pewno nie kontrolowanym procesie podstawowe matryce każdej istoty ludzkiej przechowywane były w mikroskopijnych strukturach komórkowych, formujących się we wnętrzu organizmu. Jeśli cię to zainteresuje, więcej informacji na ten temat mogą udzielić biologowie, ale metoda ta nie ma już żadnego zastosowania, ponieważ zaniechano jej u zarania dziejów.

Istota ludzka, jak każdy inny obiekt materialny, definiowana jest przez swą strukturę — swoją matrycę. Matryca człowieka, a tym bardziej ta jej część, która zawiera w sobie informację o mózgu, jest niebywale skomplikowana. Pomimo to Natura potrafiła upakować tę matrycę w maleńkiej komórce — zbyt małej, aby można ją dostrzec gołym okiem.

Co potrafi Natura, potrafi również Człowiek. Nie wiemy, ile czasu pochłonęło rozwiązanie tego problemu. Może milion lat, ale cóż to znaczy? W końcu przodkowie nasi nauczyli się analizować i przechowywać informacje, które mogą zdefiniować i opisać istotę ludzką, oraz wykorzystywać te informacje do odtworzenia oryginału, tak jak ty odtworzyłeś przed chwilą ten tapczan.

Wiem, Alvinie, że interesują cię te sprawy, ale nie potrafię ci powiedzieć, jak to jest robione. Sposób przechowywania tych informacji nie ma tutaj żadnego znaczenia. Może ona przyjmować postać słów spisanych na papierze, zmiennych pól magnetycznych lub matryc utworzonych z ładunków elektrycznych. Ludzie korzystali z wszystkich tych metod przechowywania informacji i z wielu jeszcze innych. Wystarczy powiedzieć, że dawno temu stali się oni zdolni do przechowywania samych siebie lub żeby być bardziej precyzyjnym, odcieleśnionych matryc, z których można ich z powrotem powołać do istnienia.

Tyle już wiesz. To jest sposób, w który nasi przodkowie dali nam potencjalną nieśmiertelność, unikając przy tym problemów związanych z abolicją śmierci. Tysiąc lat w jednym ciele to wystarczająco długo dla każdego człowieka; pod koniec tego okresu jego mózg zapchany jest wspomnieniami, a on pragnie tylko odpoczynku — lub nowego poczęcia.

Wkrótce, Alvinie, gotów będę do opuszczenia tego życia. Muszę sięgnąć pamięcią wstecz, zrehabilitować moje wspomnienia i skasować te, których nie chcę zachować. Potem wejdę do Sali Tworzenia, ale przez drzwi, których ty nigdy nie widziałeś. To stare ciało przestanie istnieć, przestanie istnieć świadomość. Z Jeseraca nie pozostanie nic prócz galaktyki elektronów zastygłych w sercu kryształu.

Zasnę, Alvinie, i to zasnę bez snów. Potem, pewnego dnia, może za sto tysięcy lat, obudzę się w nowym ciele i spotkam tych, którzy zostaną wybrani na moich opiekunów. Będą się mną opiekować tak, jak Eriston i Etania opiekowali się tobą, ponieważ zrazu nie będę wiedział nic o Diaspar i nie będę miał żadnych wspomnień o tym, kim byłem. Wspomnienia te powrócą z wolna pod koniec mojego okresu niemowlęctwa i na ich fundamencie budować zacznę swój nowy cykl egzystencji.

Taki jest szablon naszych wcieleń, Alvinie. Wszyscy byliśmy już tutaj wiele, wiele razy przedtem, chociaż obecna populacja nie powtórzy się już nigdy, ponieważ długość naszych okresów nieistnienia zmienia się zgodnie z prawami przypadku. Nowy Jeserac będzie miał nowych i innych przyjaciół i zainteresowania, ale stary Jeserac — tyle z niego, ile zechcę ocalić — będzie istniał nadal.

To jeszcze nie wszystko. W Diaspar żyje i spaceruje po jego ulicach tylko jedna setna jego mieszkańców. Ogromna większość drzemie w bankach pamięci czekając na sygnał, który ponownie powoła ich do istnienia. W ten sposób zachowujemy ciągłość, zapewniając jednocześnie zmianę, cieszymy się nieśmiertelnością nie popadając w stagnację.

Wiem, nad czym się teraz zastanawiasz, Alvinie. Chcesz wiedzieć, kiedy odzyskasz pamięć o swoich wcześniejszych wcieleniach, tak jak odzyskują ją już twoi towarzysze.

Ty nie masz takich wspomnień, bo jesteś Odmieńcem. Staraliśmy się ukrywać przed tobą ten fakt, na ile to było możliwe, aby na twoim dzieciństwie nie kładł się żaden cień — chociaż wydaje mi się, że już częściowo domyślasz się prawdy. Jeszcze pięć lat temu sami niczego nie podejrzewaliśmy, teraz nie ma już żadnych wątpliwości.

Swoją osobą, Alvinie, stanowisz coś, co w całym okresie istnienia Diaspar zdarzyło się kilka zaledwie razy. Być może spoczywałeś uśpiony w bankach pamięci przez wszystkie te wieki, a może zostałeś stworzony w wyniku jakiejś permutacji losowej dopiero dwadzieścia lat temu. Twoje pojawienie się mogło zostać zaplanowane na samym początku przez budowniczych miasta, a równie dobrze może ono być dziełem przypadku.

Nie wiemy tego. Wiadomo nam tylko, że ty, Alvinie, jako jedyny spośród rasy ludzkiej, nigdy przedtem nie żyłeś. Jesteś pierwszym od co najmniej dziesięciu milionów lat dzieckiem urodzonym na Ziemi w dosłownym tego słowa znaczeniu.

Rozdział 3

Po zniknięciu Jeseraca i rodziców Alvin leżał przez dłuższy czas nieruchomo, starając się nie myśleć o niczym. Zamknął pokój wokół siebie, aby nikt nie mógł wyrwać go z transu.

Nie spał; sen był czymś, czego nigdy nie doświadczył, bo sen właściwy był światu dnia i nocy, a tutaj istniał tylko dzień. Mógł co najwyżej popaść w stan nieświadomości i chociaż nie było mu to naprawdę potrzebne, wiedział, że w ten sposób łatwiej uporządkuje swoje myśli.

Niewiele nowego się dowiedział. Już wcześniej domyślał się wszystkiego, co powiedział mu Jeserac. Ale czym innym były domysły, a czym innym pewność, którą teraz miał.

W jaki sposób wpłynie to na jego życie, o ile w ogóle wpłynie? Nie był tego pewien, a niepewność była dla Alvina nowym uczuciem. Być może niczego to nie zmieni. Jeśli teraz nie przystosuje się całkowicie do warunków panujących w Diaspar, zrobi to w następnym życiu... lub jeszcze w następnym..

Mózg Alvina odrzucał jednak tę myśl już w trakcie jej formułowania. Diaspar mogło zaspokajać potrzeby reszty ludzkości, ale jemu ono nie wystarczało. Nie wątpił, że można było przeżyć tysiąc wcieleń i nie wyczerpać wszystkich cudów miasta, nie zakosztować wszystkich doświadczeń, których mogło ono dostarczyć.

Ale w takim przypadku istniał jeden problem, któremu trzeba było spojrzeć w oczy. Co jeszcze można było poza tym robić?

To pozostające bez odpowiedzi pytanie wyrwało go z zadumy. Nie potrafił siedzieć beczynn timer targany takimi rozterkami, a w mieście istniało tylko jedno miejsce, w którym mógł znaleźć spokój ducha.

Część ściany, w miejscu, w którym ją przekroczył wychodząc na korytarz, zamigotała i przestała istnieć, a jej molekuły owiały mu twarz leciutkim wietrzykiem, stawiając opór zakłócającemu ich spokój ciała. Istniało wiele sposobów przenoszenia się z miejsca na miejsce, ale wybrał spacer. Jego mieszkanie znajdowało się tuż przy głównym poziomie miasta. Krótki pasaż zawiódł go do spiralnej rampy prowadzącej w dół, na ulicę. Nie skorzystał z ruchomej drogi i ruszył pieszo stacjonarnym chodnikiem; było to dość ekscentryczne, ponieważ od celu dzieliło go kilka mil, ale Alvin lubił się czasem przejść, gdyż spacer wyostrzał mu umysł, a poza tym miał przed sobą całą wieczność.

Wszystkie drogi, zarówno ruchome, jak i stacjonarne, zbiegały się w Parku stanowiącym zielone serce miasta. Tutaj, na obszarze w kształcie koła o średnicy trzech mil, znajdowało się wspomnienie tego, czym była niegdyś Ziemia, zanim pustynia pochłonęła wszystko oprócz Diaspar. Obrzeże tego wielkiego koła stanowił szeroki pas trawy, za nim rosły niskie drzewka, które w miarę posuwania się ku środkowi Parku stawały się coraz wyższe. Jednocześnie teren opadał łagodnie i kiedy wychodziło się na skraj tego wąskiego lasu, za parawanem drzew znikają wszystkie ślady istnienia miasta.

Szeroki strumień przepływający teraz przed Alvinem nazywano po prostu Rzeką. Nie nosił i nie potrzebował innej nazwy. Jego brzegi łączyły liczne, przerzucone w niewielkich odstępach, wąskie mostki. Strumień opływał Park, zataczając pełne koło i tworząc od czasu do czasu na swej drodze małe laguny. To, że mógł po przebyciu niecałych sześciu mil powrócić w to samo miejsce, nigdy nie dziwiło Alvina; nie zastanawiało go również to, że na niektórych odcinkach swego biegu płynął pod górę. W Diaspar zdarzały się daleko dziwniejsze rzeczy.

W jednej z małych lagun kąpało się kilkoro młodych ludzi i Alvin przystanął, aby się im przyjrzeć. Wielu znał, jeśli nie z nazwiska, to z widzenia, i przez chwilę korciło go, aby się do nich przyłączyć, ale tajemnica, którą dźwigał, odwiodła go od tego i porzesał na roli widza.

Nie sposób było stwierdzić, który z tych młodych obywateli wyszedł z Sali Tworzenia tego roku, a

który żył w Diaspar już tak długo jak Alvin. Chociaż występowały różnice we wzroście i wadze, to nie miały one żadnego związku z wiekiem. Tacy się po prostu ludzie rodzili i chociaż statystycznie osoby starsze były nieco wyższe, to nie stanowiło to niezawodnej reguły, którą bez kilkusetletniego doświadczenia można by stosować do każdego.

Alvin pozostawił swoich rozbawionych rówieśników i ruszył dalej w kierunku centrum Parku. Szedł wytyczoną ścieżką, jakich wiele przebiegało, krzyżując się, wśród niskich zarośli, to znów opadając w wąskie wąwozy utworzone z wielkich, porośniętych mchem głazów. Natknął się po drodze na małą, wielościenną maszynę, nie większą od głowy człowieka, która unosiła się wśród gałęzi drzewa. Nikt się nie orientował, ile odmian robotów znajdowało się w Diaspar; schodziły człowiekowi z drogi i tak spełniały swoje obowiązki, że ujrzenie któregoś z nich było czymś niezwykle.

Teren zaczął się znów podnosić; Alvin zbliżał się do niewysokiego wzgórza wznoszącego się w samym środku Parku, a zatem i miasta. Mniej tu było przeszkód terenowych i krętych ścieżek, widział więc dobrze szczyt wzgórza i wieńczący go prosty budynek. Zadyszał się trochę, zanim dotarł do celu, z przyjemnością więc oparł się o jedną z różowych kolumn i spojrzął za siebie, na drogę, którą tu przyszedł.

Istnieje pewna liczba form architektonicznych, które nie mogą się już zmienić, ponieważ osiągnęły doskonałość. Grobowiec Yarłana Zeya mógł równie dobrze zostać wzniesiony przez budowniczych świątyń pierwszych cywilizacji, jakie znał człowiek, chociaż te nie mogły sobie nawet wyobrazić materiału, z jakiego go zbudowano. Budynek nie miał dachu, a jego pojedynczą komorę wyłożono wielkimi płytami, które tylko na pierwszy rzut oka przypominały naturalny kamień. Stopy ludzkie przez wieki przemierzały tam i z powrotem tę posadzkę, nie pozostawiając na niej najmniejszego śladu.

Twórca wielkiego Parku — budowniczy, jak twierdzili niektórzy, samego Diaspar — siedział z oczyma spuszczone w dół, przyglądając się jak gdyby rozłożonym na kolanach planom. Na jego twarzy gościł ten osobliwie nieuchwytny uśmiech, który przez tyle pokoleń intrygował świat. Niekórzy twierdzili, że to nic innego, jak tylko kaprys artysty rzeźbiarza, ale inni przekonani byli, że Yarłan Zey uśmiecha się na myśl o jakimś tajemniczym żarcie.

Cały ten budynek był zagadką, gdyż w kronikach dziejów miasta nie można się było doszukać żadnej o nim wzmianki. Alvin nie bardzo nawet wiedział, co oznacza słowo "grobowiec". Jeserac potrafiłby mu je prawdopodobnie wyjaśnić, ponieważ znany był z kolekcjonowania starych, zapomnianych słów, którymi szpikował później swoje wypowiedzi ku zmieszaniu słuchaczy.

Z tego centralnego punktu obserwacyjnego Alvin miał dobry widok na cały Park i, ponad przesłaniającymi je drzewami, na samo miasto. Najbliższe budynki oddalone były o prawie dwie mile i tworzyły niskie pasmo okalające cały Park; za nimi, szereg za szeregiem, coraz wyższe i wyższe, wznosiły się wieże i tarasy tworzące główną bryłę miasta. Ciągnęły się milami wspinając powoli ku niebu, coraz bardziej złożone i monumentalne. Diaspar zaplanowano jako jedność; stanowiło ono pojedynczą, potężną maszynę. Ale chociaż jego panorama była w swym ogromie przytłaczająca, to stanowiła zaledwie cień ukrytych cudów techniki, bez których wszystkie te wielkie budynki byłyby pozbawionymi życia grobowcami.

Alvin patrzył w zadumie w stronę granic tego świata. Dziesięć, dwadzieścia mil stąd majaczyły w oddali zewnętrzne obwałowania miasta, na których zdawało się spoczywać sklepienie niebieskie. Za nimi nie było już nic, zupełnie nic, oprócz przerażającej pustyni, na której człowiek szybko by oszalał.

Dlaczego więc ta pustka go wzywała, jak nikogo ze znanych mu osób? Nie wiedział. Patrzył w dal

na kolorowe iglice i blanki otaczające całe teraz dominium ludzkości, jakby tam właśnie spodziewał się znaleźć odpowiedź na swe pytanie.

Nie znalazł jej. Ale w tym właśnie momencie, gdy jego serce tęskniło za nieosiągalnym, podjął decyzję.

Wiedział teraz, co zrobi ze swym życiem.

Rozdział 4

Jeserac nie pomógł mu wiele, chociaż nie okazał takiej niechęci do współpracy, jakiej się Alvin po nim spodziewał. W jego długiej karierze nauczyciela zadawano mu już takie pytania i nie sądził, aby nawet taki Odmieniec, jak Alvin, mógł go zaskoczyć lub postawić przed problemem, którego nie będzie w stanie rozwiązać.

Prawdą było, że Alvin zaczyna wykazywać pewne odchylenia w zachowaniu, które, być może, będą wymagały korekcji. Nie włączał się, jak powinien, w niebywale skomplikowane życie społeczne miasta ani w światy fantazji swych rówieśników. Nie objawiał większego zainteresowania wyższymi formami rozrywek umysłowych, chociaż w jego wieku nie było to takie dziwne. Bardziej zastanawiał jego nietypowy stosunek do płci odmiennej; nie należało się spodziewać, że stworzy z jakąś kobietą względnie stabilny związek przed upływem stulecia.

Nie wynikało to z braku serca czy nierozwagi Alvina. Odnosiło się wrażenie, że szuka on w miłości, tak jak we wszystkim innym, czegoś, czego Diaspar nie mogło mu zapewnić.

Żadne z tych dziwactw Alvina nie martwiło zbytnio Jeseraca. Można się było spodziewać, że Odmieniec będzie się zachowywał w ten właśnie sposób i że z upływem czasu Alvin dostosuje się do obowiązującego powszechnie w Diaspar szablonu. Żaden pojedynczy indywidualista, czy to dziwak, czy geniusz, nie był w stanie naruszyć ogromnej bezwładności społeczeństwa, które pozostawało praktycznie nie zmienione od ponad miliarda lat. Jeserac nie tylko wierzył w stabilność — nie potrafił sobie po prostu wyobrazić nic poza nią.

— Problem, który cię nurtuje, jest bardzo stary — powiedział Alwinowi — ale zdziwiłbyś się, jak wielu ludzi bierze świat, jaki jest, i coś podobnego nigdy ich nie zastanawia ani nawet nie przychodzi im do głowy. To prawda, że rasa ludzka zamieszkiwała niegdyś obszar nieskończenie większy od Diaspar. Widziałeś, jak wyglądała Ziemia, zanim wyparowały oceany i przyszła pustynia. Te filmy, które tak lubisz sobie wyświetlać, są najstarszymi, jakie mamy; są jedynymi, jakie przedstawiają Ziemię taką, jaka była ona przed przybyciem Najeźdźców. Nie sądzę, aby oglądało je wielu ludzi. Widok tych bezgranicznych, otwartych przestrzeni to coś, czego nie potrafimy znieść.

A przecież Ziemia była tylko ziarenkiem piasku w porównaniu z całym Imperium Galaktycznym. To, do czego musiały być podobne otchłanie międzygwiazdne, jest koszmarem, którego normalny człowiek nie jest w stanie sobie wyobrazić. Nasi przodkowie przemierzali je u zarania dziejów, kiedy to wyruszyli w kosmos, aby zbudować Imperium. Przemierzali kosmos po raz drugi i ostatni zepchnięci przez Najeźdźców z powrotem na Ziemię.

Legenda głosi — a jest to tylko legenda — jakoby ludzkość zawarła z Najeźdźcami pakt. Oni mieli sobie zatrzymać wszechświat, którego tak pożąдали, my zadowolić się naszym rodzimym światem.

Dotrzymaliśmy warunków tego układu i zapomnieliśmy o próżnych marzeniach naszego dzieciństwa, tak jak i ty o nich zapomnisz, Alwinie. Ludzie, którzy zbudowali to miasto i zaprojektowali strukturę społeczną jego mieszkańców, byli panami zarówno umysłu, jak i materii. Pomieścili w tych murach wszystko, czego mogłaby kiedykolwiek potrzebować rasa ludzka — a potem postarali się o to, żebyśmy nigdy już ich nie opuścili.

Och nie, bariery fizyczne mają tu najmniejsze znaczenie.

Być może istnieją drogi, którymi można wydostać się z miasta, ale nie sądzę, żebyś uszedł nimi daleko, gdybyś nawet je znalazł. A jeśli nawet ci się to uda, to co z tego? Twoje ciało nie przetrwa długo na pustyni nie chronione i nie karmione przez miasto.

— Jeśli istnieje droga prowadząca na zewnątrz — powiedział wolno Alvin — to co może mnie powstrzymać od skorzystania z niej?

— To niemądre pytanie — odparł Jeserac. — Sądzę, że znasz już na nie odpowiedź.

Jeserac miał rację, ale jednego nie wziął pod uwagę. Alvin znał odpowiedź, a raczej domyślał się jej. Wnioskował po prostu z zachowania swych towarzyszy zarówno w życiu na jawie, jak i we wspólnie przeżywanych, sennych przygodach. Oni nigdy nie będą zdolni do opuszczenia Diaspar. Jeserac nie wiedział jednak, że ta niemożność nie dotyczy Alvina. Alvin nie wiedział, czy jego Odmienność była sprawą przypadku, czy też starożytnego projektu, ale właśnie tym między innymi się objawiała. Ciekaw był, ile jeszcze jej dowodów w sobie odkryje.

W Diaspar nikt się nigdy nie spieszył i była to reguła, od której nawet Alvin rzadko odchodził. Rozwazał problem kilka tygodni, spędzając dużo czasu na wyszukiwaniu najwcześniejszych wzmianek o początkach miasta. Potem leżał całymi godzinami, podparty niewyczuwalnymi ramionami pola antygravitacyjnego, a hipnotronowy projektor otwierał przed jego umysłem przeszłość. Zapis dobiegł końca i maszyna znikła, rozplywając się w powietrzu, ale Alvin leżał nadal zapatrzony w nicość. Ten powrót poprzez wieki do rzeczywistości trwał dosyć długo. Znowu widział bezkresne przestrzenie błękitnych wód. Pomimo tych tysięcy wieków rozbrzmiewał mu w uszach grzmot fal bijących o złocisty brzeg. Przypominał sobie lasy, prerie i dziwne zwierzęta, które żyły kiedyś wraz z Człowiekiem na tym świecie.

Bardzo mało było tych starożytnych przekazów. Zakładano powszechnie, chociaż nikt nie wiedział dlaczego, że gdzieś między przybyciem Najeźdźców a zbudowaniem Diaspar zagubiły się wszystkie wzmianki o prymitywnych czasach. Zatarcie to było jednak tak kompletne, że trudno było uwierzyć, iż stało się tak tylko za sprawą przypadku. Ludzkość, oprócz kilku kronik, które mogły być równie dobrze legendą, zagubiła swoją przeszłość. Przed Diaspar istniały po prostu Wieki Zaranja. W tym lamusie historii kłębili się ze sobą ludzie, którzy wyzwolili energię atomową, pierwsi ludzie, którzy wyciosali czółno z pnia drzewa, z pierwszymi ludźmi, którzy dotarli do gwiazd. Po tamtej stronie pustyni czasu wszyscy oni byli sąsiadami.

Alvin zamierzał przeprowadzić swój eksperyment sam, jednak w Diaspar nie było łatwo o samotność. Ledwie opuścił swoje mieszkanie, spotkał Alystrę, która nawet nie starała się udawać, że jej obecność tutaj jest przypadkowa.

To spotkanie poirytowało Alvina, jednak złość szybko mu przeszła. Nic nie stało na przeszkodzie, aby Alystra, skoro sama tego chciała, poszła razem z nim. Nie był samolubny i nie chciał zachować tego nowego doświadczenia tylko dla siebie, a poza tym dużo mógł wywnioskować z jej zachowania.

Z zatłoczonego centrum miasta wyniósł ich kanał ekspresowy. Alystra, co było u niej niezwykle, nie zadawała żadnych pytań. Podróżowali, stojąc pośrodku ruchomej drogi, na najszybszym jej paśmie, nie zadając sobie nawet trudu, aby zerknąć pod nogi na tę cudowną nawierzchnię. Inżynier starożytnego świata szybko by oszalał usiłując zrozumieć, w jaki sposób niezaprzeczalnie jednolita wstęga drogi może być nieruchoma po obu skrajach i jednocześnie przesuwać się z szybkością wzrastającą płynnie w miarę zbliżania się do jej środka. Ale dla Alvina i Alystry istnienie materiałów, które z jednej strony wykazywały właściwości ciał stałych, z drugiej zaś — cieczy, wydawało się sprawą naturalną.

Budynki wokół nich stawały się coraz wyższe, jak gdyby miasto umacniało obwałowania, oddzielające je od świata zewnętrznego. Jakież to by było dziwne, pomyślał Alvin, gdyby te ściany stały się przezroczyste i można by przez nie zajrzeć do wnętrza. Mieszkali tam ludzie, których już zna, których jeszcze pozna i których nigdy nie spotka — chociaż tych ostatnich będzie bardzo niewiele, ponieważ w ciągu całego życia pozna niemal wszystkich mieszkańców Diaspar. Większość z nich siedzi teraz w swoich pokojach, ale nie jest sama. Wystarczy im tylko sformułować odpowiednie życzenie, a znajdą się, chociaż nie fizycznie, w obecności dowolnej osoby, którą sobie wybiorą. Nie

dokuczała im nuda, ponieważ mieli dostęp do wszystkiego, co działo się w sferze wyobraźni oraz rzeczywistości od początków istnienia miasta. Dla ludzi, których umysły w ten sposób zaprogramowano, była to całkiem znośna egzystencja. Że była ona jednocześnie egzystencją bardzo spłyconą, tego nie pojmował jeszcze nawet Alvin.

W miarę jak Alvin z Alystrą oddalali się od centrum miasta, liczba ludzi, których spotykali na ulicy, z wolna malała i kiedy ruchoma droga zatrzymała się łagodnie przed długą platformą z jasno barwionego marmuru, w zasięgu ich wzroku nie było już nikogo. Przeszli przez zastygły wir materii, gdzie substancja ruchomej drogi spływała z powrotem do swego źródła, i stanęli przed ścianą podziurawioną jasno oświetlonymi tunelami. Alvin wybrał bez wahania jeden z nich i ruszył przed siebie. Alystrą podążyła za nim, starając się dotrzymać mu kroku. Pochwyciło ich od razu pole perystaltyczne i uniosło w głąb tunelu.

Niebawem znaleźli się w wielkiej, owalnej sali o wielu oknach. Dostrzegli przez nie w przelocie ogrody, płonące olśniewającymi barwami kwiatów.

Alystrą była oczarowana ich pięknem i sądziła najwyraźniej, że to dla tego widoku przyprowadził ją tu Alvin. Obserwował przez chwilę, jak biega radośnie od okna do okna, ciesząc się jej zachwytem z każdego nowego odkrycia. W na wpół opuszczonych budynkach na peryferiach Diaspar znajdowało się setki takich miejsc, utrzymywanych w idealnym porządku przez tajemnicze siły. Być może pewnego dnia znowu przepłynie tędy fala życia, ale do tego czasu starożytne ogrody stanowiły tajemnicę, którą znały tylko one same.

— Musimy iść dalej — powiedział w końcu Alvin. — To dopiero początek. — Przeszedł przez jedno z okien i iluzja przysła. Za szybą nie było ogrodów, tylko spiralny chodnik wznoszący się łagodnie w górę. Po drugiej stronie tafli widział wciąż Alystrę, chociaż wiedział, że ona jego nie widzi. Ale nie zawahała się i w chwilę później stała już obok niego.

Nawierzchnia chodnika, na którym stali, zaczęła pełzać powoli. Przeszli po niej kilka kroków, dopóki prędkość nie wzrosła na tyle, że dalszy wysiłek był zbyteczny.

Korytarz piął się łagodnie pod górę, lecz po przebyciu stu stóp przeszedł gwałtownie w pionowy szyb. Mówiła o tym tylko logika, gdyż dla wszystkich zmysłów jazda odbywała się idealnie poziomym korytarzem. Fakt, że w rzeczywistości pędzili pionowo w górę głęboką na tysiąc stóp studnią, nie wywoływał u nich poczucia zagrożenia, gdyż awaria pola polaryzującego była nie do pomyślenia.

Niebawem korytarz zaczął pochylać się znowu "w dół", a potem ponownie załamał się pod kątem prostym. Nawierzchnia chodnika zwalniała ledwo zauważalnie i wreszcie zatrzymała się w końcu długiej wyłożonej lustrami sali. Alvin wiedział, że tutaj ponaglanie Alystry nie miałooby większego sensu. Nie chodziło jedynie o tę część kobiecego charakteru, która nie uległa zmianie od czasów Ewy; nikt nie mógł się oprzeć zafascynowaniu tym miejscem. W całym Diaspar, o ile wiedział, nie było niczego podobnego. Jakiś kaprys artysty sprawił, że tylko kilka luster odbijało obraz rzeczywisty — a i te, Alvin był przeświadczony, zmieniały nieustannie swoje położenie. Reszta na pewno coś odzwierciedlała, ale niepokoiło nieco ujrzeć siebie samego w ciągle zmieniającym się, całkowicie wymyślanym otoczeniu.

Czasami w świetle za lustrem widziało się przechadzających się ludzi i nieraz Alvin dostrzegał wśród nich znajome twarze. Zdawał sobie dość jasno sprawę, że nie obserwuje żadnego z przyjaciół, których znał w obecnym wcieleniu. Poprzez umysł nieznanego artysty zaglądał w przeszłość i widział poprzednie wcielenia ludzi spacerujących po dzisiejszym świecie. Zasmucała go przypominająca o własnej odmienności myśl, że chociaż czekałby nie wiem jak długo przed tymi zmieniającymi się scenami, nie dostrzeże nigdy starożytnego echa samego siebie.

— Czy wiesz, gdzie się znajdujemy? — spytał Alystry, gdy skończyli zwiedzanie sali luster. Alystra pokręciła głową.

— Przypuszczam, że gdzieś w pobliżu krańców miasta — powiedziała niepewnie. — Zdaje mi się, że przebyliśmy długą drogę, ale nie mam pojęcia, jak długą.

— Jesteśmy w Wieży Loranne — odparł Alvin. — To jeden z najwyższych punktów Diaspar. Chodź, pokażę ci coś. — Wziął Alystrę za rękę i wyprowadził ją z sali. Nie było tam widocznego wyjścia, ale w wielu miejscach wzór na posadzce wskazywał na istnienie bocznych korytarzy. Po zbliżeniu się w takim miejscu do lustra odbicie zdawało się rozplýwać w świetlisty łuk, przez który można było przejść do znajdującego się za nimi tunelu. Kluczyli długo labiryntem korytarzy i przejść, aby w końcu znaleźć się w długim, idealnie prostym tunelu, w którym wiał z niezmienną prędkością zimny wiatr. Tunel ciągnął się na setki stóp w obie strony, a na jego odległych krańcach widniały maleńkie krążki światła. Alystra całkiem już straciła orientację.

— Nie podoba mi się tu — poskarżyła się Alwinowi. — Zimno mi.

Prawdopodobnie nigdy w życiu nie doświadczyła jeszcze uczucia chłodu i Alvin poczuł się w jakimś sensie winny. Powinien ją uprzedzić, żeby zabrała ze sobą opończę i to ciepłą, bo wszystkie ubrania noszone w Diaspar spełniały funkcję czysto dekoracyjną i jako zabezpieczenie przed zimnem były bezużyteczne.

Wręczył jej bez słowa swoje okrycie. Nie było w tym śladu galanterii; równość płci dawno już zatarła takie konwenanse. Gdyby sprawy miały się odwrócić, Alystra oddałaby swoją opończę Alwinowi, a on przyjąłby ją bez żadnych ceremonii.

Marsz z wiatrem wiejącym w plecy był nawet przyjemny i szybko dotarli do końca tunelu. Dalszą drogę zagroziła im misterna kamienna sieć o dużych oczkach, ale i tak stali już na skraju nicości. Wielki kanał wentylacyjny kończył się w ścianie frontowej wieży i pod nimi ziała pionowa, tysiącstopowa przepaść. Znajdowali się na zewnętrznych obwałowaniach miasta i pod nimi rozciągało się Diaspar takie, jakim niewielu w ich świecie kiedykolwiek je oglądało.

Widok ten był odwrotnością panoramy, którą obserwował Alvin z centrum Parku. Mógł stąd spoglądać w dół na koncentryczne fale kamienia i metalu, opuszczające się milowymi suwami w kierunku serca miasta. Hen, daleko, częściowo zasłonięte wznoszącymi się na linii obserwacji wieżami, widział odległe polany i drzewa oraz krążącą wiecznie rzekę. Jeszcze dalej pięły się pod niebo położone z drugiej strony miasta bastiony Diaspar.

Stojąca obok Alystra patrzyła na tę panoramę z zaciekawieniem, ale bez zdziwienia. Widziała miasto już przedtem z równie dobrze położonych punktów obserwacyjnych i to w znacznie wygodniejszych warunkach.

— To nasz świat... cały nasz świat — powiedział Alvin. — Teraz chcę ci pokazać coś jeszcze. — Odwrócił się od kraty i ruszył w kierunku krążka światła widniejącego na drugim końcu tunelu. Dął zimny wiatr, ale Alvin nie zwracał na to uwagi.

Nie uszedł jeszcze daleko, kiedy zorientował się, że Alystra nie ma zamiaru podążyć za nim. Stała, wpatrując się weń, z ręką uniesioną do twarzy, a jej opończa powiewała na wietrze. Alvin dostrzegł, że jej usta poruszają się, ale słowa nie docierały do jego uszu. Patrzył na nią najpierw ze zdziwieniem, a potem z niecierpliwością z domieszką współczucia. To, co mówił Jeserac, było prawdą. Ona nie mogła pójść za nim. Wiedziała już, co oznacza ten odległy krąg światła, z którego zawsze wiał do Diaspar wiatr. Za plecami Alystry znajdował się znajomy świat, pełen cudowności, ale pozbawiony niespodzianek, dryfujący rzeką czasu niczym błyszczący, szczelnie zamknięty pęcherz. Przed nią, nie dalej niż kilka kroków od miejsca, w którym stała, roztaczało się dzikie odludzie — świat pustyni — świat Najeźdźców.

Alvin zawrócił, podszedł do niej i zdziwił się widząc, że drży.

— Czego się boisz? — spytał. — Nadal jesteśmy w Diaspar i nic nam nie zagraża. Wyrzalaś przez to okno za nami... na pewno możesz wyrzeć przez tamto!

Alystra wytrzeszczyła na niego przerażone oczy, jakby był jakimś dziwnym potworem.

— Nie mogę tego zrobić — wykrztusiła wreszcie. — Nawet sama myśl o tym przejmuje mnie większym chłodem niż ten wiatr. Nie idź dalej, Alvinie!

— A gdzież tu logika? — zaprotestował Alvin. — Co ci się może stać, jeśli pójdziesz do końca tego tunelu i wyrzysz na zewnątrz? Tam jest dziwnie i pusto, ale nie strasznie. A im dłużej na to patrzę, tym wydaje mi się piękniejsze...

Alystra nie czekała, aż skończy. Odwróciła się na pięcie i pobiegła długą rampą, która ich tu przywiodła. Alvin nie próbował jej zatrzymać, ponieważ narzucanie komuś swojej woli zaliczane było w Diaspar do złego tonu. Zdawał sobie sprawę, że perswazje nie odniosłyby tu żadnego skutku. Wiedział, że Alystra nie zatrzyma się, dopóki nie znajdzie się wśród swoich towarzyszy. Nie było obawy, że zabłądzi w labiryntach miasta, gdyż mogła bez trudności wracać po własnych śladach. Instynktowna zdolność odnajdywania drogi w najbardziej nawet zawitych labiryntach była tylko jedną z umiejętności, jakie posiadał Człowiek, od kiedy zaczął mieszkać w miastach. Do wyrobienia w sobie podobnych zdolności zmuszony został dawno wymarły szczur, kiedy opuścił pola, aby podzielić swój los z ludzkością.

Alvin zaczekał chwilę, jakby spodziewał się jeszcze powrotu Alystry. Nie tyle zdziwiła go sama reakcja dziewczyny, co jej gwałtowność i irracjonalność. Chociaż było mu jej szczerze żal, pomyślał sobie, że mogłaby zostawić opończę.

Było mu zimno i z trudem brnął pod wiatr. Walczył nie tylko z prądem powietrza, ale i z siłą, która go wywoływała.

Nie spoczął jednak, dopóki nie dotarł do kamiennej kraty i nie zacisnął dłoni na jej prętach. Odstępy między prętami były na tyle duże, by mógł przepchnąć przez nią głowę, a i teraz widok miał ograniczony, ponieważ wylot kanału był lekko wpuszczony w mur miasta.

Widział jednak wystarczająco dużo. Tysiące stóp w dole światło dnia szykowało się do opuszczenia powierzchni pustyni. Wprost na kratę padały niemal poziome promienie słońca, rzucając na ściany tunelu niesamowite wzory światła i cienia. Alvin osłonił dłonią oczy przed blaskiem i spoglądał w dół na ziemię, po której od niezliczonych wieków nie stąpała noga człowieka.

Być może patrzył na zastygłe na zawsze morze. Piaskowe wydmy odpływały falami, mila za milą, ku zachodowi. Ich kontury wyolbrzymiało padające z ukosa światło. Tu i ówdzie jakiś kaprys wiatru wyrzeźbił w piasku osobliwe wiry i żleby, tak że czasem trudno było wprost uwierzyć, iż te twory nie są dziełem inteligencji. W bardzo dużej odległości, tak daleko, że nie potrafił ocenić dystansu, ciągnęło się pasemko niskich, łagodnie zaokrąglonych wzgórz. Rozczarowały one Alvina; wiele by dał, aby ujrzeć na własne oczy te niebotyczne szczyty ze starożytnych przekazów i własnych snów.

Słońce opierało się już krawędzią o wierzchołki wzgórz. Jego promienie rozpraszały się i czerwieniały. Na słonecznej tarczy widniały dwie duże plamy; Alvin wiedział już ze swych obserwacji, że istnieją takie rzeczy, ale dziwiło go, iż może je bez trudu dostrzec. Wyglądały jak para spoglądających nań oczu.

Zmierzchu nie było. Z odejściem słońca sadzawki cieni zalegające między wydmami zlały się szybko w jedno ogromne jezioro mroku. Z nieba odpłynęła barwa; odpłynęły ciepłe odcienie czerwieni i złota ustępując miejsca arktycznemu granatowi, który ciemniejac przeradzał się z wolna w noc. Alvin czekał na ten zapierający dech w piersiach moment, który z całej ludzkości oglądał tylko on — na moment, kiedy drząc zablýśnie pierwsza gwiazda.

Upłynęło już wiele tygodni od czasu, kiedy był tu po raz ostatni, i domyślał się, że układ nocnego nieba musiał się w tym czasie zmienić, ale pomimo to pojawienie się Siedmiu Słońc zaskoczyło go.

Nie mogły nosić innej nazwy; to określenie samo cisnęło się na usta. Na tle poświaty zachodzącego słońca tworzyły małą, bardzo zwartą i zadziwiająco symetryczną formację. Sześć z nich rozłożonych było na obwodzie lekko spłaszczonej elipsy, która w rzeczywistości musiała stanowić idealne koło, nachylone nieco w kierunku linii obserwacji. Każda gwiazda miała inną barwę; odróżniał teraz kolor czerwony, niebieski, złoty i zielony, ale inne odcienie wymykały się jego oczom. W samym środku tej formacji tkwił biały olbrzym — najjaśniejsza gwiazda na całym widocznym nieboskłonie. Grupa ta, jako całość, przywodziła na myśl klejnot: wydawało się nieprawdopodobne i sprzeczne z wszelkimi prawami teorii prawdopodobieństwa, żeby Natura mogła kiedykolwiek utworzyć tak idealny twór.

W miarę jak oczy Alvina przywykały do zapadających ciemności, widział coraz wyraźniej wielki mglisty welon rozpostarty na nocnym niebie, a nazywany niegdyś Drogą Mleczną. Rozciągał się od zenitu po horyzont i ogarniał swymi fałdami Siedem Słońc. Zaczęły się pojawiać inne gwiazdy, a ich bezładnie rozrzucone skupiska uwypuklały tylko zagadkę tej idealnej symetrii. Wydawało się, że jakaś siła rozmyślnie sprzeciwiała się chaosowi wszechświata, układając z tych siedmiu gwiazd swój znak.

Dziesięć razy, nie więcej, obróciła się wokół swej osi Galaktyka, od kiedy stopa Człowieka zaczęła stąpać po Ziemi. W skali Galaktyki była to tylko chwila, jednak Ziemia zmieniła się od tego czasu całkowicie — zmieniła się daleko bardziej, niż miała prawo to uczynić naturalną kolejną rzeczy. Wielkie słońca, które niegdyś, w glorii młodości, płonęły tak jasnym blaskiem, dopalały się teraz dążąc ku nieuchronnej zgubie. Ale Alvin, który nie widział nigdy nieboskłonu w jego starożytnej krasie, nieświadom był wszystkiego, co zostało utracone.

Przenikające do szpiku kości zimno skłoniło go do powrotu do miasta. Oderwał ręce od kraty i zaczął je rozmasowywać przywracając w nich krążenie krwi. Światło wpadające do tunelu przez przeciwległy wylot było tak jasne, że musiał na chwilę odwrócić wzrok. Poza granicami miasta nadal istniały dnie i noce, ale w jego granicach trwał wieczny dzień. Gdy zachodziło słońce, niebo nad Diaspar rozjarzało się sztucznym światłem tak łudząco podobnym do naturalnego, że nikt nie potrafił dostrzec różnicy.

Alvin wracał powoli przez salę luster rozmyślając o nocy i gwiazdach. Czuł natchnienie, a zarazem przygnębienie. Wyglądało na to, że nie ma drogi ucieczki z miasta w tę ogromną pustkę — i nie ma też żadnego w tym celu. Jeserac twierdził, iż człowiek umarłby szybko na pustyni, i Alvin mu wierzył. Być może któregoś dnia odkryje jakiś sposób opuszczenia Diaspar, ale co z tego, jeśli będzie musiał szybko wrócić do miasta. Wydostanie się na pustynię byłoby niczym więcej, jak niezwykłą rozrywką. Byłaby to zabawa, w którą mógłby się bawić samotnie bez udziału partnerów, i nie prowadziłaby do niczego. Ale warto było spróbować po to chociażby, aby ugasić pożar tęsknoty płonącej w jego duszy.

Ociągając się z powrotem do znajomego sobie świata, Alvin stał przed jednym z wielkich luster i obserwował wynurzające się i znikające w jego głębi sceny. Jakikolwiek był mechanizm powstawania tych obrazów, sterowała nim jego obecność i w pewnym stopniu jego myśli. Zawsze, kiedy tutaj wchodził, lustra nie pokazywały nic i wypełniały się akcją dopiero wtedy, gdy pojawiał się przed nimi.

Teraz wydawało mu się, że stoi na wielkim otwartym dziedzińcu, którego nigdy w rzeczywistości nie widział, ale który prawdopodobnie istnieje wciąż gdzieś w Diaspar. Dziedziniec był niezwykle zatłoczony i wyglądało na to, że odbywa się na nim coś w rodzaju publicznego wiecu. Na trybunie

pośrodku placu dyskutowali o czymś dwaj mężczyźni, a zebrani otaczali podium, wznosząc od czasu do czasu jakieś okrzyki.

Chciał już odejść, gdy nagle zauważył dziwnie ubranego mężczyznę stojącego w pewnym oddaleniu od głównej grupy. Jego ruchy, jego ubiór... wszystko, co było z nim związane, wydawało się nie pasować do rozgrywającej się w głębi lustra sceny. Psuł całość kompozycji. Podobnie jak Alvin, był anachroniczny.

Ten mężczyzna był człowiekiem z krwi i kości i przyglądał się Alwinowi z zagadkowym uśmiechem.

Rozdział 5

W swym krótkim życiu Alvin nie spotkał jeszcze tysięcznej części mieszkańców Diaspar. Nie zdziwiło go więc, że nie zna stojącego przed nim mężczyzny. Zaskoczyło go tylko to, że w ogóle spotkał kogoś w tej opuszczonej wieży, tak blisko granicy z nieznanym.

Odwrócił się plecami do lustrzanego świata i stanął twarzą w twarz z nieznanym. Otworzył usta, aby zadać pytanie, ale tamten go uprzedził:

— Nazywasz się Alvin, o ile się nie mylę? Powinienem się domyślić, że to ty, kiedy usłyszałem, iż ktoś nadchodzi.

Alvina nie zdziwiło, że został rozpoznany; czy chciał tego, czy nie, fakt jego odmienności i nie ujawnionych jeszcze cech charakteru czynił go osobą znaną w mieście.

— Jestem Khedron — ciągnął nieznanomy, jak gdyby to imię wyjaśniało wszystko. — Nazywają mnie Błaznem. — Wzruszył z rezygnacją ramionami widząc zmieszaną minę Alvina. — Taka oto jest sława. Ale jesteś jeszcze młody i za twojego życia niczego nie zrobiłem. Twoja niewiedza jest usprawiedliwiona.

Khedron miał w sobie coś niezwykłego. Alvin szukał gorączkowo w pamięci znaczenia słowa "błazen", ale go nie znalazł. W skomplikowanej strukturze socjalnej miasta wiele było różnych tytułów i określeń. Nie starczyłoby życia, żeby je wszystkie poznać.

— Często tu bywasz? — spytał Khedrona z nutką zazdrości w głosie. Dochodził już do przekonania, że Wieża Loranne jest jego prywatną własnością i złościło go, iż jej cuda znane są komuś jeszcze. Ale czy ten Khedron patrzył kiedyś na pustynię albo obserwował niknące na zachodzie słońce?

— Nie — odparł Khedron, jakby odgadując jego nie wypowiedziane pytanie. — Nigdy przedtem tutaj nie byłem. Ale znajduję przyjemność w śledzeniu niezwykłych wydarzeń mających miejsce w mieście, a upłynęło już sporo czasu, od kiedy ktoś wszedł do Wieży Loranne.

— Nawet jeśli wejście kogoś tutaj jest niezwykłym wydarzeniem, to dlaczego cię to interesuje? — spytał Alvin.

— Ponieważ w Diaspar — odparł Khedron — niezwykłość jest moim przywilejem. Już dawno zwróciłem na ciebie uwagę; wiedziałem, że pewnego dnia musimy się spotkać. Ja też, na swój sposób, jestem odmieńcem. Och, nie takim jak ty: to nie jest moje pierwsze wcielenie. Już tysiąc razy wychodziłem z Sali Tworzenia. Ale kiedyś tam, na początku, zostałem mianowany Błaznem, a w Diaspar istnieje tylko jeden Błazen naraz. I tak większość ludzi uważa, że to o jednego za dużo.

W słowach Khedrona pobrzmiwała nutka ironii. Zadawanie osobistych pytań nie należało do dobrego tonu, jednak Alvin podjął ten temat:

— Przepraszam za moją ignorancję — powiedział — ale co to jest Błazen i co on robi?

— Pytasz "co" — odparł Khedron — więc zacznę od wyjaśnienia ci "dlaczego". To długa historia, ale sądzę, że cię zainteresuje.

— Wszystko mnie interesuje — przyznał zgodnie z prawdą Alvin.

— Cieszę się. A więc ludzie — jeśli w ogóle byli to ludzie, w co czasami powątpiewam — którzy zaplanowali Diaspar, musieli rozwiązać niesłychanie skomplikowany problem. Diaspar, jak wiesz, nie jest jedynie maszyną — jest ono żywym organizmem i to nieśmiertelnym. Jesteśmy tak przyzwyczajeni do naszego trybu życia, że nie potrafimy zdać sobie sprawy z tego, jak dziwny musiałby się on wydawać naszym pierwszym przodkom. Mamy tutaj malutki, zamknięty świat, który się nigdy nie zmienia, nie licząc mniej ważnych szczegółów, a który jest do tego, pomimo upływu wieków, idealnie stabilny. Trwa on prawdopodobnie dłużej niż cała historia człowieka

poprzedzająca jego założenie — a przecież w tej historii powstawały, jak się sądzi, niezliczone oddzielne kultury i cywilizacje, które istniały krótką chwilę, po czym ginęły. W jaki sposób Diaspar osiągnęło swą nadzwyczajną stabilność?

Alvin zdziwił się, że ktoś może zadawać tak podstawowe pytania i zaczął tracić nadzieję, że dowie się czegokolwiek nowego.

— Oczywiście dzięki Bankom Pamięci — odparł. — Diaspar zamieszkiwane jest wciąż przez tych samych ludzi, chociaż w miarę, jak jedni wracają do Sali Tworzenia, a inni z niej wychodzą, skład aktualnej populacji Diaspar ulega ciągłej zmianie na zasadzie rotacji.

Khedron potrząsnął głową.

— To tylko bardzo mała częśćka odpowiedzi. Z dokładnie tymi samymi ludźmi mógłbyś zbudować wiele modeli społeczeństw. Nie potrafię tego dowieść, ale jestem przekonany, że tak jest. Konstruktorzy Diaspar nie tylko zaprojektowali jego populację. Oni ustalili również prawa rządzące jej zachowaniem. Ledwie zdajemy sobie sprawę z istnienia tych praw, ale ich przestrzegamy. Diaspar jest skostniałą kulturą, która nie może się zmienić poza z góry wytyczone, wąskie granice. Banki Pamięci, oprócz matryc naszych ciał i osobowości, przechowują również wiele innych rzeczy. Przechowują one obraz samego miasta, chroniąc pieczołowicie każdy jego atom przed zmianami, jakie mógłby przynieść Czas. Spójrz na ten chodnik — położono go miliony lat temu, stąpały po nim niezliczone stopy. Czy dostrzegasz jakikolwiek ślad zużycia? Nie zabezpieczona materia, niezależnie od jej trwałości, starta by została na pył wieki temu. Ale jak długo istnieje energia zasilająca Banki Pamięci i jak długo przechowywane w nich matryce mogą kontrolować bez przerwy stan miasta, fizyczna struktura Diaspar nie ulegnie zmianie.

— Ale następowały przecież pewne zmiany — zaprotestował Alvin. — Od założenia miasta zburzono wiele budynków i wzniesiono wiele nowych.

— Oczywiście, ale tylko w drodze wymazania informacji przechowywanych w Bankach Pamięci i wprowadzenia na ich miejsce nowych danych. Zresztą wspomniałem o tym tylko dlatego, żeby zilustrować ci sposób, w jaki miasto zachowuje swoją strukturę fizyczną. Zmierzam do tego, że w ten sam sposób istniejące w Diaspar maszyny zachowują naszą strukturę społeczną. Wychwytyją one wszystkie zmiany i korygują je, zanim te staną się zbyt duże. Jak to robią? Nie wiem — być może poprzez wybór tych, którzy wychodzą z Sali Tworzenia. Być może poprzez manipulowanie naszymi matrycami osobowości. Sądzimy, że mamy wolną wolę, ale czy możemy być tego pewni? W każdym razie problem ten został rozwiązany. Diaspar przetrwało i przeszło bezpiecznie przez stulecia, jak wielki statek wiozący ładunek wszystkiego, co pozostało po rasie ludzkiej. To jest ogromne osiągnięcie inżynierii społecznej, chociaż czy warto było je realizować, to już zupełnie inna sprawa. Stabilność to jednak nie wszystko. Niedaleko już od niej do stagnacji, a tym samym do dekadencji. Konstruktorzy miasta przedsięwzięli odpowiednie kroki, aby do tego nie dopuścić, jednak te opuszczone budynki świadczą, że nie w pełni im się to udało. Ja, Khedron Błazen, jestem częścią tego planu. Być może bardzo małą częścią. Chciałbym myśleć inaczej, ale nigdy nie nabiorę pewności.

— A co to za częśćka? — spytał Alvin wciąż mało rozumiejąc.

— Powiedzmy, że wprowadzam w życie miasta określoną porcję chaosu. Wyjaśnienie celu mej działalności równałoby się zniszczeniu jej skuteczności. Sądź mnie raczej po moich czynaniach niż po moich słowach.

Alvin nigdy dotąd nie spotkał kogoś podobnego do Khedrona. Błazen był prawdziwą osobowością — charakterem, który głową i ramionami wystawał ponad ogólny poziom uniformizmu tak typowego dla Diaspar. Alvin czuł, że ma przed sobą kogoś, z kim może porozmawiać i kto może udzielić mu

odpowiedzi na wiele nurtujących go od dawna pytań.

Wrócili razem korytarzami Wieży Loranne i wynurzyli się przy pustej ruchomej drodze. Dopiero tu, na ulicy, Alvin uświadomił sobie, że Khedron nie spytał go nawet, co robi tutaj, na samej granicy nieznanego. Nasunęło mu się podejrzenie, że Khedron to wie i jest zaciekawiony, ale nie zdziwiony. Coś mu mówiło, że zdziwić Khedrona niełatwo.

Wymienili numery kierunkowe, żeby móc się skontaktować, kiedy sobie tego będą życzyli. Alvin chciał się jeszcze spotkać z Błaznem, chociaż odniósł wrażenie, że dłuższe przebywanie w obecności tego człowieka może okazać się męczące. Przedtem jednak chciał usłyszeć, co mogą mu powiedzieć o Khedronie jego przyjaciele, a szczególnie Jeserac.

— Do następnego spotkania — powiedział Khedron i natychmiast znikł. Alvin zapłonął gniewem. Spotykając kogoś pod postacią swego wyobrażenia, czyli nie będąc obecnym ciałem, należało uprzedzić o tym spotkanego na samym początku rozmowy. Khedron przez cały czas przebywał prawdopodobnie w swym mieszkaniu — gdziekolwiek się ono znajdowało. Numer, który podał Alwinowi, gwarantował jedynie, że dotrze doń wszelka wiadomość, nie zdradzał jednak jego miejsca zamieszkania.

Rozdział 6

Jeserac od razu poznał Khedrona i nie był zbyt zachwycony jego wizytą. Nie lubił, gdy zakłócano mu jego uporządkowany rozkład dnia, a poza tym Khedron był nieobliczalny. Przywitał jednak gościa dość uprzejmie, skrywając wszelkie ślady swego rozdrażnienia.

— Chciałbym porozmawiać z tobą o Alvinie — zaczął bez wstępów Khedron. — Jesteś, zdaje się, jego nauczycielem?

— To prawda — odparł Jeserac. — Widuję się z nim kilka razy w tygodniu, kiedy tylko sobie tego życzy.

— A czy możesz o nim powiedzieć, że jest zdolnym uczniem?

Jeserac zamyślił się; to było trudne pytanie. W mieście pojawiała się średnio dziesięć tysięcy nowych umysłów rocznie. Ich poprzednie wspomnienia były wciąż utajone i przez pierwsze dwadzieścia lat życia wszystko wokół wydawało się im obce i nowe. Trzeba ich było uczyć od podstaw korzystania z niezliczonych maszyn i urządzeń, będących tłem codziennego życia mieszkańców miasta, oraz zasad współżycia obowiązujących w najbardziej skomplikowanym społeczeństwie, jakie kiedykolwiek zbudował Człowiek.

Część informacji pochodziła od pary wybranej na rodziców nowego obywatela. Wyboru dokonywano przez losowanie, a obowiązki opiekunów nie były zbyt uciążliwe. Eriston i Etania poświęcali wychowywaniu Alvina nie więcej niż trzecią część swego czasu i wywiązali się ze wszystkiego, co do nich należało.

Na Jeseracu spoczywał obowiązek bardziej formalnej edukacji Alvina; zakładano, że rodzice zaznajomią go już z normami współżycia społecznego i wprowadzą we wciąż rozszerzający się krąg przyjaciół. Oni byli odpowiedzialni za charakter Alvina, Jeserac za jego umysł.

— Trudno mi odpowiedzieć na to pytanie — odparł Jeserac. — Alvin jest bez wątpienia inteligentnym chłopcem, ale do wielu spraw, które powinny go interesować, odnosi się obojętnie. Z drugiej strony wykazuje on niezdrowe zainteresowanie tematami, których zazwyczaj nie poruszamy.

— Na przykład światem poza murami Diaspar?

— Tak... ale skąd o tym wiesz?

Khedron zawahał się przez moment, jakby zastanawiał się, na ile może być szczery z Jeserakiem. Wiedział, że Jeserac jest dobrym człowiekiem, ale zdawał sobie również sprawę, że musi on być związany tabu, które rządziło zachowaniami wszystkich mieszkańców Diaspar — wszystkich oprócz Alvina.

— Domyślam się tego — powiedział w końcu.

Jeserac usiadł w fotelu, który się obok niego zmaterializował. Była to interesująca sytuacja i chciał ją jak najdokładniej przeanalizować. Nie dowie się jednak wiele, jeśli Khedron nie okaże chęci do współpracy.

Powinien był się spodziewać, że pewnego dnia Alvin spotka Błazna i że wynikną z tego nie dające się przewidzieć konsekwencje. Khedron był jedyną osobą w mieście, którą można było określić mianem ekscentrycznej — ale nawet ta jego ekscentryczność zaplanowana została przez projektantów Diaspar. Już dawno odkryto, że bez pewnej domieszki przestępstwa lub chaosu Utopia stanie się nie do wytrzymania nudna. Nie można było jednak zagwarantować, że przestępczość utrzyma się na określonym optymalnym poziomie, czego wymagały równania społeczne. Będąc dozwoloną i regulowaną, przestałaby być zbrodnią.

Rozwiązaniem była instytucja Błazna — na pozór naiwna, a jednak głęboko przemyślana. To ją właśnie wybrali projektanci miasta. W całej historii Diaspar nie było nawet dwustu osób

predysponowanych przez cechy swojego charakteru do pełnienia tej szczególnej roli. Mieli oni pewne przywileje, które chroniły ich przed konsekwencjami ich czynów, chociaż zdarzali się też Błazni, którzy przekroczyli dozwolone granice i zapłacili za to jedyną cenę, jaką mogło nałożyć na nich Diaspar — zostali wygnani w przyszłość, zanim skończyła się ich bieżąca inkarnacja. W rzadkich, nie dających się przewidzieć wypadkach, Błazen przewracał całe miasto do góry nogami jakimś wybrykiem, który mógł być niczym więcej, jak wyszukany, praktycznym żartem lub celowym zamachem na panujący aktualnie zwyczaj lub tryb życia. Jakkolwiek by na to patrzeć, nazwa "Błazen" była bardzo odpowiednia. Istnieli niegdyś ludzie sprawujący podobne obowiązki i działający na tych samych prawach w czasach, gdy istniały jeszcze dwory i królowie.

— Byłoby lepiej — powiedział Jeserac — gdybyśmy byli ze sobą szczerzy. Obaj wiemy, że Alvin jest Odmieńcem, że nigdy dotąd nie żył w Diaspar. Może nawet lepiej niż ja domyślasz się skutków tego. Osobiście wątpię, czy w mieście może się wydarzyć cokolwiek całkowicie nie planowanego, musi więc istnieć jakiś cel, dla którego został on powołany do życia. Czy ten cel osiągnie — jakimkolwiek by on był — nie wiem. Nie wiem też, czy cel ten jest pozytywny, czy nie. Nie mam pojęcia, co to za cel.

— Przypuśćmy, że dotyczy on czegoś, co leży poza miastem.

Jeserac uśmiechnął się wyrozumiale. Błazen, jak można się było tego spodziewać, stroił sobie żarty.

— Powiedziałem mu już, co tam jest; wie, że na zewnątrz Diaspar jest tylko pustynia. Zabierz go tam, jeśli potrafisz; może znasz drogę. Ujrzenie na własne oczy rzeczywistości może wyleczyć osobliwość jego umysłu.

— Wydaje mi się, że już ją widział — powiedział cicho Khedron. Ale mówił to do siebie, nie do Jeseraca.

— Nie sądzę, żeby Alvin był szczęśliwy — ciągnął Jeserac. — Ale jest jeszcze młody. Może jeszcze z tego wyrosnąć i stać się pełnowartościowym obywatelem miasta. Khedron był ciekaw, czy Jeserac sam wierzy w to, co mówi.

— Powiedz mi — spytał z nagłą — czy Alvin wie, że nie jest pierwszym Odmieńcem? Jeserac sprawiał wrażenie zaskoczonego.

— Mogłem się spodziewać — odrzekł ponuro — że o tym wiesz. Ilu to Odmieńców było w dziejach Diaspar? Czy nie dziesięciu?

— Czternastu — odparł bez wahania Khedron. — Nie licząc Alvina.

— Jesteś poinformowany lepiej ode mnie — powiedział kwaśno Jeserac. — Może wiesz również, co się stało z tamtymi Odmieńcami?

— Zniknęli.

— Dziękuję. Tyle wiem i ja. Właśnie dlatego jak najmniej wspominałem Alwinowi o jego poprzednikach; to nie wpłynęłoby korzystnie na jego dotychczasowe zachowanie. Czy mogę liczyć na twoją współpracę?

— W tej chwili — tak. Sam chcę mu się bliżej przyjrzeć, zawsze intrygowały mnie tajemnice, a w Diaspar jest ich tak mało. Poza tym sądzę, że może spłatać nam takiego figla, przy którym zbledną wszystkie moje wyczyny.

— Masz zamiłowanie do mówienia zagadkami — powiedział Jeserac. — Do czego właściwie zmierzasz?

— Wątpię, czy moje domysły są w jakimkolwiek stopniu trafniejsze od twoich. Wierzę jednak w jedno: ani ty, ani ja, ani nikt w Diaspar nie zdoła powstrzymać Alvina, kiedy zdecyduje się on działać. Mamy przed sobą bardzo interesujące stulecia.

Po zniknięciu Khedrona Jeserac siedział długo w bezruchu. Dręczyło go uczucie, jakiego dotąd nie znał. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie powinien zwrócić się do Rady z prośbą o audiencję — ale czy nie byłoby to wyolbrzymianie faktów? Może cała ta historia jest jakimś skomplikowanym i niezrozumiałym żartem Khedrona, chociaż trudno mu było uwierzyć, że Błazen właśnie jego obrał sobie na ofiarę.

Przemyślał wszystko bardzo dokładnie, rozważając problem pod każdym możliwym kątem. Po upływie godziny podjął typową dla siebie decyzję.

Poczekaj i zobacz.

Alvin nie tracił czasu. Jego głównym źródłem informacji był, jak zwykle, Jeserac. Stary nauczyciel zrelacjonował pokrótce swoją rozmowę z Błaznem i dodał od siebie tyle, co wiedział o trybie życia tego człowieka. Tak dalece, jak było to możliwe w Diaspar, Khedron był samotny. Nikt nie wiedział, gdzie mieszka ani jak żyje. Ostatni figiel, jakiego spłatał, był raczej dziecinną psotą i polegał na ogólnym sparaliżowaniu ruchomych dróg. Miało to miejsce pięćdziesiąt lat temu; wiek wcześniej Khedron wypuścił na miasto osobliwego wirującego smoka, który włóczył się po ulicach pożerając każdy napotkany egzemplarz prac najpopularniejszego wówczas rzeźbiarza. Sam artysta, zaalarmowany, z oczywistych powodów, najwyraźniej monotonna dietą bestii, ukrył się i nie pokazał publicznie, dopóki potwór nie zniknął w sposób równie tajemniczy, jak się był pojawił.

Wynikał stąd jeden oczywisty wniosek. Khedron musiał znać się na maszynach i siłach rządzących miastem i potrafił skłonić je do postępowania według jego woli sposobami, których nie znał nikt oprócz niego. Musiała prawdopodobnie istnieć jakaś kontrola nadrzędna, której zadaniem było niedopuszczenie do spowodowania przez jakiegoś nazbyt gorliwego Błazna trwałego, nieodwracalnego uszkodzenia złożonej struktury Diaspar.

Alvin zapamiętał sobie wszystkie te informacje, ale nie podjął żadnych kroków, aby skontaktować się z Khedronem. Chociaż miał do Błazna wiele pytań pozostających dotąd bez odpowiedzi, skłonność do samodzielności i niezależności kazała mu działać bez niczyjej pomocy. Obmyślił plan, którego realizacja mogła potrwać kilka lat, ale dopóki czuł, że zmierza do wytyczonego celu, był szczęśliwy.

Niczym podróżnik odkrywca z zamierzchłej przeszłości, sporządzający mapę nieznanych terenów, rozpoczął systematyczne badanie Diaspar. Spędzał dni i tygodnie włóczęc się po opuszczonych wieżach na obrzeżu miasta w nadziei, że w którejś z nich odkryje drogę prowadzącą do świata zewnętrznego rozciągającego się za murami. W trakcie tych poszukiwań odnalazł z tuzin wielkich otworów klimatyzacyjnych wychodzących na pustynię, ale wszystkie były okratowane, a jeśli nawet nie byłoby w nich krat, to wystarczającą przeszkodę stanowiłaby pionowa, milowa przepaść dzieląca je od powierzchni.

Innych wyjść nie znalazł, chociaż zbadał tysiące korytarzy i dziesiątki tysięcy pustych pomieszczeń. Wszystkie budynki, które zwiedzał, znajdowały się w tym idealnym i nienaruszonym stanie, jaki mieszkańcy Diaspar uważali za naturalny i normalny. Czasami spotykał robota odbywającego coś w rodzaju obchodu inspekcyjnego i za każdym razem nie omieszkał zagadnąć maszyny. Nie dowiedział się niczego, ponieważ maszyny, na które się natykał, nie były tak zaprogramowane, aby reagować na mowę czy myśli ludzkie. Chociaż zauważały jego obecność, bo usuwały się na bok robiąc mu przejście, to nie wdawały się z nim w konwersację.

Zdarzały się okresy, kiedy Alvin przez parę dni nie widział drugiego człowieka. Gdy poczuł głód, wchodził do jednego z opuszczonych pomieszczeń mieszkalnych i zamawiał posiłek. Po eonach drzemki budziły się do życia cudowne maszyny, nad których istnieniem rzadko się zastanawiał. Przechowywane w ich pamięci matryce organizując się migotały przez chwilę na granicy

rzeczywistości i wydawały polecenia materii, którą kontrolowały. I tak, ku rozkoszy podniebienia, czy też po prostu dla zaspokojenia głodu, powoływany był znowu do istnienia posiłek przygotowany przez mistrza kucharskiego dziesięć milionów lat temu.

Samotność tego opuszczonego świata — tej pustej skorupy otaczającej tętniące życiem centrum miasta — nie przygnębiała Alvina. Był przyzwyczajony do samotności. Odczuwał ją nawet wtedy, gdy przebywał wśród tych, których nazywał swoimi przyjaciółmi.

Te gorliwe poszukiwania, absorbujące całą jego energię i uwagę, sprawiły, że zapomniał na chwilę o tajemnicy swego pochodzenia i odmienności, która odgrodziła go od reszty mieszkańców miasta.

Nie zbadał jeszcze tysięcznej części obrzeża miasta, kiedy zdał sobie sprawę, iż traci na próżno czas. Przeświadczenie to nie było wynikiem znudzenia, ale przebłyskiem zdrowego rozsądku. Jeśli nie będzie innego wyjścia, gotów był podjąć poszukiwania na nowo, nawet gdyby miały mu one zająć resztę życia. Widział już jednak na tyle dużo, aby utwierdzić się w przekonaniu, że jeśli wyjście z Diaspar w ogóle istnieje, to nie tak łatwo będzie je znaleźć. Jeśli nie poprosi o pomoc bardziej doświadczonego człowieka, może stracić na bezowocne poszukiwania całe wieki.

Jeserac powiedział mu po prostu, że nie zna żadnej drogi prowadzącej na zewnątrz Diaspar i wątpi, czy taka w ogóle istnieje. Nagabywane przez Alvina maszyny informacyjne nadaremnie przeszukiwały swe niemal nieograniczone pamięci. Mogły podać mu każdy szczegół z historii miasta poczynając od początku rejestrowanych dziejów — od bariery, za którą, na zawsze ukryte, spoczywały Wieki Zarania. Nie potrafiły jednak odpowiedzieć na proste pytanie Alvina, a być może nie pozwalały im na to jakieś siły nadrzędne.

Będzie musiał znowu spotkać się z Khedronem.

Rozdział 7

Zwlekałeś — powiedział Khedron — ale i tak wiedziałem, że wcześniej czy później się odezwiesz.

Ta pewność siebie zirytowała Alvina; złościła go myśl, że tak dokładnie można było przewidzieć jego zachowanie. Ciekaw był, czy Błazen obserwował go w trakcie poszukiwań i wie, czym się zajmował cały ten czas.

— Staram się znaleźć drogę prowadzącą na zewnątrz miasta — oznajmił bez ogródek. — Musi istnieć taka droga i pomyślałem sobie, że mógłbyś mi pomóc ją znaleźć.

Khedron milczał przez chwilę. Jeśli chciał, miał jeszcze czas, żeby zawrócić z drogi, na którą wkroczył i która prowadziła w przyszłość nie dającą się żadnym sposobem przewidzieć. Nikt inny nie wahałby się ani przez chwilę; żaden inny człowiek w mieście nie ważyłby się zakłócać spokoju duchom świata martwego od milionów stuleci. Może nie było w tym żadnego niebezpieczeństwa, być może nic nie mogło odwrócić wiecznej niezmienności Diaspar, ale jeśli istniało ryzyko, że wydarzy się coś nieprzewidzianego, mogła to być ostatnia szansa, aby temu zapobiec.

Khedron był zadowolony z istniejącego porządku rzeczy. Mógł, co prawda, burzyć od czasu do czasu ten porządek, ale tylko troszkę. Był krytykiem, nie rewolucjonistą. Chciał wywołać tylko parę zmarszczek na powierzchni płynącej spokojnie rzeki czasu. Wzdragał się przed wprowadzeniem poważniejszych zmian. Żądza przygody, o ile nie była ona przygodą intelektualną, została wyeliminowana z jego świadomości tak skrupulatnie, jak ze świadomości innych mieszkańców Diaspar.

Wciąż jednak, choć silnie stłumiona, tliła się w nim ta iskierka ciekawości, która niegdyś stanowiła największy dar dany Człowiekowi. Wciąż był gotów do podejmowania ryzyka.

Patrzył na Alvina i próbował przypomnieć sobie swą własną młodość, swe własne marzenia sprzed pół tysiąca lat. Nie wyróżniał się wtedy spośród swoich rówieśników. Było tak, dopóki nie osiągnął wieku, w którym powróciły utajone wspomnienia z poprzedniego życia i wtedy dopiero podjął rolę wyznaczoną mu dawno temu. Czuł czasami złość na inteligencję, która stworzyła Diaspar z tak nieskończoną doskonałością i która jeszcze teraz, po tylu wiekach, potrafi poruszać nim jak lalką na scenie. Teraz być może nadszedł czas na długo odwlekany rewanż. Pojawił się nowy aktor, który może spuścić po raz ostatni kurtynę na sztukę mającą już zbyt wielu wykonawców.

Sympatia do tego, którego samotność musiała być jeszcze większa niż jego, znudzenie wiekami powtórek oraz szelmowska skłonność do figłów — to wszystko skłoniło Khedrona do działania.

— Może potrafię ci pomóc — odezwał się do Alvina — a może nie. Nie chcę wzniecać w tobie płonnych nadziei. Spotkamy się za pół godziny na przecięciu Promienia trzeciego z Promieniem drugim. Nawet jeśli się nie uda, to obiecuję ci interesującą wyprawę.

Alvin stawił się na spotkanie dziesięć minut przed umówionym czasem. Czekał niecierpliwie obserwując przesuające się niestrudzenie ruchome chodniki, niosące spokojnych i zadowolonych mieszkańców w ich błahych interesach. Dojrzał wreszcie wysoką postać Khedrona pojawiającą się w oddali i w chwilę później był po raz pierwszy w fizycznej obecności Błazna. Upewnił się o tym, gdy uścisnęli sobie dłonie w starożytnym geście powitania.

Błazen przysiadł na jednej z marmurowych balustrad i przyglądał się Alwinowi z nie skrywanym zaciekawieniem.

— Ciekaw jestem — odezwał się wreszcie — czy wiesz, o co prosisz. Ciekaw też jestem, co byś zrobił, gdybyś uzyskał odpowiedź. Czy naprawdę sądzisz, że mógłbyś opuścić miasto, nawet gdybyś znalazł drogę?

— Jestem tego pewien — odparł odważnie Alvin, ale Khedron wyczuł w jego głosie nutkę niepewności.

— Pozwól więc, że powiem ci coś, czego możesz nie wiedzieć. Widzisz te wieże? — Khedron wskazał na sąsiadujące ze sobą, bliźniacze szczyty Centralnej Siłowni i Gmachu Rady przedzielone głębokim na milę kanionem. — Przypuśćmy, że między tymi wieżami przerzuciłbym niezawodnie wytrzymałą kładkę o szerokości zaledwie sześciu cali. Czy przeszedłbyś po niej?

Alvin zawahał się.

— Nie wiem — odparł po chwili. — Wolałbym nie próbować.

— Ja jestem zupełnie pewien, że nigdy byś tego nie zrobił. Zakreśliłoby ci się w głowie i spadłbyś na dół nie uszedłszy dziesięciu kroków. Jeśli jednak taka sama kładka leżałaby na ziemi, przeszedłbyś po niej bez żadnych trudności.

— I czego to dowodzi?

— Słuszności prostej tezy, którą chcę postawić. W obu eksperymentach, które ci opisałem, kładka była idealnie taka sama. Jeden z tych poruszających się na kółkach robotów, które czasami spotykasz, przejechałby po niej równie łatwo, gdyby była przerzucona między tymi wieżami, jak i gdyby leżała na ziemi. My byśmy tego nie potrafili, bo cierpimy na lęk wysokości. Ta fobia może być czasami irytująca, ale jest zbyt silna, żeby ją ignorować; rodzimy się z nią.

Na tej samej zasadzie cierpimy na lęk przestrzeni. Pokaż któremukolwiek człowiekowi z Diaspar drogę prowadzącą za miasto — drogę, która może być zupełnie taka sama, jak te tutaj, przed nami, a nie ujdzie nią daleko. Będzie musiał zawrócić tak, jak zawróciłbyś ty, wszedłszy na kładkę łączącą te dwie wieże.

— Ale dlaczego? — spytał Alvin. — Musiały być czasy...

— Wiem, wiem — przerwał mu Khedron. — Ludzie podróżowali kiedyś po całym świecie i do samych gwiazd. Coś ich zmieniło i obdarzyło lękiem, z którym się teraz rodzą. Tylko ty wyobrażasz sobie, że nań nie cierpisz. No cóż, przekonamy się. Zabieram cię do Gmachu Rady.

Gmach, jeden z największych budynków w mieście, oddany był we władanie maszynom będącym faktycznymi administratorami Diaspar. Sala, w której zbierała się Rada w tych rzadkich przypadkach, kiedy miała coś do przedyskutowania, znajdowała się niemal u samego szczytu.

Połąknęło ich szerokie wejście i Khedron natychmiast znikł w złocistej poświacie. Alvin nigdy dotąd nie wchodził do Gmachu Rady. Nie zabraniał tego żaden przepis — w Diaspar niewiele było obwarowanych zakazami rzeczy — ale jak wszyscy inni, czuł w stosunku do tego miejsca jakąś na wpół religijną cześć. W świecie, który nie znał bogów, Gmach Rady był czymś w rodzaju świątyni.

Khedron bez wahania prowadził Alvina korytarzami i pochylniami przeznaczonymi najwyraźniej nie dla ludzi, lecz dla poruszających się na kołach maszyn. Niektóre z tych pochylni opadały i wznosiły się zygzakami pod tak ostrym kątem, że byłoby niemożliwe iść nimi, gdyby zakrzywiona grawitacja nie kompensowała pochyłości.

Dotarli w końcu do zamkniętych drzwi, które rozsunęły się cicho, kiedy podeszli bliżej, a potem zamknęły za ich plecami. Zobaczyli przed sobą drugie drzwi. Te nie otworzyły się, gdy się do nich zbliżyli. Khedron nie próbował nawet ich dotykać. Stał i czekał. Po krótkiej chwili rozległ się cichy głos:

— Proszę podać swe imiona.

— Jestem Khedron Błazen. Towarzyszy mi Alvin.

— Po co przyszliście?

— Ze zwykłej ciekawości.

Ku zdziwieniu Alvina drzwi otworzyły się od razu. Wiedział z doświadczenia, że udzielanie

maszynom nieprecyzyjnych odpowiedzi wprowadza je w jakiś nie ustalony stan i trzeba wszystko zaczynać od początku. Maszyna, która pytała Khedrona, musiała być bardzo wyrafinowana — wysoko postawiona w hierarchii Centralnego Komputera.

Więcej przeszkód nie napotkali, ale Alvin podejrzewał, że, nie wiedząc o tym, przeszli wiele testów. Krótki korytarz zaprowadził ich do wielkiej, okrągłej sali o wpuszczonej podłodze. Na tej podłodze Alvin zobaczył coś tak zdumiewającego, że na chwilę zaniemówił z wrażenia. Patrzył na rozciągające się pod nim całe Diaspar, a najwyższe budynki miasta ledwie sięgały mu ramienia.

Sporo czasu zajęło mu wyszukiwanie na tej makiecie znajomych miejsc i obserwowanie niespodziewanych perspektyw i dopiero po dłuższej chwili przeniósł swą uwagę na resztę pomieszczenia. Ściany pokrywała mozaika ułożona precyzyjnie z mikroskopijnych białych i czarnych kwadracików; sam wzór był zupełnie chaotyczny i przesuwając po nim oczyma, Alvin odniósł wrażenie, że ten migocze szybko, chociaż w rzeczywistości wcale się nie zmieniał. Wzdłuż ścian stały, jedna przy drugiej, jakiegoś rodzaju maszyny z klawiaturami, każda tworząca całość z monitorem ekranowym i fotelem dla operatora.

Khedron pozwolił Alwinowi napatrzeć się do woli. Potem wskazał na makietę miasta i powiedział:

— Wiesz, co to jest?

— Przypuszczam, że to model — odparł pośpiesznie Alvin, ale odpowiedź ta była tak oczywista, że był pewien, iż się myli. Potrząsnął więc głową i czekał, aż Khedron sam odpowie na swoje pytanie.

— Pamiętasz — zaczął Błazen — odpowiadałem ci kiedyś, jak konserwowane jest miasto — jak w Bankach Pamięci przechowywane są wiecznie zaprogramowane niegdyś matryce? Te Banki, z całym swym niewyobrażalnym bagażem informacji definiujących bez reszty miasto, jakim jest ono teraz, są wszędzie wokół nas. Każdy atom Diaspar jest w jakiś sposób zakodowany w matrycach ukrytych w tych ścianach.

Pomachał w kierunku rozciągającego się pod nimi, idealnego, nieskończenie precyzyjnego obrazu Diaspar.

— To nie jest model; to nie istnieje w rzeczywistości. To jedynie projektowany obraz matrycy przechowywanej w Bankach Pamięci, a zatem jest identyczny z samym miastem. Te monitory umożliwiają powiększenie dowolnego, wybranego fragmentu do wielkości naturalnej. Korzysta się z nich, gdy zachodzi konieczność dokonania zmian w wyglądzie miasta, chociaż dawno już tego nie robiono. Jeśli chcesz się dowiedzieć, jak wygląda Diaspar, to tutaj właśnie musisz przyjść. Tu w kilka dni możesz się dowiedzieć więcej, niż dowiedziałbyś się chodząc po mieście przez całe życie.

— To cudowne — powiedział Alvin. — Ilu ludzi wie o istnieniu tej sali?

— Och, sporo, ale rzadko tu przychodzą. Od czasu do czasu zbiera się tu Rada. Nie można dokonać żadnych zmian w wyglądzie miasta, jeśli nie są obecni wszyscy. A nawet wtedy proponowaną zmianę musi zaaprobować Centralny Komputer. Wątpię, czy ta sala jest odwiedzana częściej niż dwa, trzy razy do roku.

Alvin ciekaw był, jak wchodzi tu Khedron, ale przypomniał sobie, że wiele z jego bardziej wyszukanych żartów musiało opierać się na gruntownej znajomości wewnętrznych mechanizmów miasta, do której można było dojść tylko w drodze żmudnych badań. Możliwość wchodzenia wszędzie i dowiadywania się wszystkiego musiała być jednym z przywilejów Błazna. Alvin nie mógł znaleźć sobie lepszego przewodnika po tajemnicach Diaspar.

— To, czego szukasz, może nie istnieć — powiedział Khedron — ale jeśli istnieje, tutaj właśnie to znajdziesz. Pozwól, że ci pokażę, jak posługiwać się monitorami.

Przez następną godzinę Alvin siedział przed jednym z ekranów i uczył się przeznaczenia jego elementów regulacyjnych. Potrafił już według życzenia wybrać dowolny punkt w mieście i przyjrzeć mu się pod dowolnym powiększeniem. Zmieniał współrzędne, a przez ekran przesuwały się ulice, wieże i budynki; wydawało mu się, że jest wszytkowiedzącym, bezcielesnym duchem, który może bez wysiłku przemieszczać się po całym Diaspar nie zatrzymywany przez jakiegokolwiek fizyczne przeszkody.

Nie badał jednak rzeczywistego Diaspar. Poruszał się wśród komórek pamięci patrząc na senny obraz miasta — na sen, który miał siłę utrzymać Diaspar nie tknięte zębem czasu przez tysiąc milionów lat. Mógł oglądać tylko tę część miasta, która była stała. Ludzie nie stanowili części tego zastygłego obrazu. Dla Alvina nie miało to żadnego znaczenia; jego uwaga skupiała się teraz całkowicie na tworze z kamienia i metalu, w którym był uwięziony, a nie na tych, którzy dzielili z nim jego los — nie buntując się przeciw niemu.

Szukał Wieży Loranne i niebawem ją znalazł. Przebył szybko korytarze i przejścia, które badał już w rzeczywistości. Gdy przed oczyma wyrósł mu obraz kamiennej kraty, poczuł niemal tchnienie zimnego wiatru wiejącego bezustannie od pustyni może od połowy dziejów ludzkości. Zbliżył się do kraty, wyjrzał na zewnątrz i nie zobaczył nic. Szok był tak wielki, że przez chwilę zwątpił w swą pamięć; czyżby jego wizja pustyni była niczym więcej, jak snem?

Potem uświadomił sobie prawdę. Pustynia nie była częścią Diaspar, a więc w tym widmowym świecie, który teraz badał, nie było żadnej o niej informacji. W rzeczywistości za kratą mogło istnieć cokolwiek; ekran nigdy tego nie pokaże.

Mógł mu jednak pokazać coś, czego nie widział jeszcze żaden żyjący człowiek. Alvin przesunął kadr poza kratę, w nicość na zewnątrz miasta. Przekręcił przełącznik zmieniający kierunek obserwacji i patrzył teraz za siebie, na drogę, którą przybył. Miał przed sobą Diaspar — widziane od zewnątrz. Ten efekt był dla Alvina przytłaczający. Chociaż duchem, jeśli już nie w rzeczywistości, wyrwał się z miasta. Wydawało mu się, że unosi się w przestrzeni o kilka stóp od pionowej ściany Wieży Loranne. Wpatrywał się przez chwilę w jej gładką, szarą powierzchnię, potem dotknął pokrętła i opuścił kadr na dół, w kierunku ziemi.

Jego plan działania był prosty. Po co spędzać miesiące i lata na badaniu Diaspar od wewnątrz — sala po sali, korytarz po korytarzu. Nie ruszając się z tego wygodnego punktu obserwacyjnego mógł okrążyć miasto wzdłuż jego murów i dostrzec bez trudu wszystkie otwory, które wychodzą na pustynię i świat leżący za nią.

Poczucie triumfu, wielkiego osiągnięcia, sprawiło, iż zrobiło mu się lekko na duszy, i wzbudziło pragnienie podzielenia się z kimś swą radością. Odwrócił się do Khedrona, chcąc podziękować Błaznowi za pomoc, ale Khedrona nie było. Szybko domyślił się dlaczego.

Alvin był chyba jedynym człowiekiem w mieście, który mógł bez obawy patrzeć na przesuwane się teraz po ekranie obrazu. Khedron pomógł mu w poszukiwaniach, ale nawet Błazen dzielił z innymi ten dziwny lęk wszechświata, który na tak długo uwięził ludzkość wewnątrz jej małego światka. Zostawił teraz Alvina, aby sam kontynuował swoje poszukiwania.

Uczucie osamotnienia, które na krótką chwilę obudziło się w duszy Alvina, szybko minęło. Tyle jeszcze zostało do zrobienia. Odwrócił się znowu do ekranu monitora, nastawił obraz ściany miasta na powolne przesuwanie się i przystąpił do obserwacji.

Przez kilka następnych tygodni Diaspar niewiele oglądało Alvina, choć tylko kilkoro ludzi zauważyło jego nieobecność. Jeserac, dowiedziawszy się, że jego uczeń, zamiast myszkować po peryferiach miasta, spędza całe dnie w Gmachu Rady, poczuł ulgę, dochodząc do przekonania, że Alvina nie mogą tam spotkać żadne kłopoty. Eriston i Etania łączyli się raz czy dwa z jego

mieszkańcem, stwierdzili, że go tam nie ma, ale nie przejęli się tym zbytnio. Trochę więcej niepokoju okazywała Alystra.

Kiedy stwierdziła, że Alvin zniknął, spytała Jeseraca, co się z nim dzieje. Jeserac, wahając się tylko przez chwilę, opowiedział jej wszystko. Jeśli Alvin nie życzył sobie towarzystwa, niech sam to wyraźnie powie dziewczynie. Stary nauczyciel ani zbytnio nie pochwalał, ani też nie ganił tej przyjaźni. Właściwie nawet lubił Alystrę i żywił nadzieję, że pod jej wpływem Alvin łatwiej przystosuje się do życia w Diaspar.

Fakt, że Alvin spędza czas w Gmachu Rady, mógł oznaczać jedynie, że zajmuje się on tam jakimiś badaniami, co rozproszyło przynajmniej obawy Alystry dotyczące ewentualnych rywalek. Ale podczas gdy jej zazdrość została uspijona, rozbudziła się w niej ciekawość. Wyrzucała sobie czasami, że zostawiła Alvina w Wieży Loranne. Wiedziała jednak, że gdyby podobna sytuacja znowu się powtórzyła, postąpiłaby dokładnie tak samo. Wiedziała, że nie zrozumie Alvina, dopóki nie dowie się, do czego on zmierza.

Alystra wkroczyła zdecydowanie do Gmachu Rady. Cisza, która ją otoczyła, gdy tylko minęła wejście, wywarła na dziewczynie duże wrażenie, ale jej nie przeraziła. Pod przeciwległą ścianą stały rzędem, jedna przy drugiej, maszyny informacyjne. Alystra wybrała na chybił trafił jedną z nich.

Gdy tylko zapalił się sygnał rozpoznania, powiedziała:

— Szukam Alvina; jest gdzieś w tym budynku. Gdzie mogę go znaleźć?

— Jest z Monitorami — padła natychmiastowa odpowiedź. Niewiele to pomogło, ponieważ nazwa "monitory" nic Alystrze nie mówiła. Żadna maszyna nie udzieli z własnej woli większej ilości informacji, niż jest to od niej wymagane, a umiejętność prawidłowego formułowania pytań była sztuką, której opanowanie zabierało często sporo czasu.

— Jak mogę do niego trafić? — spytała Alystra. Przekona się, co to za monitory, kiedy się tam znajdzie.

— Nie mogę ci powiedzieć, o ile nie jesteś w posiadaniu pozwolenia Rady.

To była najmniej spodziewana, nawet niepokojąca odpowiedź. Niewiele istniało w Diaspar miejsc, do których wstęp był zabroniony. Alystra była całkowicie pewna, że Alvin nie uzyskał zgody Rady, a to mogło jedynie oznaczać, iż ma poparcie władz zwierzchnich.

Diaspar rządziła Rada, ale sama Rada mogła być nadzorowana przez siłę nadrzędną — niemal nieograniczony intelekt Centralnego Komputera. Trudno było uważać Centralny Komputer za jednostkę obdarzoną życiem, zlokalizowaną w pojedynczym miejscu; stanowiła go w rzeczywistości suma wszystkich maszyn znajdujących się w Diaspar. Nawet jeśli nie był on żywy w sensie biologicznym, na pewno jego świadomość nie ustępowała świadomości istoty rozumnej. Musiał wiedzieć, co robi Alvin — a zatem musiał to aprobować; w innym przypadku powstrzymałby go albo skierował do Rady, jak to uczyniła z Alystrą maszyna informacyjna.

Pozostawanie tu dłużej nie miało sensu. Alystrą zdawała sobie sprawę, że jakakolwiek próba odszukania Alvina — nawet gdyby wiedziała dokładnie, gdzie się w tej chwili znajduje — byłaby z góry skazana na niepowodzenie. Drzwi nie chciałyby się otwierać; ruchome chodniki zmieniałyby kierunek unosząc ją w tył zamiast naprzód; pola wznoszące nie działałyby nie chcąc jej przenosić z jednej kondygnacji na drugą. Gdyby się pomimo to upierała, zostałaby delikatnie wyniesiona przez grzecznego, ale silnego robota na ulicę, albo byłaby wożona w kółko, po całym Gmachu Rady, dopóki by nie zgłodniała i nie opuściła budynku z własnej woli.

Wyszła na ulicę w bardzo złym nastroju. Wyczuwała tu jakąś tajemniczość, przy której wszystkie jej małe troski wydawały się nieważne. Nie miała pojęcia, co dalej robić, ale jednego była pewna: Alvin nie był jedyną osobą w mieście, która potrafi być uparta i wytrwała.

Rozdział 8

Alvin wyłączył monitor i oderwał dłonie od pulpitu sterowniczego. Obraz na ekranie zbladł i zniknął. Chłopiec siedział nieruchomo, wpatrując się w czarny prostokąt, który przez tyle tygodni przykuwał całą jego uwagę. Okrążył więc swój świat; przez ten ekran przesunęła się każda stopa kwadratowa zewnętrznego muru otaczającego Diaspar. Znał teraz miasto lepiej niż którykolwiek z żyjących ludzi, z wyjątkiem może Khedrona; i wiedział już, że przez te mury nie było żadnego przejścia.

Uczucie, które nim owładnęło, nie było zniechęceniem. Właściwie nigdy się nie spodziewał, że będzie to takie proste, że znajdzie, czego szukał, za pierwszym podejściem. Najważniejsze, że wyeliminował jedną ewentualność. Teraz musi zająć się innymi.

Wstał i podszedł do trójwymiarowego obrazu miasta wypełniającego niemal całą salę. Trudno było nie wziąć go za rzeczywistą makietę, chociaż wiedział, że to tylko optyczna projekcja matrycy przechowywanej w komórkach pamięci. Kiedy zmieniał położenia przełożenia przełączników monitora przesuwając celownikiem przez Diaspar, po powierzchni tej kopii sunęła plamka światła wskazując mu miejsce, w którym aktualnie się znajduje. Ułatwiało mu to obsługę monitora w pierwszych dniach, ale tak szybko wprawił się w ustawianiu współrzędnych, że teraz nie potrzebował już tej pomocy.

Pod nim rozciągało się miasto; patrzył na nie z góry niczym, jakiś bóg. Ledwo jednak je widział rozważając w myślach, jeden po drugim, kroki, które powinien teraz podjąć.

Jeśli zawiedzie wszystko inne, pozostanie mu tylko jedno. Diaspar mogło być utrzymywane w swym niezmiennym stanie, zakodowanym w komórkach pamięci, przez swe układy wieczności. Ale same matryce można było zmienić, a wraz z nimi zmieniłoby się miasto. Istniała możliwość przeprojektowania wycinka zewnętrznego muru tak, aby powstała w nim brama, wprowadzenia tak zmodyfikowanej matrycy do Układów Pamięci i czekania, aż miasto samo zmieni swą strukturę w myśl nowej koncepcji.

Alvin podejrzewał, że duże obszary pulpitu sterowniczego, których przeznaczenia Khedron mu nie wyjaśnił, służyły właśnie do wprowadzania takich zmian. Eksperymentowanie z innymi nie zdałoby się na nic; elementy sterownicze, za pomocą których można było modyfikować strukturę miasta, miały założone blokady i wolno ich było dotykać tylko z upoważnienia Rady i za zgodą Centralnego Komputera. Istniała niska szansa, że Rada zezwoli mu na to, nawet jeśli nastawi się na dziesięciolecia lub wieki cierpliwego proszenia, ale taka perspektywa niezbyt mu się uśmiechała.

Skierował swe myśli ku niebu. Czasami, w marzeniach, które z zażenowaniem odgrzebywał, wyobrażał sobie, że odzyskał dawno utracone przez człowieka panowanie nad przestworzami. Wiedział, że kiedyś niebo nad Ziemią wypełnione było dziwnymi kształtami. Z kosmosu, kierując się do legendarnego Portu Diaspar, nadlatywały wielkie statki z niezwykłymi skarbami. Ale Port znajdował się poza obrębem Diaspar; eony temu pogrzebały go dryfujące piaski. Mógł marzyć, że latające maszyny spoczywają wciąż ukryte w labiryntach miasta, ale tak naprawdę nie wierzył w to. Było mało prawdopodobne, aby nawet w czasach, gdy małe, prywatne samoloty znajdowały się w powszechnym użyciu, zezwalano na ich ruch w obrębie miasta.

Zatracił się na chwilę w starym znajomym śnie. Wyobrażał sobie, że jest panem przestworzy, że świat stoi przed nim otworem i zaprasza do podróży. Nie był to świat jego czasu, ale utracony świat zarania — bogata, tętniąca życiem panorama wzgórz, jezior i lasów. Zazdrościł swym nieznanym przodkom, że mogli poruszać się po całej Ziemi i czuł do nich jednocześnie żal, że pozwolili umrzeć jej pięknu.

To upajanie się marzeniami było bezcelowe; otrząsnął się z nich i powrócił do rzeczywistości, do problemu, który teraz przed nim wyrastał. Jeśli przestworza są nieosiągalne, a droga ładem zamknięta, co pozostawało?

I znowu znalazł się w miejscu, w którym potrzebował pomocy, z którego nie mógł ruszyć o własnych siłach. Ten fakt nie wprawiał go w dobry nastrój, ale był na tyle uczciwy, aby go uznać. I znowu pomyślał o Khedronie.

Umówili się na małym okrągłym placu w pobliżu Gmachu Rady. Plac miał niewiele ponad pięćdziesiąt kroków średnicy i otoczony był murkiem poprzecinanym w regularnych odstępach przejściami. Gdy Alvin zjawił się na miejscu spotkania, zastał tam już Khedrona przyglądającego się jednemu z odcinków murku. Jego powierzchnia pokryta była mozaiką barwnych płytek tak fantastycznie zagmatwaną, że Alvin nie potrafił dopatrzeć się w niej żadnego wzoru.

— Spójrz na tę mozaikę, Alvinie — odezwał się Błazen. — Czy nie dostrzegasz w niej nic dziwnego?

— Nie — przyznał Alvin po krótkich oględzinach. — Nie widzę w niej nic szczególnego. Khedron przesunął palcami po barwnych płytkach.

— Nie jesteś dobrym obserwatorem — powiedział. — Przyjrzyj się tym krawędziom... zauważ, jak się zaokrągliły i stępiły. Nieczęsto można to zobaczyć w Diaspar, Alvinie. To jest zużycie — ścieranie się materii pod naporem czasu. Pamiętam jeszcze ten wzór, kiedy był nowy. Było to osiem tysięcy lat temu, w moim poprzednim życiu. Gdy wrócę w to miejsce po przeżyciu dwunastu wcieleń, te płytki będą już całkowicie starte.

— Nie widzę w tym nic dziwnego — odparł Alvin. — W mieście istnieje wiele dzieł sztuki zbyt nieudanych, żeby wprowadzać je do układów pamięci, ale nie na tyle złych, aby je od razu zniszczyć. Przypuszczam, że pewnego dnia zjawi się inny artysta, który robi to lepiej. I jego dzieło zostanie zabezpieczone przed zniszczeniem.

— Znałem człowieka, który zaprojektował tę ściankę — powiedział Khedron, przesuwając wciąż palcem po pęknięciach mozaiki. — Dziwne, że pamiętając ten fakt, nie mogę sobie przypomnieć jego twarzy. Chyba musiałem go nie lubić i wymazałem jego obraz ze swej pamięci — roześmiał się. — Może sam ją zaprojektowałem podczas jednej z mych faz artystycznych i tak się zdenerwowałem, kiedy miasto nie chciało uwiecznić mego dzieła, że postanowiłem zapomnieć o całej sprawie. Spójrz — wiedziałem na przykład, że ten kawałek jest obluźowany!

Oderwał od ścianki jedną złotą płytkę i uśmiechając się rzucił ją na ziemię.

Alvin domyślił się, że miała to być dla niego lekcja. Powiedział mu to ten dziwny instynkt zwany intuicją, który zdaje się rozumieć przenośnie niedostępne samej tylko logice. Patrzył na leżącą u jego stóp złotą płytkę i starał się połączyć to jakoś z problemem, który okupował teraz jego umysł.

Kiedy wiedziało się, że odpowiedź istnieje, nietrudno było ją znaleźć.

— Rozumiem, co chcesz przez to powiedzieć — zwrócił się do Khedrona. — W Diaspar istnieją obiekty nie zabezpieczone w układach pamięci przed zniszczeniem, a więc nigdy ich nie znajdę za pośrednictwem monitorów z Gmachu Rady. Gdybym tam teraz poszedł i usiłował odszukać ten plac, nie znalazłbym ani śladu murku, na którym teraz siedzimy.

— Sądzę, że znalazłbyś murek, ale nie byłoby na nim tej mozaiki.

— Tak, rozumiem — powiedział Alvin zbyt niecierpliwym, aby wdawać się teraz w szczegóły. — Na tej samej zasadzie mogą istnieć fragmenty miasta, które nigdy nie zostały odwzorowane w układach wieczności, ale nie uległy jeszcze zniszczeniu. Wciąż jednak nie rozumiem, jaki to ma związek ze mną. Wiem, że zewnętrzny mur istnieje — i że nie ma w nim żadnych otworów.

— Być może nie ma drogi na zewnątrz — odparł Khedron. — Nie mogę ci nic obiecywać.

Uważam jednak, że monitory mogą nam jeszcze dużo powiedzieć — jeśli zezwoli im na to Centralny Komputer. A wydaje mi się, że on cię lubi.

W drodze do Gmachu Rady Alvin rozważał to ostatnie stwierdzenie Błazna. Do tej pory sądził, że dostał się do Monitorów tylko dzięki wpływowi Khedrona. Nie przyszło mu nawet do głowy, że stało się tak za sprawą jakiejś jego własnej cechy wewnętrznej. Odmieniec musi borykać się z wieloma przeciwnościami losu — to mogło być jedno z praw kompensujących w jakimś stopniu te niedogodności...

W sali, w której Alvin spędził ostatnio tyle godzin, dominował nadal nie zmieniony obraz miasta. Patrzył teraz nań z nowym zrozumieniem; wszystko, co widział, istniało — ale nie całe Diaspar mogło tu być odtworzone. Te nieścisłości musiały być jednak nieznaczne — i jak się domyślał — nie wykrywalne.

— Próbowałem już tego wiele lat temu — powiedział Khedron zasiadając za pulpitem monitora — ale elementy sterownicze nie reagowały wtedy na moje manipulacje. Może teraz mnie posłuchają.

Powoli, a potem z rosnącą pewnością siebie, jak gdyby odzyskując dawno zapomnianą wprawę, palce Khedrona przesuwają się nad pulpitem sterowniczym spoczywając co chwila na punktach węzłowych siatki czujnikowej wmontowanej w widniejącą przed nim płytę.

—[^] Myślę, że to było tak — odezwał się w końcu Khedron. — Zresztą zaraz się przekonamy.

Ekran rozjarzył się powracając do życia, ale zamiast obrazu, którego spodziewał się Alvin, pojawił się na nim zaskakujący komunikat:

NAWRÓT ROZPOCZNIE SIĘ Z CHWILĄ NASTAWIENIA SZYBKOŚCI COFANIA

— Głupiec ze mnie — mruknął Khedron. — Wszystko inne zrobiłem dobrze, a zapomniałem o rzeczy najważniejszej.

Jego palce znowu przesunęły się pewnie nad pulpitem. Komunikat znikł z ekranu i Khedron obrócił się wraz z fotelem, aby móc obserwować obraz miasta.

— Patrz uważnie, Alvinie — powiedział. — Wydaje mi się, że obaj dowiemy się czegoś nowego o Diaspar.

Alvin czekał cierpliwie, ale nic się nie działo. Obraz miasta unosił się przed nim w całej swej znajomej cudowności i krasie. Chciał już spytać Khedrona, na co ma zwrócić uwagę, gdy nagle w obrazie coś drgnęło. Odwrócił głowę, by zobaczyć, co było tego powodem, ale spóźnił się, gdyż poruszenie trwało tylko przez mgnienie oka. Nic się nie zmieniło; Diaspar było takie, jakim zawsze je znał. Spostrzegł, że Khedron obserwuje go z sardonicznym uśmieszkiem, spojrzawszy więc ponownie na miasto. Tym razem zmiana zaszła na jego oczach.

Jeden z budynków na obrzeżu Parku znikł nagle, a na jego miejscu pojawił się natychmiast inny, o zupełnie odmiennej konstrukcji. Transformacja zaszła tak szybko, że Alvin przeoczyłby ją, gdyby w tej chwili mrugnął powiekami. Wpatrywał się oszołomiony w nieznacznie zmienione miasto, ale po chwili zaskoczenia jego umysł zaczął szukać wyjaśnienia. Przypomniał sobie słowa, które pojawiły się na ekranie monitora: NAWRÓT ROZPOCZNIE SIĘ... i od razu wiedział, co się stało.

— To jest obraz miasta sprzed tysiąca lat — powiedział do Khedrona. — Cofnęliśmy się w czasie.

— Wyjaśniłeś to obrazowo, ale niezbyt precyzyjnie — odparł Błazen. — W rzeczywistości monitor przypomina sobie wcześniejsze wersje miasta. Przy dokonywaniu jakichkolwiek modyfikacji nie wymazywano tak po prostu zawartości komórek pamięci. Zawarta w nich informacja przenoszona była do pomocniczych jednostek pamięciowych, żeby można ją było odtworzyć, kiedy zajdzie tego potrzeba. Nastawiłem monitor na cofanie się poprzez te jednostki z szybkością tysiąca lat na sekundę. Patrzymy w tej chwili na Diaspar sprzed pół miliona lat. Żeby dostrzec bardziej radykalne zmiany,

będziemy się musieli cofnąć dużo dalej. Zwiększę szybkość.

Odwrócił się do pulpitu sterowniczego i po chwili przestała istnieć nie jedna budowla, ale cała ich grupa, a na tym miejscu pojawił się wielki, owalny amfiteatr.

— O, Arena! — powiedział Khedron. — Przypominam sobie wrzawę, jaka się podniosła, gdy postanowiliśmy się jej pozbyć. Była bardzo rzadko wykorzystywana, ale wielu ludzi darzyło ją sentymentem.

Monitor cofał się teraz poprzez swą pamięć z dużo większą szybkością; obraz Diaspar gnał pod prąd rzeki czasu miliony lat na sekundę i zmiany zachodziły tak gwałtownie, że oko za nimi nie nadążało. Alvin zauważył, że zmiany te zdają się następować cyklami; najpierw panował okres stagnacji, potem następowała cała lawina zmian, a po niej znów zaczynała się kolejna przerwa. Odnosiło się wrażenie, że Diaspar jest żywym organizmem, który musi nabrać sił po każdej eksplozji przekształceń.

Pomimo wszystkich tych modyfikacji, podstawowy plan miasta pozostawał nie zmieniony. Budynki pojawiały się i znikaly, ale rozkład ulicy wydawał się wieczny, a Park stanowił wciąż zielone serce Diaspar. Alvin zastanawiał się, jak daleko w czasie mogą cofnąć się monitory. Czy mogły wrócić do chwili położenia pod miasto fundamentów i przekroczyć zasłonę, która oddzielała znaną historię od mitów i legend Zaranja?

Cofnęli się już pięćset milionów lat w przeszłość. Za murami Diaspar była teraz inna Ziemia, ale tego monitorów nie pamiętały. Być może istniały tam jeszcze oceany i lasy, a może nawet inne miasta, których człowiek nie zdążył jeszcze opuścić w długotrwałym odwrocie do swego ostatniego domu.

Mijały minuty, a każda z nich była eonem w małym światku monitorów. Wkrótce, pomyślał Alvin, osiągnięte zostanie najwcześniejsze z tych wspomnień i nawrót się skończy. Ale chociaż lekcja była fascynująca, to nie wyciągnął z niej, jak na razie, wniosków, które pomogłyby mu w wydostaniu się z miasta takiego, jakim było ono teraz.

W nagłej, bezgłośnie implozji Diaspar skurczyło się do ułamka swojej poprzedniej wielkości. W jednej chwili znikł Park i wyparował graniczny mur pomiędzy tytanicznymi wieżami. To miasto było otwarte na świat, a rozchodzące się promieniście drogi bieging bez przeszkód ginąc gdzieś poza kadrem obejmowanym przez monitor. To było Diaspar sprzed wielkiej przemiany, jakiej uległa ludzkość.

— Nie możemy cofnąć się dalej — odezwał się Khedron, wskazując palcem ekran monitora. Pojawiły się tam słowa: **NAWRÓT ZAKOŃCZONY**. — To musi być najwcześniejsza wersja miasta, jaką przechowano w komórkach pamięci. Wątpię, czy przedtem stosowano układy wieczności; budynki mogły się wtedy zużywać naturalnie.

Alvin przyglądał się przez dłuższą chwilę makiecie starożytnego miasta. Myślał o ruchu, jaki panował na tych drogach, w czasach gdy ludzie podróżowali swobodnie po całej Ziemi, a również udawali się do innych światów. Ci ludzie byli jego przodkami; czuł bliższe pokrewieństwo z nimi niż z ludźmi, z którymi przyszło mu żyć teraz. Chciałby ich zobaczyć, jak przemierzają ulice odległego o miliard lat Diaspar i dzielić z nimi ich myśli. Jednak te myśli nie mogły być radosne, gdyż musieli już wtedy żyć w cieniu Najeźdźców. Za kilka wieków odwrócą się plecami od chwały, jaką zdobyli, i zbudują mur, który odgrodzi ich od reszty wszechświata.

Khedron przesunął kilkakrotnie obraz miasta w przyszłość i w przeszłość w ramach krótkiego okresu historii, w którym następowała ta gwałtowna transformacja. Proces przemiany małego, otwartego miasta w dużo większe i zamknięte trwał nieco ponad tysiąc lat. W tym okresie musiano skonstruować i zbudować maszyny, które tak wiernie służyły Diaspar, i wprowadzić do ich układów pamięci wiedzę, która umożliwiłaby im spełnienie zadań, do których zostały przeznaczone. Wtedy też

musiały trafić do układów pamięci podstawowe matryce wszystkich żyjących obecnie ludzi, tak aby po wywołaniu ich odpowiednim impulsem wyszli ponownie, przekształceni w materię, z Sali Tworzenia. Alvin uświadomił sobie, iż w pewnym sensie musiał istnieć w starożytnym świecie. Istniała oczywiście możliwość, że jest istotą całkowicie syntetyczną, a jego osobowość została zaprojektowana przez techników artystów, którzy pracowali narzędziami o niewyobrażalnej złożoności z myślą o pewnym, jasno określonym celu. Wydawało mu się jednak bardziej prawdopodobne, iż stanowi kompozycję ludzi, którzy kiedyś żyli i stąpali po Ziemi.

W nowym mieście bardzo niewiele pozostało ze starego Diaspar; prawie całkowicie pokrył je Park. Nawet przed przebudową, pośrodku Diaspar istniała mała, porośnięta trawą polana, w której zbiegały się promieniście wszystkie ulice. Polana ta rozrosła się później dziesięciokrotnie pochłaniając przyległe do niej drogi i budynki. W tym czasie powstał Grobowiec Yarłana Zeya, zajmując miejsce wielkiej okrągłej budowli wznoszącej się kiedyś u zbiegu wszystkich ulic. Alvin nigdy nie wierzył legendom mówiącym o starożytnym pochodzeniu Grobowca, teraz jednak zdawały się one znajdować swoje potwierdzenie.

— Może — odezwał się Alvin, uderzony nagłą myślą — zbadamy ten obraz dokładniej, tak jak zbadaliśmy wyobrażenie dzisiejszego Diaspar?

Palce Khedrona zamigotały nad pulpitem sterowniczym i na pytanie Alvina odpowiedział ekran Monitora. Kadr sunął zadziwiająco wąskimi ulicami i zbliżenie rosło w oczach. To wspomnienie Diaspar sprzed wielu wieków było wciąż tak ostre i wyraźne, jak obraz miasta, w którym żyli obecnie. Układy informacyjne przechowywały je przez tysiąc milionów lat w widmowym pseudoistnieniu, czekając na chwilę, kiedy ktoś znowu je wywoła. Ale to, na co teraz patrzył Alvin, nie było tylko wspomnieniem. To było coś bardziej złożonego — to było wspomnienie wspomnień...

Nie wiedział, czego może się z niego dowiedzieć i czy pomoże mu to w dalszych poszukiwaniach. Nieważne; to zagłębienie w przeszłość i obserwowanie świata, który istniał w dniach, kiedy ludzie wciąż jeszcze uwijali się wśród gwiazd, było fascynujące. Wskazał na niski, okrągły budynek stojący w sercu miasta.

— Zacznijmy stąd — powiedział do Khedrona. — To mi wygląda na najwłaściwsze miejsce do rozpoczęcia.

Być może miał po prostu szczęście, być może było to jakieś starożytne wspomnienie, być może podstawowa logika. Nie robiło to żadnej różnicy, ponieważ wcześniej czy później dotarłby do tego miejsca, w którym zbiegały się promieniście wszystkie ulice miasta.

W ciągu dziesięciu minut przekonał się, że nie zbiegają się tam dla samej tylko symetrii — po dziesięciu minutach widział już, że jego długie poszukiwania uwieńczone zostały sukcesem.

Rozdział 9

Alystra nie miała żadnych trudności ze śledzeniem Alvina i Khedrona. Widać było, że bardzo się śpieszą, co było w Diaspar rzeczą niezwykłą. Przez całą drogę nawet nie obejrzeliby się za siebie. Cel, do którego zmierzali, stał się oczywisty, gdy zeszli z ruchomej drogi i wkroczyli do Parku; mogli kierować się tylko do Grobowca Yarłana Zeya. W Parku nie było innych budynków, a ludziom pędzącym w takim pośpiechu jak Alvin i Khedron nie chodziło zapewne o napawanie oczu pięknymi krajobrazami.

Ponieważ na odcinku ostatnich pięciuset jardów przed Grobowcem nie było gdzie się skryć, Alystra zatrzymała się i odczekała, aż Alvin z Khedronem znikną w mroku marmurowej budowli. Gdy tylko straciła ich z oczu, zbiegła porośniętym trawą zboczem. Nie miała wątpliwości, że zdoła się ukryć za jedną z wielkich kolumn na tyle długo, żeby zobaczyć, co robią Alvin z Khedronem. Było jej obojętne, że potem mogą ją zauważyć.

Grobowiec tworzyły dwa koncentryczne pierścienie kolumn otaczające okrągły dziedziniec. Poza jednym, wąskim sektorem, kolumny całkowicie zasłaniały wnętrze, a Alystra nie chciała podchodzić od strony tego wejścia, ale dostać się do Grobowca z boku. Przeszła ostrożnie przez pierwszy krąg kolumn, rozejrzała się, czy w zasięgu wzroku nie ma nikogo, i przebiegła na palcach pustą przestrzeń oddzielającą pierwszy pierścień od drugiego. Przez szczeliny między kolumnami widziała Yarłana Zeya patrzącego na Park, który założył, i dalej, na miasto, nad którym czuwał tyle wieków.

W tej kamiennej budowli nie było nikogo więcej. Grobowiec był pusty.

W tej właśnie chwili Alvin z Khedronem znajdowali się sto stóp pod ziemią w małej klatce, której ściany zdawały się płynąć z jednostajną prędkością w górę. Było to jedyne świadectwo ruchu; nie wyczuwali śladu wibracji, wskazujących, że opadają szybko w głąb ziemi zmierzając do celu, którego żaden z nich nie potrafił sobie jeszcze wyobrazić.

Wszystko to było absurdalnie proste; ta droga została dla nich przygotowana. ("Przez kogo?" — zastanawiał się Alvin. — "Przez Centralny Komputer? A może przez samego Yarłana Zeya, kiedy ten przebudowywał miasto?") Monitor pokazał im długi, pionowy szyb prowadzący w głąb, ale zanim zbadali niewielki jego odcinek, obraz znikł. Oznaczało to, że żądali informacji, której monitor nie miał i być może nigdy nie był w jej posiadaniu.

Ledwie Alvin o tym pomyślał, ekran znów ożył. Pojawił się na nim krótki komunikat podany uproszczonym stylem, którego maszyny używały do komunikowania się z człowiekiem, chociaż zrównały się już z nim intelektualnie:

STAŃ TAM, GDZIE PATRZY STATUA, I PAMIĘTAJ: DIASPAR NIE ZAWSZE BYŁO TAKIE

Ostatnie pięć słów złożone było z większych liter i znaczenie całego komunikatu od razu stało się dla Alvina jasne. Zakodowane polecenia stosowano od dawna do otwierania drzwi czy sterowania maszynami. Polecenie "Stań tam, gdzie patrzy statua" było aż za proste.

— Ciekaw jestem, ilu ludzi czytało ten komunikat? — powiedział w zamyśleniu Alvin.

— O ile wiem, czternastu — odparł Khedron — choć mogło ich być więcej. — Nie rozwinął tej raczej tajemniczej uwagi, ale Alwinowi zbyt było spieszno dostać się do Parku, aby prosić o wyjaśnienia.

Nie mieli pewności, czy mechanizmy będą wciąż reagowały na impuls wyzwalający. Gdy dotarli do Grobowca, zlokalizowanie wśród płyt pokrywających jego posadzkę tej jednej, na której spoczywało spojrzenie Yarłana Zeya, zajęło im tylko chwilę. Na pierwszy rzut oka wydawało się, że statua patrzy na miasto; gdy stanęło się bezpośrednio przed nią, można było zauważyć, że Yarłan Zey, z nieuchwytnym uśmiechem na ustach, spogląda spod spuszczonej powiek na miejsce znajdujące się

w wejściu do Grobowca. Po odkryciu sekretu nie mogło być co do tego żadnych wątpliwości. Alvin przeszedł na sąsiednią płytę i stwierdził, że Yarlan Zey nie patrzy już w jego kierunku.

Stanął znowu obok Khedrona i powtórzył w myślach słowa, które Błazen wypowiedział głośno: DIASPAR NIE ZAWSZE BYŁO TAKIE. Wyczekująca na ten rozkaz maszyna zareagowała natychmiast, jakby nie istniały te miliony wieków, jakie upłynęły od czasów, kiedy po raz ostatni go usłyszała. Wielka kamienna płyta, na której stali, zaczęła zapadać się płynnie wraz z nimi w otchłań.

Kwadrat błękitu nad ich głowami zamigotał i znikł. Szyb nie był już otwarty; nie było niebezpieczeństwa, że ktoś przypadkowo do niego wpadnie. Alvin sądził zrazu, że na miejscu tej, która unosiła teraz jego i Khedrona, zmaterializowała się w jakiś sposób inna płyta, ale po chwili zarzucił tę myśl. W posadzce Grobowca tkwiła prawdopodobnie wciąż oryginalna płyta; ta, na której teraz stali, istniała przez nieskończenie mały ułamek sekundy i była bez przerwy odtwarzana na coraz to większej głębokości szybu, aby stwarzać wrażenie płynnego ruchu w dół.

Podczas jazdy w dół szybu Alvin i Khedron nie odzywali się do siebie. Khedron znowu zmagął się ze swym sumieniem, zastanawiając się, czy tym razem nie posunął się za daleko. Nie potrafił sobie wyobrazić, dokąd zawiedzie ich ta podróż, o ile w ogóle gdzieś ich zawiedzie. Po raz pierwszy w życiu zaczynał rozumieć prawdziwe znaczenie strachu.

Alvin nie bał się; był zbyt podniecony. Tego uczucia doznał po raz pierwszy w Wieży Loranne, kiedy wyglądał na zewnątrz, na nie tkniętą ludzką stopą pustynię i widział gwiazdy rozbłyskujące na nocnym niebie. Wtedy patrzył tylko na nieznaną; teraz zmierzał ku niemu.

Ściany przestały sunąć w górę. Z boku ich tajemniczo poruszającej się klatki pojawiła się szpara światła, jaśniała i jaśniała i nagle okazało się, że są to drzwi. Wyszli przez nie na zewnątrz, zrobili kilka kroków krótkim korytarzykiem i nagle znaleźli się w wielkiej, okrągłej pieczarze. Jej łagodnie zakrzywione ściany schodziły się ze sobą jakieś trzysta stóp ponad ich głowami.

Kolumna, której wewnątrz zjechali na dół, wydawała się zbyt wysmukła, aby podtrzymywać ciężące na niej tony skały; prawdę mówiąc nie wyglądała wcale na integralną część sali, a sprawiała wrażenie wprowadzonej tu później. Khedron, idąc za spojrzeniem Alvina, doszedł do tego samego wniosku.

— Ta kolumna — powiedział urywanym głosem, jak gdyby z trudnością dobierał słowa — została chyba zbudowana po to, aby ukryć szyb, którym tu przybyliśmy. Nie mogła przecież służyć tłumom, jakie musiały się tędy przewijać, gdy Diaspar było jeszcze otwarte na świat. Ruch odbywał się prawdopodobnie tymi tam tunelami; przypuszczam, że domyślasz się, czym one są?

Alvin omiół wzrokiem ściany sali oddalone o ponad sto jardów. Dziurawiły je w regularnych odstępach wielkie tunele — było ich dwanaście. Rozchodziły się promieniście we wszystkich kierunkach, dokładnie tak samo, jak ruchome drogi w mieście. Zauważył, że wznoszą się łagodnie pod górę, i nagle rozpoznał znajomą szarą nawierzchnię. Były to korzenie wielkich dróg; dziwny materiał, który je ożywiał, był tu zakrzepnięty. Podczas zakładania Parku zasypano centrum ruchomych dróg, ale nigdy go nie zniszczono.

Alvin ruszył w kierunku najbliższych tuneli. Uszedł zaledwie kilka kroków, gdy zorientował się, że podłoże pod jego stopami zmienia swą postać. Stawało się przezroczyste. Jeszcze kilka kroków i wydało mu się, że stoi w powietrzu bez widocznego punktu podparcia. Zatrzymał się i spojrzał w otwierającą się pod nim otchłań.

— Khedronie! — zawołał. — Chodź tutaj!

Khedron dołączył do Alvina i razem wpatrywali się w cud roztaczający się pod ich stopami. Ledwie widoczna, na nieokreślonej głębokości, rozpościerała się tam ogromna mapa — wielka pajęczyna linii zbiegających się w jednym punkcie — pod centralnym szybem. Przez chwilę patrzyli

w milczeniu, potem Khedron spytał cicho:

— Czy wiesz, co to jest?

— Sądzę, że wiem — odparł Alvin. — To jest mapa całego systemu komunikacyjnego, a te małe kółeczka muszą oznaczać inne miasta Ziemi. Dostrzegam obok nich nazwy, ale są zbyt wyblakłe, aby je odczytać.

— Musiały być kiedyś w jakiś sposób podświetlane — powiedział w zamyśleniu Khedron. Przyglądał się widniejącym pod jego stopami liniom, śledząc wzrokiem ich bieg w kierunku ścian sali.

— Chyba tak! — wykrzyknął nagle. — Czy zauważyłeś, że wszystkie te linie rozchodzą się promieniście i prowadzą do małych tuneli?

Alvin dopiero teraz zauważył, że oprócz wielkich łuków tuneli, w których niknęły ruchome drogi, w ścianach widnieją również wloty mniejszych tuneli prowadzących na zewnątrz sali — tuneli, które opadały w dół, zamiast wznosić się w górę.

Khedron ciągnął dalej nie czekając na odpowiedź:

— Trudno byłoby obmyślić prostszy system. Ludzie zjeżdżają na dół ruchomymi drogami, wybierają miejsce, do którego chcą się udać, a następnie idą wzdłuż odpowiedniej linii na mapie.

— I co się z nimi potem dzieje? — spytał Alvin. Khedron milczał. Jego oczy starały się rozwiązać tajemnicę opadających tuneli. Było ich trzydzieści albo czterdzieści i wszystkie wyglądały dokładnie tak samo. Tylko nazwy na mapie umożliwiały ich odróżnienie, a te nazwy były teraz nie do odczytania.

Alvin zostawił zadumanego Khedrona i obszedł dookoła centralną kolumnę. Wtem do uszu Khedrona doszedł jego głos, przytłumiony nieco i zniekształcony echem odbitym od ścian sali.

— O co chodzi?! — zawołał Khedron nie podnosząc głowy, ponieważ bliski był już odczytania jednej z niewyraźnych grup liter, ale w głosie Alvina brzmiała tak ponagląca nuta, że porzucił swoje zajęcie i poszedł w jego kierunku.

Daleko w dole widniała druga połowa wielkiej mapy. Jej blada pajęczyna rozchodziła się promieniście we wszystkie strony. Tym razem jednak rysunek nie był tak zamglony, jak ten po drugiej stronie centralnej kolumny. Jedna, i tylko jedna z linii była jasno podświetlona. Wydawało się, że nie ma żadnego połączenia z resztą systemu i niczym jarząca się strzała wskazywała na jeden z opadających w dół tuneli. W pobliżu końca linia ta przecinała złote kółko, przy którym płonęło jasnym światłem słowo LYS. To było wszystko.

Przez długą chwilę Alvin z Khedronem stali w bezruchu wpatrując się w ten milczący symbol. Dla Khedrona było to wyzwanie, którego, wiedział to z góry, nigdy nie podejmie i dlatego wołałby teraz znaleźć się z powrotem w mieście. Ale dla Alvina oznaczało to spełnienie wszystkich jego marzeń. Chociaż nazwa LYS nic mu nie mówiła, wypowiedział ją na głos, smakując w ustach jej brzmienie. Krew tętniła mu w żyłach, a na policzki wystąpił gorączkowy rumieniec. Rozglądał się po wielkiej sali próbując sobie wyobrazić, jak wyglądała w starożytnych czasach, kiedy nie było już komunikacji powietrznej, ale miasta Ziemi nadal się ze sobą kontaktowały. Myślał o niezliczonych milionach lat, w ciągu których ruch tutaj powoli zamierał i gasły, jedno po drugim, światełka na wielkiej mapie, aż w końcu pozostało tylko jedno. Zastanawiał się, jak długo płonęło wśród pociemniałych korytarzy, aby pokierować krokami, które nigdy nie nadejdą, zanim Yarlan Zey nie zaplombował ruchomych dróg i nie odciął Diaspar od reszty świata.

A było to tysiąc milionów lat temu. Już wtedy Lys musiało stracić kontakt z Diaspar. Było chyba niemożliwe, aby przetrwało; może ta mapa nic teraz nie oznacza.

Z zadumy wyrwał go Khedron. Wyglądał na zdenerwowanego i roztrzęsionego. Nie przypominał

zupełnie tej śmiałej, pewnej siebie osoby, jaką był zawsze na górze, w mieście.

— Wydaje mi się, że nie powinniśmy iść dalej — powiedział. — To może być niebezpieczne, o ile... o ile nie będziemy lepiej przygotowani.

Propozycja była rozsądna, ale Alvin wyczuł w głosie Khedrona ukrytą nutkę strachu. Gdyby nie to, poszedłby może za radą Błazna, ale świadomość własnego męstwa połączona z pogardą dla bojaźliwości Khedrona popchnęła Alvina naprzód. Jak można się było cofać teraz, gdy cel mógł być już tuż-tuż.

— Pójdę tym tunelem — oświadczył z uporem, jak gdyby oczekiwał, że Khedron będzie próbował go powstrzymać. — Chcę zobaczyć, dokąd prowadzi. — Ruszył śmiało naprzód i Błazen, po chwili wahania, podążył za nim. Drogowskazem była im płonąca pod stopami strzała światła.

Wkroczywszy do tunelu poczuli znajomy ciąg pola perystaltycznego i już po chwili zjeżdżali łagodnie w dół. Podróż trwała zaledwie minutę; pole uwolniło ich ze swych objęć w końcu długiej wąskiej sali w kształcie półcyindra. W jej drugim, odległym końcu widniały w ścianie dwa biegnące w nieskończoność, mdło oświetlone tunele.

Otoczenie, w którym się znaleźli, rozpoznaliby bez trudu członkowie każdej cywilizacji, jaka istniała na Ziemi od czasów Zarania, ale dla Alvina i Khedrona był to zupełnie obcy świat. Przeznaczenie długiej maszyny o opływowych kształtach, wycelowanej jak pocisk w odległy tunel, było oczywiste, ale w niczym nie umniejszało tego wrażenia obcości, jakie ich ogarniało. Górna część maszyny wykonana była z przezroczystego materiału i zaglądając do środka, Alvin widział rzędy luksusowych foteli. Nie dostrzegał śladu jakiegokolwiek wejścia. Cała maszyna unosiła się na stopę ponad pojedynczym metalowym prętem biegnącym w dal i znikającym w jednym z tuneli. Kilka jardów dalej biegł drugi taki pręt prowadzący do drugiego tunelu, ale nad nim nie unosiła się żadna maszyna. Alvin był przekonany, tak jakby ktoś mu o tym powiedział, że ta druga maszyna spoczywa w podobnej do tej sali gdzieś tam, pod nieznanym, odległym Lys.

Khedron zaczął mówić, szybko wyrzucając z siebie słowa:

— Co za osobliwy system komunikacyjny! Może obsłużyć tylko sto osób naraz, a więc nie spodziewali się chyba dużego natężenia ruchu. I dlaczego zadali sobie tyle trudu, żeby zagrzebać się w ziemi, skoro przestworza były jeszcze otwarte? Być może Najeźdźcy nie pozwolili im nawet latać, chociaż trudno mi w to uwierzyć. A może wydrążono te tunele podczas okresu przejściowego, kiedy ludzie jeszcze podróżowali, ale wystrzegali się wszystkiego, co przypominało im kosmos? Mogli w ten sposób przemieszczać się z miasta do miasta nie widząc nieba i gwiazd. — Roześmiał się nerwowo. — Pewien jestem jednego, Alvinie. Lys, kiedy istniało, było bardzo podobne do Diaspar. Wszystkie miasta musiały być zasadniczo podobne do siebie. Nic dziwnego, że w końcu je opuszczono i powstało Diaspar. Jaki sens miało utrzymywanie więcej niż jednego ośrodka miejskiego?

Alvin ledwie go słyszał. Pochłonięty był oględzinami długiego pocisku w poszukiwaniu wejścia do niego. Jeśli maszyna reagowała na jakiś zakodowany rozkaz myślowy, czy wypowiedany głośno, to mała była szansa, że zdoła zmusić ją do posłuszeństwa, duża natomiast na to, że strawi resztę życia na szukaniu tego szyfru i w końcu oszaleje.

Otwierające się bezszelestnie drzwi zaskoczyły go zupełnie. Nie rozległ się żaden dźwięk, żadne ostrzeżenie — wycinek burty pojazdu po prostu znikł i przed jego oczyma ukazało się pięknie zaprojektowane wnętrze.

Nadszedł moment decyzji. Aż do tej pory mógł w każdej chwili zawrócić. Wiedział jednak, co się stanie, jeśli wejdzie przez to zapraszające wejście, chociaż nie miał pojęcia, czym to się skończy. Nie będzie już pod kontrolą swego przeznaczenia, a odda się we władanie nieznanym siłom.

Wahał się tylko przez chwilę. Obawiał się, że jeśli będzie zbyt długo zwlekał, taka okazja może się już nie powtórzyć — a nawet jeśli się powtórzy, jego odwaga może nie sprostać żądzy poznania. Khedron otworzył usta w niemym proteście, ale zanim zdążył wydobyć z siebie głos, Alvin przekroczył próg i znalazł się we wnętrzu pojazdu. Odwrócił się do Khedrona stojącego w ramie ledwo widocznego prostokąta drzwi i na moment zaległa napięta cisza. Obaj czekali, aż przemówi ten drugi.

Decyzja została podjęta bez ich udziału. Wejście zmatowiało lekko na ułamek sekundy i burta zasklepiła się. Gdy Alvin unosił rękę w geście pożegnania, długi cylinder ruszał już naprzód nabierając szybkości. Zanim zanurzył się w tunelu, pędził już szybciej od biegnącego człowieka.

Były czasy, kiedy w podobnych maszynach takie podróże odbywało codziennie miliony ludzi, przebywając drogę z domów do pracy i z powrotem. Od tych odległych dni Człowiek zbadał wszechświat i powrócił na Ziemię — zbudował Imperium i wypuścił je z rąk. Teraz, w maszynie, w której legiony zapomnianych i zwykłych ludzi czułoby się jak w domu, podróżował w nieznane Alvin.

I miała to być najbardziej brzemienne w skutki podróż, jaką podejmował człowiek od miliarda lat.

Alystra przeszukała Grobowiec kilkakrotnie, chociaż wystarczyło to zrobić tylko raz, gdyż i tak nie było tam gdzie się ukryć. Po otrząśnięciu się z pierwszego szoku, zaczęła się zastanawiać, czy zamiast żywych Alvina i Khedrona nie śledziła czasem ich projekcji. Ale to nie miało sensu; projekcje można było materializować od razu w żądanym miejscu, bez potrzeby udawania się tam osobiście. Żadna normalna osoba nie kazałaby "spacerować" swojemu projektowanemu obrazowi przez dwie mile, tracąc na dotarcie do celu pół godziny, kiedy mogła się tam znaleźć momentalnie. Nie, to prawdziwi Alvin i Khedron wchodzili do Grobowca.

Gdzieś zatem musiało istnieć sekretne wejście. Oczekując ich powrotu mogła przecież go poszukać.

Jak to zwykle bywa w takich wypadkach, nie zauważyła pojawienia się Khedrona, gdyż badała kolumnę za statua, gdy ten wynurzył się spod ziemi po drugiej jej stronie.

Usłyszała kroki, odwróciła się i od razu spostrzegła, że Khedron jest sam.

— Gdzie jest Alvin?! — krzyknęła.

Błazen nie odpowiedział od razu. Wyglądał na roztrzęsionego, wzrok miał nieobecny i Alystra musiała powtórzyć swe pytanie, zanim ją zauważył. Nie okazał żadnego zdziwienia jej obecnością.

— Nie wiem, gdzie on jest — odezwał się w końcu. — Mogę ci tylko powiedzieć, że znajduje się w drodze do Lys. Teraz wiesz tyle, co ja.

Słów Khedrona nigdy nie można było brać na serio, ale Alystra nie potrzebowała więcej dowodów na to, aby sobie uświadomić, że Błazen nie gra dzisiaj swojej roli. Powiedział jej prawdę — cokolwiek mogła ona oznaczać.

Rozdział 10

Po zamknięciu się drzwi Alvin opadł na najbliższy fotel. Miał wrażenie, że cała siła uszła mu z nóg: poznał wreszcie ten strach przed nieznanym, który dręczył jego współobywateli, a którego do tej pory nie doświadczył. Czuł, jak drży mu każdy mięsień, a wzrok staje się zamglony i nie może go na dłużej skupić na żadnym przedmiocie. Gdyby mógł teraz czmychnąć z tej pędzącej maszyny, zrobiłby to skwapliwie, nawet za cenę rezygnacji z urzeczywistnienia swych marzeń.

Nie ogarniał go sam tylko strach, ale i poczucie nie dającej się znieść samotności. Wszystkim, co znał i kochał, było Diaspar. Nawet jeśli nie natknie się na żadne niebezpieczeństwo, może już nigdy nie ujrzeć swego świata. Wiedział teraz, co to znaczy opuścić na zawsze swój dom rodzinny. Nie obchodziło go w tej chwili, co go czeka na końcu tej podróży; ważne było tylko, że oddala się od domu.

Nastrój przygnębienia z wolna mijał; opuściły go mroczne myśli. Zaczął rozglądać się w koło po nieprawdopodobnie starym pojeździe, który unosił go w dal. Nie dziwiło zbyt Alwina, że ten podziemny system komunikacyjny funkcjonuje bez zarzutu po upływie tylu wieków. Nie był on chroniony przez układy wieczności samego miasta, ale musiały gdzieś istnieć podobne systemy zabezpieczające go przed awarią czy zniszczeniem.

Dopiero teraz zauważył tablicę wskaźników, stanowiącą część przedniej ściany. Na znajdującym się na niej ekranie widniał krótki, ale treściwy komunikat:

LYS 35 MINUT

Na jego oczach liczba "35" zmieniła się na "34". To była już użyteczna informacja, chociaż nie znając szybkości, z jaką poruszała się maszyna, nie mógł sobie wyrobić pojęcia co do odległości dzielącej go jeszcze od kresu podróży. Ściany tunelu stanowiły nieprzerwaną smugę szarości, a jedynym wrażeniem ruchu była lekka wibracja, której nawet by nie zauważył, gdyby jej nie szukał.

Diaspar musiało już pozostać o mile za nim i mknęli teraz pewnie pod powierzchnią pustyni z jej ruchomymi piaskowymi wydhami. Być może znajduje się już pod popękаныmi wzgórzami, które tak często obserwował z Wieży Loranne.

Wyobraźnia Alwina pomknęła przodem do Lys. Co to za miasto? Pomimo starań potrafił sobie tylko wyobrazić drugą, mniejszą wersję Diaspar. Ciekaw był, czy jeszcze istnieje, ale przecież gdyby było inaczej, ta maszyna nie niosłaby go z taką prędkością w tamtym kierunku.

Wyczuł nagle wyraźną zmianę wibracji pod stopami. Pojazd zwalniał — nie było co do tego żadnych wątpliwości. Czas musiał płynąć szybciej, niż myślał. Zdziwiony nieco, zerknął na wyświetlacz.

LYS 23 MINUTY

Zaintrygowany i nieco przestraszony przycisnął twarz do szyby. Prędkość, z jaką pędzili, rozmazywała ściany tunelu w szarą smugę, ale teraz od czasu do czasu dostrzegał na mgnienie oka znaki, które znikwały niemal tak szybko, jak się pojawiały, przy czym każdy kolejny znak zdawał się pozostawać w polu widzenia nieco dłużej.

Nagle, bez żadnego ostrzeżenia, ściany tunelu umknęły na boki. Maszyna, rozwijając wciąż wielką prędkość, mijała wielką, pustą halę, daleko większą od sali ruchomych dróg.

Wyglądając z zachwytem przez przezroczystą burtę swego pojazdu, Alvin dostrzegał pod sobą pajęczynę prętów prowadzących, prętów, które przecinały się w wielu miejscach i krzyżowały, aby potem niknąć w labiryncie tuneli po obu stronach hali. Z góry, ze sklepionej łukowato kopuły sufitu, spływała powódź jaskrawego niebieskiego światła. W blasku tym odróżniał sylwetki wielkich maszyn. Światło było tak jasne, że raziło oczy, i Alvin domyślił się, że nie było to miejsce

przeznaczone dla człowieka. W chwilę później jego pojazd minął w wielkim pędzie rząd cylindrów spoczywających w bezruchu nad swymi szynami prowadzącymi. Były dużo większe od tego, w którym podróżował, i Alvin doszedł do wniosku, że musiały służyć do transportu towarów. Wokół nich tłoczyły się niewiadomego przeznaczenia wieloprzegubowe mechanizmy, wszystkie ciche i nieruchome.

Prawie tak szybko, jak się pojawiła, ogromna hala zniknęła za pędzącym pojazdem. Przejazd przez nią odcisnął się w umyśle Alvina piętnem grozy; po raz pierwszy zrozumiał znaczenie wielkiej pociemniałej mapy z podziemi Diaspar. Świat krył w sobie więcej dziwów, niż kiedykolwiek odważył się marzyć.

Zerknął znowu na wyświetlacz. Wskazanie nie zmieniło się. Przejazd przez ogromną halę nie trwał nawet minuty. Maszyna znów przyspieszyła; chociaż wrażenie ruchu było nikłe, ściany tunelu po obu bokach umykały w tył z niewyobrażalną prędkością.

Wydawało mu się, że upłynął wiek, zanim znowu nastąpiła nieokreślona zmiana wibracji. Wyświetlacz wskazywał teraz:

LYS 1 MINUTA

i ta minuta była najdłuższa w życiu Alvina. Maszyna zwalniała coraz bardziej, aż wreszcie zatrzymała się.

Długi cylinder wysunął się bezgłośnie z tunelu i wpadł do sali, która mogłaby być bliźniaczką tej spod Diaspar. Alvin był w pierwszej chwili zbyt podniecony, aby skupić na czymś wzrok; drzwi stały już dłuższy czas otworem, gdy zdał sobie sprawę, że może wysiąść z pojazdu. Opuszczając spiesznie maszynę, po raz ostatni rzucił okiem na wyświetlacz. Widniejący na nim komunikat uspokoił go:

DIASPAR 35 MINUT

Przystępując do poszukiwania drogi wyjścia z sali, Alvin natrafił na pierwsze oznaki świadczące o tym, iż trafił do różnej od jego cywilizacji. Droga na powierzchnię wiodła tutaj niskim, szerokim tunelem, wejście do której widniało w jednej ze ścian sali. W górę tunelu pięło się pasmo schodów. Schody spotykało się w Diaspar niezwykle rzadko; tam gdzie występowała różnica poziomów, architekci miasta wprowadzali rampy lub pochyłe korytarze. Przetrwało to z czasów, gdy większość robotów poruszała się na kołach i schody stanowiły dla nich przeszkodę nie do przebycia.

Pasma schodów było bardzo krótkie i kończyło się przed drzwiami, które otworzyły się automatycznie, gdy tylko Alvin się do nich zbliżył. Chłopiec wszedł do małej klatki, podobnej do tej, która zwiozła go w podziemia pod Grobowcem Yarlana Zeya, i nie zdziwił się zbytnio, kiedy po upływie kilku minut drzwi otworzyły się ponownie, a za nimi ukazał się sklepiony, pochyły korytarz, wznoszący się ku widniejącej na jego końcu bramie. Nie czuł żadnego ruchu, wiedział jednak, że musiał się wnieść kilkaset stóp, by tu dotrzeć. Pobiegł korytarzem w kierunku zalanego słońcem otworu zapominając zupełnie o strachu.

Znalazł się na szczycie niewysokiego wzgórza i przez chwilę wydawało mu się, że jest nadal w centralnym parku Diaspar. Ale jeśli nawet był to park, to nie sposób było objąć umysłem jego ogromu. Miasta, które spodziewał się ujrzeć, nie było nigdzie widać. Jak okiem sięgnąć, ciągnęły się tu lasy i porośnięte trawą równiny.

Alvin przeniósł wzrok na horyzont; tam, ponad drzewami, otaczając wielkim łukiem cały ten świat, wznosiło się kamienne pasmo, przy którym najpotężniejsze giganty Diaspar wyglądałyby jak karzełki. Odległość była tak wielka, że nie dało się rozróżnić szczegółów, ale w tych zarysach tkwiło coś, co zaintrygowało Alvina. Jego oczy przywykły wreszcie do skali tego kolosalnego krajobrazu i wiedział już, że te dalekie ściany nie zostały wzniesione przez człowieka.

Czas nie zniszczył wszystkiego; Ziemia nosiła jeszcze na sobie góry, z których mogła być dumna.

Przez dłuższy jeszcze czas stał Alvin u wylotu tunelu, przyzwyczajając się z wolna do świata, w którym się znalazł. Był na wpół oszołomiony wstrząsem, jaki wywarł na nim widok tych niezmiernych przestrzeni. Odległy pierścień gór mógł opasać tuzin miast tak wielkich jak Diaspar. Nie dostrzegał jednak śladów życia ludzkiego. Ale droga, która prowadziła zboczem wzgórza w dół, wyglądała na dobrze utrzymaną; nie miał lepszego wyboru, jak zdać się na nią.

U stóp wzgórza droga znikła między wielkimi drzewami, które niemal przesłaniały słońce. Gdy Alvin wszedł w ich cień, przywitała go dziwna mieszanina zapachów i dźwięków. Szelest wiatru wśród liści znał już wcześniej, ale oprócz niego rozbrzmiewało tam tysiące innych odgłosów, które niczego mu nie przypominały. Jego oczy zaatakowały nieznane barwy, w nozdrza uderzyły wonie zapomniane na równi z historią jego rasy. Ciepło, bogactwo zapachów i kolorów, niewidzialna obecność milionów żywych stworzeń poraziły go z niemal fizyczną gwałtownością.

Na jezioro natknął się bez żadnego ostrzeżenia. Drzewa po prawej nagle się urwały i ujrzał przed sobą wielkie rozlewisko wody, poznaczone kleksami wysepek. Nigdy w życiu Alvin nie widział tyle wody naraz; w porównaniu największe baseny w Diaspar były niewiele większe od kałuży. Podeszedł powoli do brzegu jeziora, zaczerpnął ciepłej wody w złożone w muszelkę dłonie i pozwolił przeciekać jej przez palce.

Wtem z podwodnych trzciny wyprysnęła srebrzysta ryba. Była pierwszą nieludzką istotą, jaką spotkał w swym życiu Alvin. To dziwne, ale jej kształty coś mu przypominały. Unosząc się tak w bładozielonej wodzie, wyglądała jak ucieleśnienie szybkości i siły. W tym żywym ciele zawarte były smukłe linie wielkich statków, które panowały niegdyś nad przestworzami. Ewolucja i nauka doszły do tego samego, jednak dzieło Natury przetrwało dłużej.

Alvin rzucił z siebie w końcu czar jeziora i ruszył dalej. Las znowu go otoczył, ale tylko na chwilę, bo droga kończyła się na skraju wielkiej polany szerokiej na pół mili i dwa razy tak długiej — i Alvin zrozumiał, dlaczego wcześniej nie dostrzegł śladów bytności człowieka.

Polana wypełniona była niskimi, jednopiętrowymi budynkami pomalowanymi na jasne odcienie, które nawet w pełnym blasku dnia nie raziły oczu. Większość miała proste kształty, ale kilka wyróżniało się przemyślnym stylem architektonicznym, podkreślanym rzeźbionymi kolumnkami i podmurówkami ze zdobnych we wzory kamieni.

Idąc wolno w kierunku ludzkich siedzib, Alvin starał się pojąć to nowe otoczenie. Wszystko było tutaj obce; inne było nawet powietrze pulsujące tętnem nieznanego życia. Między chatami z niewymuszoną gracją krzątali się wysocy, złotowłosi ludzie. Byli najwyraźniej z innej gliny niż mieszkańcy Diaspar.

Nie zwracali na Alvina najmniejszej uwagi i było to dziwne, gdyż ubiorem różnił się od nich całkowicie. Ze względu na niezmienną temperaturę strój był w Diaspar elementem czysto dekoracyjnym i przyjmował często bardzo wyszukane formy. Tutaj ubranie wydawało się spełniać rolę funkcjonalną i służyło raczej do noszenia niż na pokaz. Składało się przeważnie z jednego kawałka materiału udrapowanego wokół ciała.

Ludzie z Lys zareagowali na obecność Alvina dopiero wtedy, gdy ten dotarł do środka wsi, a i wtedy ich reakcja przybrała niecodzienną formę. Z jednej z chat wyszła grupka mężczyzn i ruszyła mu na spotkanie — tak jakby spodziewano się tu jego przybycia. Alvina ogarnęło silne podniecenie i krew szybciej zaczęła mu krążyć w żyłach. Pomyślał o tych wszystkich spotkaniach z innymi rasami na odległych światach, które musiały być udziałem ludzi. Ci, których teraz spotykał, należeli do jego rasy — ale jak dalece zmieniły ich eony dzielące Lys od Diaspar?

Delegacja zatrzymała się na krok przed Alvinem. Mężczyzna stojący na jej czele uśmiechnął się i

wyciągnął rękę w starożytnym geście powitania.

— Pomyśleliśmy sobie, że najlepiej będzie, jeśli przywitamy cię tutaj — powiedział. — Nasza kraina różni się bardzo od Diaspar i droga z terminalu daje przybyszom okazję do... aklimatyzacji.

Alvin uściśnął wyciągniętą dłoń, ale był tak zaskoczony, że przez chwilę nie mógł wydobyć z siebie głosu. Zrozumiał teraz, dlaczego pozostali wieśniacy tak całkowicie go ignorowali.

— Spodziewaliście się mnie? — wykrztusił wreszcie.

— Oczywiście. Zawsze wiemy, kiedy wagony rozpoczynają jazdę. Powiedz mi — jak odkryłeś drogę? Od ostatniej wizyty upłynęło już tak wiele czasu, że sądziliśmy, iż sekret został zapomniany.

Mówcy przerwał jeden z jego towarzyszy.

— Lepiej chyba będzie, jeśli powściągniemy swą ciekawość, Gerane. Seranis czeka.

Imię Seranis poprzedzone zostało nie znanym Alwinowi słowem i ten domyślił się, że był to jakiegoś rodzaju tytuł. Nie miał żadnych trudności ze zrozumieniem tych ludzi i nawet nie przyszło mu do głowy, że to dziwne. Diaspar i Lys odziedziczyły w spadku po przodkach tę samą mowę.

Gerane westchnął z rezygnacją.

— No dobrze — uśmiechnął się. — Seranis ma niewiele przywilejów, nie należy więc ograbić jej jeszcze z tego. Chodźmy.

Alvin przyglądał się po drodze prowadzącym go mężczyznom. Sprawiali wrażenie miłych i inteligentnych, ale były to cnoty, które przez całe życie uważał za naturalne, szukał więc w nich cech odróżniających mieszkańców Lys od podobnych grup w Diaspar. Te różnice istniały, ale trudno je było wyraźnie określić. Wszyscy mężczyźni byli nieco wyżsi od Alvina, a dwóch z nich zdradzało nieomylnie oznaki podeszłego wieku. Ich skóra była brązowa, a ze wszystkich ruchów emanowały krzepkość i werwa, co trochę onieśmiało Alvina. Uśmiechnął się na wspomnienie słów Khedrona, który twierdził, że jeśli kiedykolwiek dotrze do Lys, to zobaczy, że jest bardzo podobne do Diaspar.

Wieśniacy obserwowali teraz Alvina podążającego w eskorcie swoich przewodników z nie skrywaną ciekawością; nie udawali już, że biorą jego obecność za coś normalnego. Nagle w kępie krzaków po prawej stronie drogi rozległy się przenikliwe, piskliwe okrzyki; wypadła stamtąd gromadka małych, ruchliwych istot i stłoczyła się wokół Alvina. Zatrzymał się osłupiały. Miał przed sobą coś, co jego świat utracił już tak dawno temu, że przetrwało to tylko w mitach. Tak właśnie rozpoczynało się kiedyś życie; te hałaśliwe, fascynujące stworzonka były ludzkimi dziećmi.

Alvin obserwował je z niemym niedowierzaniem i z jeszcze innym uczuciem, które ścisnęło go za serce, ale którego nie potrafił na razie nazwać. Żaden inny widok nie uświadomiłby mu tak wyraźnie jego odrębności od świata, w którym się znalazł. Diaspar zapłaciło i płaciło nadal cenę nieśmiertelności.

Orszak zatrzymał się przed największym budynkiem, jaki do tej pory Alvin tu widział. Stał w samym środku wioski, a na maszcie, sterczącym ze szczytu niskiej, okrągłej wieżyczki, łopotała na wietrze zielona chorągiew.

Gerane wprowadził Alvina do wnętrza budynku, a pozostali mężczyźni zatrzymali się przed wejściem. W środku było cicho i chłodno; promienie słoneczne, przefiltrowane przez półprzezroczyste ściany oświetlały wnętrze łagodną, rozproszoną poświatą. Weszli na górę krótkimi, krętymi schodkami, które zaprowadziły ich na płaski dach budynku. Widać było stąd całą wioskę i Alvin zauważył, że tworzy ją około stu budynków. W oddali drzewa rzedły i odsłaniały szeroką łąkę, na której pasło się kilka gatunków zwierząt. Większość była czworonogami, ale niektóre wydawały się mieć po sześć, a nawet osiem odnóży.

W cieniu wieżyczki czekała na niego Seranis. Alvin nie potrafił określić wieku kobiety. Jej długie złociste włosy przyprószone były siwizną, która jak się domyślał Alvin, musiała być jakąś oznaką

zbliżającej się starości. Obecność dzieci, z wszystkimi tego konsekwencjami, wprawiła go w oszołomienie, które jeszcze nie minęło. Tam gdzie istniały narodziny, musiała też istnieć śmierć, a więc długość życia tu, w Lys, musiała się bardzo różnić od długości życia w Diaspar. Nie mógł się zorientować, czy Seranis miała pięćdziesiąt, pięćset czy pięć tysięcy lat, ale patrząc w jej oczy, czuł mądrość i głębię doświadczenia, jakie odbierał przebywając w towarzystwie Jeseraca.

Seranis wskazała na małe krzeselko, ale chociaż jej oczy uśmiechały się zapraszająco, nie odezwała się ani słowem, dopóki Alvin nie usadowił się na nim wygodnie — czy też na tyle wygodnie, na ile mógł to uczynić pod tym przyjaznym, ale przenikliwym spojrzeniem. Wtedy dopiero Seranis westchnęła i zwróciła się do Alvina niskim, łagodnym głosem:

— Taka okazja nieczęsto się nadarza, wybacź więc, jeśli nie zachowam się odpowiednio. Istnieją jednak pewne prawa należne gościowi, nawet gościowi niespodziewanemu. Zanim zaczniemy naszą rozmowę, powinnam cię chyba o czymś uprzedzić. Potrafię czytać twoje myśli.

Uśmiechnęła się widząc konsternację Alvina i dodała szybko:

— Nie musisz się obawiać. Nie ma bardziej przestrzegane prawa niż prywatność myśli. Wejść w twój umysł tylko wtedy, gdy mnie do niego zaprosisz. Ale ukrywanie przed tobą tego faktu nie byłoby w porządku. Wyjaśnia to poza tym, dlaczego nasza mowa jest powolna i sprawia nam czasem trudności. Nieczęsto jej używamy.

Ta rewelacja, chociaż trochę alarmująca, nie zdziwiła Alvina. Kiedyś zdolność tę posiadali zarówno wszyscy ludzie, jak i maszyny. Te maszyny, które nie uległy zmianie, mogły nadal odczytywać rozkazy z myśli swoich operatorów. Ale w Diaspar człowiek sam utracił ten dar, który dzielił niegdyś ze swymi niewolnikami-robotami.

— Nie wiem, co przywiodło cię do nas z twego świata — ciągnęła Seranis — ale jeśli szukasz życia, twoje poszukiwania dobiegły końca. Nie licząc Diaspar, za naszymi górami jest tylko pustynia.

Alvin, który tak często kwestionował przyjęte powszechnie prawdy, nie wątpił w prawdziwość słów Seranis. Jego jedynym na nie odruchem był tylko żal, że wszystko, czego go uczono, było tak bliskie prawdy.

— Opowiedz mi o Lys — poprosił. — Dlaczego tak długo byliście odcięci od Diaspar, skoro okazuje się, że dużo o nas wiecie?

Seranis uśmiechnęła się.

— Wkrótce — odparła. — Ale najpierw chciałabym się dowiedzieć czegoś o tobie. Powiedz mi, jak znalazłeś do nas drogę i dlaczego tu przybyłeś?

Zacinając się z początku, potem z rosnącą pewnością siebie, Alvin opowiedział jej całą historię. Nigdy przedtem nie mówił z taką swobodą; tutaj znalazł nareszcie kogoś, kto nie będzie się śmiał z jego marzeń, ponieważ ci ludzie wiedzieli, że te marzenia są prawdą.

Kiedy skończył, zapadła chwila milczenia. Potem Seranis spojrzała nań i zapytała cicho:

— Po co przybyłeś do Lys? Alvin spojrzał na nią zdumiony.

— Przecież ci powiedziałem — odparł. — Chciałem zbadać świat. Wszyscy mówili mi, że tam, za murami miasta, jest tylko pustynia, ale musiałem się sam o tym przekonać.

— Czy to był jedyny powód?

Alvin zawahał się. Kiedy się wreszcie odezwał, nie mówił już jak nieugięty badacz, ale jak zagubione dziecko, które narodziło się w obcym świecie.

— Nie — powiedział wolno — to nie była jedyna przyczyna, chociaż do tej pory nie zdawałem sobie z tego sprawy. Byłem samotny.

— Samotny? W Diaspar? — Na ustach Seranis pojawił się uśmiech niedowierzania, ale jej oczy spoglądały z sympatią i Alvin wyczuł, że ona nie spodziewa się już dalszego ciągu opowieści.

Teraz, kiedy opowiedział już swoją historię, pozostawało mu tylko czekać, aż ona wypełni swoją część umowy. Seranis wstała i zaczęła przechadzać się tam i z powrotem po dachu.

— Wiem, jakie pytania chcesz mi zadać — zaczęła. — Na niektóre z nich potrafię odpowiedzieć, ale będę miała trudności z wyrażeniem ich słowami. Jeśli otworzysz przede mną swój umysł, przekażę ci wszystko, co chcesz wiedzieć.

Możesz mi zaufać: nie zabiorę ci stamtąd niczego bez twojego pozwolenia.

— Co chcesz, abym uczynił? — spytał ostrożnie Alvin.

— Nastaw się na przyjęcie moich myśli... spójrz mi w oczy... i zapomnij o wszystkim — rozkazała Seranis.

Alvin nigdy nie był pewien, co się wtedy stało. Wszystkie jego zmysły uległy nagle zupełnemu zaciemieniu i chociaż nie pamiętał nawet, kiedy się ocknął, to gdy wejrzał w swój umysł, była już w nim cała wiedza.

Niewyraźnie, jak ktoś patrzący ze szczytu góry na majaczącą w dole równinę, widział przeszłość. Zrozumiał, że Człowiek nie zawsze był mieszkańcem miast i że od czasu, kiedy maszyny uwolniły go od ciężkiej pracy, istniała rywalizacja między dwoma odmiennymi typami cywilizacji. W Wiekach Zarania istniało tysiące miast, ale duża część ludzkości wolała żyć w stosunkowo małych społecznościach. Wszechstronna komunikacja i możliwość nawiązania natychmiastowej łączności dawały wszystkim kontakt z resztą świata i nie odczuwali potrzeby tłoczenia się z milionami podobnych im ludzi.

W tych dawnych czasach Lys było nieco inne od reszty społeczeństw. Ale z upływem wieków rozrosło się stopniowo w niezależną kulturę, jedną z najwyższych postawionych w dziejach Człowieka. Była to kultura oparta w wielkim stopniu na bezpośrednim wykorzystaniu potęgi umysłu i to właśnie oddzieliło ich od reszty społeczeństwa ludzkiego, które coraz bardziej zdawało się na maszyny.

Ten trwający eony rozwój dwoma odmiennymi drogami poszerzył przepaść między Lys a miastami. Most ponad nią przerzucano tylko w wypadku wielkich kryzysów. Kiedy na Ziemię spadał Księżyc, zniszczyli go naukowcy z Lys. Tak samo było z obroną Ziemi przed Najeźdźcami, którym stawiono czoło w rozstrzygającej bitwie o Shalmirane.

Była to ciężka próba wyczerpanej ludzkości; jedno po drugim wyludniały się miasta i pochłaniała je pustynia. Gdy populacja drastycznie spadła, ludzkość rozpoczęła migrację, której ostatecznym celem było uczynienie Diaspar ostatnim i największym ze wszystkich miast.

Większość zachodzących wtedy zmian nie dotyczyła Lys. Miało ono do stoczenia swą własną walkę — walkę z pustynią. Nie wystarczała tu naturalna bariera tworzona przez łańcuch górski i minęło wiele wieków, zanim zabezpieczono tę wielką oazę. Tutaj, być może celowo, obraz stawał się bardziej zamazany. Alvin nie mógł się zorientować, co zrobiono, aby dać Lys potencjalną wieczność, jaką osiągnęło Diaspar.

Głos Seranis zdawał się docierać doń z wielkiej odległości — i nie był to tylko jej głos, gdyż mieszał się w symfonię słów, jakby nuciło z nią unisono wiele innych głosów.

— To, w wielkim skrócie, nasza historia. Przekonałeś się, że nawet w Wiekach Zarania niewiele mieliśmy wspólnego z miastami, chociaż ludzie z nich często przybywali do naszej krainy. Nigdy im tego nie zabranialiśmy, ponieważ wielu naszych wielkich ludzi pochodziło z zewnątrz, ale kiedy miasta umierały, nie chcieliśmy mieszać się do ich upadku. Gdy skończyła się komunikacja powietrzna, pozostała tylko jedna droga, którą można się było dostać do Lys — podziemny system transportowy z Diaspar. Zamknięto go po waszej stronie, kiedy zakładano Park — i zapomnieliście o nas, chociaż my wciąż was pamiętamy.

Diaspar zadziwiło nas. Spodziewaliśmy się, że podzieli los innych miast, ale zamiast tego

stworzyło ono stabilną kulturę, która może istnieć tak długo, jak długo istnieć będzie Ziemia. Nie jest to kultura, którą pochwalamy, cieszy nas jednak, że tym, którzy chcieli stamtąd uciec, udało się tego dokonać. Więcej ludzi, niż myślisz, odbyło tę podróż, a byli oni niemal zawsze ludźmi wybitnymi, którzy wnieśli coś od siebie przybywając do Lys.

Głos ucichł; paraliż zmysłów ustąpił i Alvin był znowu sobą. Spozrzegł zdumiony, że słońce zniżyło się już za drzewa i od wschodu niebo przybierało z wolna odcień nocy. Uświadomił sobie, że drży lekko, nie od pierwszego dotyku wieczornego chłodu, ale ze zwykłego oczarowania i podziwu dla wszystkiego, czego się dowiedział. Było bardzo późno i był daleko od domu. Ogarnęło go nagle pragnienie ujrzenia znów swych przyjaciół i znalezienia się wśród znajomych widoków i scen Diaspar.

— Muszę wracać — powiedział. — Khedron... moi rodzice... będą się niepokoić.

Nie mówił tego z przekonaniem; Khedron na pewno będzie się zastanawiał, co się z nim dzieje, ale o ile się orientował, nikt poza Khedronem nie wiedział, że nie ma go w mieście.

Seranis spojrzała nań dziwnie.

— Przykro mi, ale to nie takie proste.

— Co to znaczy? — spytał Alvin. — Czy wagon, który mnie tu przywiózł, nie odwiezie mnie z powrotem? — Wciąż nie dopuszczał do siebie myśli, że może zostać zatrzymany w Lys wbrew własnej woli, chociaż takie podejrzenie przychodziło mu już do głowy.

Seranis po raz pierwszy wydawała się zażenowana.

— Rozmawialiśmy o tobie — powiedziała, nie wyjaśniając, kim mogą być ci "my" ani też, jak się z nimi konsultowała. — Jeśli powrócisz do Diaspar, dowie się o nas całe miasto. Nawet jeśli przyrzekniesz, że nic nie powiesz, to i tak zachowanie tajemnicy może przekraczać twoje możliwości.

— A dlaczego chcecie ją zachować? — spytał Alvin. — Przecież gdyby doszło do spotkania naszych dwóch kultur, wyszłoby to na dobre i nam, i wam.

Seranis spojrzała nań z niezadowoleniem.

— My tak nie uważamy — stwierdziła. — Gdyby bramy waszego miasta stanęły otworem, naszą krainę zalałaby fala ciekawskich i łowców sensacji. Teraz mogą do nas dotrzeć tylko najwartościowsi z waszych ludzi.

Z tej wypowiedzi emanowało takie poczucie wyższości, a przy tym opierała się ona na tak fałszywych przesłankach, że zdenerwowanie wzięło u Alvina górę nad zaniepokojeniem.

— To nieprawda — zaprotestował. — Nie wierzę, abyś znalazła w Diaspar drugą osobę, która byłaby zdolna do opuszczenia miasta... nawet gdyby wiedziała, że jest dokąd się udać. Jeśli pozwolisz mi wrócić, nic się w Lys nie zmieni.

— To nie jest moja decyzja — wyjaśniła Seranis — a ty nie doceniasz potęgi umysłu, jeśli sądzisz, że bariery trzymające twych ludzi w mieście nie mogą być nigdy przełamane. Nie chcemy przetrzymywać cię tutaj wbrew twojej woli, ale jeśli będziesz obstawał przy zamiarze powrotu do Diaspar, będziemy zmuszeni wymazać z twojej pamięci wszystkie wspomnienia o Lys. — Zawahała się przez chwilę. — Nigdy przedtem do tego nie dochodziło; wszyscy twoi poprzednicy przybywali, aby tu pozostać.

Postawiono go przed wyborem, którego nie mógł zaakceptować. Chciał zbadać Lys, aby poznać wszystkie jego tajemnice, aby wykryć wszystko, co różniło je od jego świata. Ale tak samo zdecydowany był powrócić do Diaspar i dowieść swym przyjaciółom, że nie był takim sobie zwykłym marzycielem. Nie mógł pojąć przyczyn skłaniających mieszkańców Lys do zachowania tajemnicy; nawet gdyby je zrozumiał, nie wpłynęłoby to w najmniejszym stopniu na jego postępowanie.

Zdał sobie sprawę, że musi grać na zwłokę, aby udowodnić Seranis, że żąda odeń niemożliwego.

— Khedron wie, gdzie jestem — powiedział. — Nie możesz zatrzeć jego wspomnień.

Seranis uśmiechnęła się. Był to uśmiech miły, uśmiech, który w innych okolicznościach można by było nazwać przyjaznym. Ale pod jego maską Alvin po raz pierwszy dostrzegł obecność przytłaczającej i nieugiętej siły.

— Nie doceniasz nas, Alvinie — odparła. — To byłoby bardzo łatwe. Mogę dostać się do Diaspar szybciej, niż zajęłoby mi przemierzenie całego Lys. Przybywali tu przed tobą inni ludzie i niektórzy z nich zwierzali się swoim przyjaciołom, dokąd się udają. Jednak ci przyjaciele zapomnieli o nich i zniknęli oni z historii Diaspar.

Alvin postąpił nierozważnie ignorując taką możliwość, chociaż teraz, kiedy Seranis o niej wspomniała, wyrzucał sobie, że wcześniej o tym nie pomyślał. Ciekaw był, ile razy w ciągu milionów lat, jakie upłynęły od chwili rozdzielenia obu kultur, ludzie z Lys wyprawiali się do Diaspar z misją ochrony swej zazdrośnie strzeżonej tajemnicy. Ciekaw był też, jak potężnymi możliwościami umysłu dysponowali ci dziwni ludzie nie wahając się ich wykorzystywać.

Czy snucie jakichkolwiek planów było bezpieczne? Seranis przyrzekła, że bez zgody Alvina nie będzie czytała jego myśli, ale czy istniały okoliczności, w których przyrzeczenie to mogło zostać złamane...?

— Nie sędzę — powiedział — żebyście się spodziewali, iż podejmę decyzję od razu. Czy nie mógłbym przyjrzeć się bliżej waszej krainie, zanim dokonam wyboru?

— Oczywiście — odparła Seranis. — Możesz tu pozostać tak długo, jak zechcesz, a potem, gdybyś zmienił zamiary, wrócić do Diaspar. Ale jeśli mógłbyś się zdecydować w ciągu kilku dni, byłoby to o wiele prostsze. Nie chcesz chyba, żeby twoi przyjaciele martwili się o ciebie, a im dłużej cię tam nie ma, tym trudniej będzie nam dokonać niezbędnych korekcji.

Na to Alvin mógłby przystać; chciałby tylko wiedzieć, na czym polegają te korekcje. Prawdopodobnie ktoś z Lys odszukałby Khedrona, aby zmienić jego wspomnienia. Fakt zniknięcia Alvina nie zostałby z nich wymazany, ale informacje, które zdobyli wraz z Khedronem, uległyby zatarciu. Z upływem wieków imię Alvina znalazłoby się wśród imion innych Odmieńców, którzy w tajemniczy sposób zniknęli z miasta i ślad po nich zaginął.

Miał do czynienia z wieloma zagadkami i nie wydawało mu się, aby był bliski rozwiązania którejkolwiek z nich. Czy za dziwnym, jednostronnym kontaktem między Lys a Diaspar krył się jakiś cel, czy był to jedynie historyczny przypadek? Kim i czym byli Odmieńcy i jeśli ludzie z Lys potrafili przenikać do Diaspar, to dlaczego nie skasowali układów pamięci, które przechowywały ślad ich istnienia? Było to chyba jedyne pytanie, na które Alvin mógł dać możliwą do przyjęcia odpowiedź. Centralny Komputer był prawdopodobnie tworem nieustępliwym i odpornym na tego rodzaju manipulacje i trudno poddawał się najbardziej nawet zaawansowanym technikom opartym na telepatii...

Odłożył te problemy na później; pewnego dnia, kiedy dowie się więcej, zdoła może odpowiedzieć sobie na nie. Szkoda było czasu na spekulacje i budowę piramidy przypuszczeń na fundamencie niewiedzy.

— A więc dobrze — powiedział. — Postaram się dać wam odpowiedź jak najszybciej... jeśli pokażecie mi swój kraj.

— Zgoda — odparła Seranis i tam razem za jej uśmiechem nie kryła się żadna groźba. — Jesteśmy dumni z Lys i z przyjemnością pokażemy ci, jak mogą żyć ludzie bez pomocy miasta. Na razie nie masz się czym martwić — twoi przyjaciele nie będą zaniepokojeni. Zadbamy o to, chociażby we własnym interesie.

Po raz pierwszy Seranis złożyła obietnicę, której nie była w stanie spełnić.

Rozdział 11

Pomimo usilnych starań Alystra nie potrafiła wydobyć od Khedrona bliższych informacji. Błazen otrząsnął się szybko z pierwszego szoku i z paniki, pod wpływem której czmychnął z powrotem na powierzchnię, gdy tylko znalazł się sam w podziemiach Grobowca. Wstydził się swego tchórzostwa i zastanawiał się, czy kiedykolwiek zdobędzie się na odwagę, aby wrócić do sali Ruchomych Dróg i sieci rozchodzących się stamtąd na wszystkie strony świata tuneli. Nie przypuszczał, aby Alwinowi mogło przytrafić się coś złego. Wróci na pewno w swoim czasie — tego Khedron był pewien. No, prawie pewien. Istniało tu wystarczająco dużo wątpliwości, aby uczynić go ostrożnym w swoich przewidywaniach. Zdecydował, że najlepiej będzie jak najmniej mówić o całym zdarzeniu i obrócić wszystko w kolejny żart.

Na nieszczęście dla tego planu nie potrafił zamaskować swych emocji, kiedy po powrocie na powierzchnię natknął się na Alystrę. Dziewczyna od razu dostrzegła strach wyzierający mu z oczu i wywnioskowała z tego, że Alvin znajduje się w niebezpieczeństwie. Zrazu chciała pozostać w Grobowcu i oczekiwać tam na powrót Alvina. Khedronowi udało się ją przekonać, że byłaby to strata czasu, i odetchnął z ulgą, gdy wraz z nim poszła z powrotem do miasta. Istniała możliwość, że Alvin wróci bardzo szybko, a Błazen nie chciał, aby ktokolwiek poza nimi poznał tajemnicę Yarłana Zeya.

Zanim dotarli do miasta, Khedron przekonał się, że jego taktyka zawiodła na całej linii i rozwój wypadków wymyka się spod jego kontroli. Do tej pory niewiele zważał na konsekwencje swych poczynań. Dotarli do wielkiej drogi okalającej Park i rozstali się w kamiennym milczeniu. Khedron odprowadzał wzrokiem oddalającą się Alystrę i starał się przeniknąć jej zamiary.

Alystra działała szybko i inteligentnie. Nie zwracała sobie głowy szukaniem kontaktu z Eristonem i Etanią. Jeserac wysłuchał jej opowieści nie zdradzając żadnych gwałtowniejszych uczuć. Jeśli się przestraszył albo był zdziwiony, nie dał tego po sobie poznać, a robił to tak dobrze, że Alystra czuła się w pewnym sensie zbита z tropu. Kiedy skończyła, zadał jej kilka pytań i dał do zrozumienia, że mogła się omylić. Alvin mógł teraz skręcać się ze śmiechu ukryty gdzieś w Diaspar. Przemawiało za tym uczestnictwo w tym wszystkim Khedrona. Jeserac obiecał jednak, że zajmie się wyjaśnieniem sprawy i skontaktuje się z nią za dzień lub dwa. Przez ten czas miała się nie martwić i nic nikomu nie mówić.

Alystra wyszła od Jeseraca z mieszanymi uczuciami. Byłaby bardziej usatysfakcjonowana, gdyby mogła widzieć zachowanie się Jeseraca bezpośrednio po jej wyjściu.

Jeserac miał przyjaciół w Radzie; skontaktował się z trzema swymi znajomymi i wzbudził ostrożnie ich zainteresowanie. Jako nauczyciel Alvina zdawał sobie sprawę, że im mniej osób będzie wiedziało, co się wydarzyło, tym lepiej dla niego.

Zgodzono się natychmiast, że pierwszą rzeczą, jaką trzeba uczynić, to skontaktować się z Khedronem i zażądać od niego wyjaśnień. Ten świetny plan miał tylko jedną wadę. Khedron spodziewał się takiego obrotu sprawy i nigdzie nie można go było znaleźć.

Jeśli istniała jakaś dwuznaczność w sytuacji Alvina, jego gospodarze unikali przypominania mu o tym. Mógł się swobodnie poruszać po Airlee — małej wiosce, w której władzę sprawowała Seranis. Alvin odkrył, że Lys dzieliło się na niezliczone wioski, których Airlee było typowym przykładem.

Chociaż bardzo małe i liczące niespełna tysiąc mieszkańców, Airlee pełne było niespodzianek. Głosu do porozumiewania się używały tylko dzieci; dorośli bardzo rzadko się odzywali i po jakimś czasie Alvin zorientował się, że jeśli to robili, to tylko z uprzejmości w stosunku do niego. Dziwne było, że mowa, chociaż tak rzadko wykorzystywana, przetrwała jednak, ale potem Alvin odkrył, że ludzie z Lys bardzo lubili śpiewać. Bez tego już dawno temu staliby się niemowami.

Byli zawsze czymś zajęci, oddając się czynnościom i problemom przeważnie dla Alvina niezrozumiałym. Większość ich zajęć wydawała mu się niepotrzebną stratą czasu. Na przykład przeważającą część żywności pozyskiwało się tutaj naturalnie, zamiast syntetyzować, tak jak w Diaspar. Airlee słynęło ze swych owoców, ale kiedy Alvin skosztował kilku, ich smak nie wydał mu się w niczym lepszy od owoców, które mógł za skinieniem palca otrzymać w Diaspar.

Z początku sądził, że ludzie z Lys zapomnieli o energii i maszynach, na których opierało się całe życie w Diaspar, albo że w ogóle nigdy ich nie mieli. Szybko przekonał się, iż był w błędzie. Istniały tu maszyny i wiedza o nich, ale korzystano z nich jedynie wtedy, gdy było to konieczne. Najjaskrawszym tego przykładem był system transportu, jeśli można go było w ogóle tak nazwać. Krótkie odległości ludzie pokonywali pieszo i zdawało się to sprawiać im przyjemność. Jeśli się spieszyli albo mieli do przeniesienia mały bagaż, podróżowali na specjalnie do tego celu hodowanych zwierzętach. Do transportu towarów służyły im niskie, sześcionożne stworzenia, posłuszne i silne, ale mało inteligentne. Zwierzęta szybkie były przeważnie czworonogami, ale kiedy nabierały prędkości, używały tylko zadnich, potężnie umięśnionych kończyn. Mogły one w ciągu kilku godzin przebyć wszcz całe Lys, a pasażer podróżował w siodle przytroczonym do grzbietu zwierzęcia.

Te dwa gatunki wystarczały do zaspokojenia wszystkich normalnych potrzeb. Kiedy jednak potrzebna była prawdziwie duża prędkość albo zachodziła konieczność przetransportowania wielkich ładunków, bez wahania uciekano się wtedy do wykorzystania maszyn.

Najbardziej jednak interesowały Alvina dwie skrajności populacji ludzkiej. Bardzo młodzi i bardzo starzy — jedni i drudzy byli dlań równie obcy i intrygujący. Najstarszy mieszkaniec Airlee liczył sobie niespełna dwieście lat i niewiele mu pozostało życia. Alvin wiedział, że jego ciało w podobnym wieku niemal by się nie zmieniło — natomiast ten starzec wydał się całkowicie pozbawiony sił fizycznych. Włosy miał siwe, a twarz niewiarygodnie pomarszczoną. Większość czasu spędzał wygrzewając się na słońcu lub spacerując wolno po wiosce i wymieniając pozdrowienia z każdym, kogo spotkał. Alvin odnosił wrażenie, że człowiek ten jest całkowicie zadowolony ze swego losu, nie czepia się kurczowo życia i że nie przygnębia go zbliżający się koniec.

Dla wychowanego w Diaspar Alvina była to rzecz niepojęta. Jak można akceptować śmierć, skoro była ona tak niepotrzebna, skoro można żyć tysiąc lat, a potem przeskoczyć tysiąclecia i zacząć życie od początku. Trudno przyszło mu uwierzyć, że Lys dokonało takiego wyboru z własnej, nieprzymuszonej woli, skoro wiedziało o istniejącej możliwości.

Część odpowiedzi na to pytanie znalazł wśród dzieci, przez które został w końcu uznany za przyjaciela i z którymi spędzał dużo czasu obserwując, jak się bawią.

Tak samo, jak Alvin obserwował Lys, tak i Lys obserwowało jego. Po trzech dniach pobytu w Airlee Seranis zaproponowała mu dłuższą wycieczkę po swojej krainie. Przyjął propozycję bez namysłu, pod warunkiem jednak, że nie będzie musiał podróżować na żadnym z szybkich zwierząt.

— To mogę ci obiecać — powiedziała Seranis z rzadkim u niej odcieniem wesołości. — Ponieważ jest to przypadek wyjątkowy, wystaram ci się o środek lokomocji, w którym będziesz czuł się bardziej swojsko. Twoim przewodnikiem będzie Hilvar, ale oczywiście możesz udać się, gdzie chcesz.

Alvin doceniał gest Seranis, która oferowała mu na przewodnika własnego syna, chociaż bez wątpienia Hilvar otrzymał dokładne instrukcje na wypadek, gdyby Alvin zamierzał spłatać jakiegoś figla. Trochę czasu zajęło Alwinowi oswojenie się z powierzchownością Hilvara. Według norm Alvina był on szpetny i Alvin umyślnie go dotąd unikał. Jeśli nawet Hilvar domyślał się tego, to nie

dawał niczego po sobie poznać i w końcu jego wdzięk i ujmujący sposób bycia przełamały dzielącą ich barierę. Wkrótce Alvin nie mógł uwierzyć, że kiedykolwiek uznawał go za nieatrakcyjnego.

Wyruszyli z Airlee krótko po wschodzie słońca w małym pojeździe — Hilvar nazywał go łązikiem — który działał prawdopodobnie na tej samej zasadzie, co maszyna, jaka przywiozła Alvina z Diaspar. Pojazd płynął w powietrzu na wysokości kilku cali nad ziemią i chociaż nie widać było szyny prowadzącej, Hilvar twierdził, iż pojazdy te mogą się poruszać tylko po wcześniej wytyczonych trasach. Siecią takich tras połączone były wszystkie osiedla w Lys, ale podczas swego pobytu w Airlee Alvin nie widział jeszcze podobnego łązika.

Hilvar włożył dużo wysiłku w przygotowanie wyprawy. Zamierzał podróżować tak daleko na południe, jak daleko zdoła przewieźć ich maszyna, a potem kontynuować wyprawę pieszo. Nie zdając sobie sprawy ze wszystkich implikacji, jakie pociągał za sobą ten plan, Alvin nie stawiał sprzeciwu.

Podróż przez Lys była dla Alvina jak sen na jawie. Maszyna sunęła cicho niczym duch przez równiny i nie zbacząc o cal z niewidzialnego szlaku, przemierzała gęste lasy.

Mijali po drodze wiele wsi, większych czasem od Airlee. Hilvar zatrzymywał się często, żeby porozmawiać z przyjaciółmi i przedstawić im Alvina.

Po wielu godzinach jazdy trawa skończyła się jak nożem uciął i ujrzeli przed sobą pasmo niskich, porośniętych lasami wzgórz. Była to, jak wyjaśnił Hilvar, forpoczta głównego masywu górskiego strzegącego Lys. Prawdziwe góry leżały za tymi wzgórzami, ale i te małe wzniesienia wywarły na Alvinie niezatarte wrażenie.

Łazik zatrzymał się w wąskiej, osłoniętej z obu stron dolinie, zalewanej jeszcze ciepłem i światłem chylącego się ku zachodowi słońca. Hilvar spojrzał na Alvina.

— Stąd musimy pójść pieszo — powiedział wyrzucając z pojazdu ekwipunek. — Dalej nie możemy już jechać.

Alvin rozejrzał się po otaczających ich wzgórzach, potem spojrzał na wygodny fotel, w którym siedział.

— A nie ma drogi okrężnej? — spytał bez wielkiej nadziei na twierdzącą odpowiedź.

— Oczywiście, że jest — odparł Hilvar — ale nie pojedziemy naokoło. Wejdziemy na szczyt. To będzie o wiele bardziej interesujące. Przełączę łązik na sterowanie automatyczne, tak żeby czekał na nas po drugiej stronie wzgórza, tam gdzie zejdziemy na dół.

Zdecydowany nie poddawać się bez walki, Alvin zdobył się na ostatnią próbę.

— Niedługo zapadnie zmrok — zaprotestował. — Nie zdołamy przebyć tej trasy przed zachodem słońca.

— Wiem o tym — odrzekł Hilvar z nadzwyczajną szybkością sortując pakunki i sprzęt. — Noc spędzimy na szczycie i skończymy wycieczkę rano.

Alvin dał za wygraną.

Hilvar pozapinał wszystkie taśmy plecaków, sprawdził, czy wszystko jest w porządku, po czym ruszyli wolno doliną. Obejrzawszy się za siebie, Alvin dostrzegł jeszcze ruszający do tyłu i znikający łązik; ciekaw był, ile czasu upłynie, zanim będzie mógł znowu zasiąść w jego wygodnym fotelu.

Wspinaczka nie była mimo wszystko zbyt uciążliwa. Posuwali się częściowo zarośniętą ścieżką tracąc ją co chwila z oczu, ale Hilvar dobrze chyba znał drogę, bo szedł bez wahania naprzód, chociaż Alvin nie mógł czasem dostrzec jej śladu.

Po półgodzinie marszu pod górę Alvin po raz pierwszy złowił uchem cichy, unoszący się w powietrzu pomruk. Nie potrafił umiejscowić źródła tego dźwięku, ponieważ dochodził on zewsząd. Nie ustawał ani na chwilę i przybierał wciąż na sile. Spytałby Hilvara, co to jest, ale wołał

oszczędzać oddech.

Hilvar zlitował się nad nim, gdy pokonali już dwie trzecie wzniesienia i zarządził krótki odpoczynek. Przystanęli, opierając się o wychodzący na zachód nasyp. Pulsujący grzmot był teraz bardzo głośny i chociaż Alvin spytał o jego źródło Hilvara, ten wzbraniał się przed udzieleniem odpowiedzi. Gdyby powiedział Alwinowi, co ich czeka u celu wspinaczki, popsułby wszystko. Gdy ujrzeni wreszcie szczyt, Hilvar zdobył się na ostatni zryw i ruszył biegiem w górę zbocza. Alvin zdecydował zignorować to wyzwanie; dowlókł się noga za nogą na wierzchołek i zwałił wyczerpany na ziemię obok Hilvara.

Dopóki nie odzyskał tchu, nie był zdolny do podziwiania roztaczającego się stąd widoku i do szukania źródła nieustannego grzmotu, który wypełniał teraz powietrze. Przed nimi, poczynając od szczytu wzgórza, teren opadał stromo w dół — tak stromo, że po paru krokach przechodził w niemal pionowe urwisko. Z urwiska tego tryskała daleko wstęga wody, która wyginając się łukiem w powietrzu, waliła w dół i roztrzaskiwała na dnie przepaści o skały. Tam ginęła w mieniącej się wszelkimi kolorami tęczy mgiełce, a z otchłani dobiegał nieustanny dudniący grzmot odbijający się głuchym echem od wznoszących się z obu stron skalnych ścian.

Hilvar zatoczył ręką łuk ogarniający cały horyzont.

— Stąd — powiedział podnosząc głos, aby być słyszany przez grzmot wodospadu — widać całe Lys.

Alvin uwierzył mu. W kierunku pomocnym, mila za milą, ciągnął się las poprzecinany tu i ówdzie polanami, polami uprawnymi i wędrującymi nitkami rzek. Gdzieś w tej panoramie kryło się Airlee, ale próby jego wypatrzenia skazane były z góry na niepowodzenie. Jeszcze dalej na północ drzewa i polany ustępowały miejsca zielonemu kobiercowi pomarszczonemu w wielu miejscach przez pasma wzgórz. A jeszcze dalej, ledwo widoczne, przypominające wał odległych chmur, wznosiły się góry oddzielające Lys od pustyni.

Widok na wschód i na zachód mało się różnił od widoku na pomoc, ale patrząc w kierunku południowym odnosiło się wrażenie, że góry odległe są o kilka zaledwie mil. Alvin widział je wyraźnie i teraz dopiero uświadomił sobie, że były daleko wyższe od wzgórza, na którym stali. Między górami a miejscem, gdzie się znajdowali, leżała kraina o wiele dziksza od tej, którą podróżowali do tej pory. Wydawała się wyludniona i pusta, jak gdyby Człowiek nie mieszkał tutaj od wielu, wielu lat.

Hilvar odpowiedział na nieme pytanie Alvina.

— Ta część Lys była kiedyś zamieszкана — powiedział. — Nie wiem, dlaczego została opuszczona, ale może pewnego dnia powrócimy do niej. Teraz spotkać tam można tylko zwierzęta.

I rzeczywiście. Kraj leżący przed nimi nie nosił żadnych znamion ludzkiej działalności — nie dostrzegano się wyciętych w lesie polan czy uregulowanych rzek, które świadczą o obecności Człowieka. Pozostała tylko jedyna pamiątka jego tam pobytu. W odległości wielu mil, jak ukruszony ząb, wystawała ponad dach lasu samotna biała ruina. Wszystko inne pochłonęła z powrotem dżungla.

Słońce skryło się za zachodnią ścianą Lys. Przez zapierający dech w piersiach moment dalekie pasmo gór zdawało się płonąć złocistym ogniem, potem kraina utonęła powoli w cieniu i zapadła noc.

— Powinniśmy to zrobić wcześniej — powiedział jak zawsze praktyczny Hilvar rozpakowując swój plecak. — Za pięć minut będzie ciemno choć oko wykol... i zimno. — Wzniósł nad głowę wysmukły trójnóg zakończony gruszkowatą bulwą i wydał w myśli jakiś rozkaz, którego Alvin nie odebrał. Ich małe obozowisko załała nagle powódź światła i ciemności cofnęły się. Alvin poczuł, że gruszka oprócz światła emituje również ciepło.

Niosąc w jednym ręku trójnog, a w drugim swój plecak, Hilvar ruszył w dół zbocza, a Alvin podążył spieszenie za nim, starając się utrzymać w kręgu światła. Wybrali miejsce na obóz w małej kotlinie, kilkaset jardów poniżej szczytu wzgórza, i przystąpili do rozpakowywania reszty ekwipunku.

Najpierw roztoczyli nad sobą wielką półkulę z niemal niewidocznego, ale sztywnego materiału, która osłoniła ich przed zrywającym się chłodnym wiatrem. Kopuła ta wytwarzana była przez małą skrzyneczkę, którą Hilvar położył na ziemi, a potem zignorował zupełnie. Być może wytwarzała też ona te wygodne, półprzeźroczyste materace, na których Alvin wyciągnął się z taką przyjemnością.

Posiłek, który Hilvar wydobył ze swych bagaży, był pierwszym syntetykiem, jaki Alvin jadł w Lys. Zasiedli do kolacji wśród zapadającej nocy i wschodzących gwiazd. Kiedy skończyli, było już zupełnie ciemno, a poza kręgiem światła wysyłanym przez gruszkę Alvin dostrzegał ruchliwe cienie leśnych stworzeń, które wyszły ze swych kryjówek na żer.

Leżeli na materacach i rozmawiali o tym, co widzieli, o tajemnicy, w którą byli uwikłani, i o różnicach, jakie dzieliły ich dwie kultury. Hilvar był zafascynowany Układami Wieczności, które wyniosły Diaspar poza zasięg czasu, i Alwinowi trudno było udzielać wyczerpujących odpowiedzi na niektóre z jego pytań. W końcu Hilvar powiedział:

— Jestem zmęczony. A ty... też pójdziesz spać? Alvin rozcierał obolałe stopy.

— Chciałbym — odparł — ale nie wiem, czy potrafię zasnąć. Nie jestem do tego przyzwyczajony.

— To coś więcej niż przyzwyczajenie — uśmiechnął się Hilvar. — Słyszałem, że kiedyś była to dla każdego człowieka konieczność. My nadal lubimy się przespać przynajmniej raz na dobę, nawet jeśli miałyby to być tylko cztery godziny. Podczas snu odpoczywają ciało i umysł. Czy w Diaspar nikt nigdy nie śpi?

— Tylko w rzadkich przypadkach — odparł Alvin. — Jeserac, mój nauczyciel, robił to raz czy dwa po jakimś wyjątkowym wysiłku umysłowym. Dobrze zaprojektowane ciało nie powinno potrzebować takich okresów wypoczynku; skończyliśmy z tym miliony lat temu.

Jego zachowanie przeczyło jednak wypowiedzanym właśnie słowom. Odczuwał zmęczenie, jakiego nigdy dotąd nie zaznał; wydawało się promieniować od stóp i rozplýwać po całym ciele. Nie było w tym uczuciu niczego nieprzyjemnego — wręcz przeciwnie. Hilvar przyglądał mu się z uśmiechem i Alvin zdążył jeszcze pomyśleć, czy przyjaciel nie wypróbować czasem na nim potęgi swojego umysłu. Nawet jeśli tak było, to nie miał nic przeciwko temu.

Światło spływające z metalowej gruszki przygasało i Alvin zasnął.

Rozdział 12

Obudził się w środku nocy. Coś go zaniepokoiło, jakiś szept, który wciskał się w mózg pomimo nieustannego grzmotu wodospadu. Usiadł w ciemnościach i wstrzymawszy oddech wsłuchiwał się w dudniący ryk wody i cichsze, przerywane szmery powodowane przez nocne stworzenia. Wyteżył wzrok, ale nic nie widział. Światło gwiazd było zbyt nikłe, aby oświetlić połacie krainy leżącej setki stóp niżej; tylko postrzępiona linia ciemniejszej nocy przesłaniającej gwiazdy wskazywała na obecność gór na południowym horyzoncie. Poczł w panujących ciemnościach, że Hilvar również siada na swym posłaniu.

— Co się stało? — doszedł go szept przyjaciela.

— Wydawało mi się, że coś słyszałem. Jakiś hałas.

— Jaki hałas?

— Nie wiem; może tylko mi się przyśniło.

Zapadła cisza, podczas której dwie pary oczu wpatrywały się w noc usiłując przeniknąć jej tajemnice. Nagle Hilvar chwycił Alvina za ramię.

— Patrz! — wyszeptał.

Daleko na południu, zbyt nisko nad linią horyzontu, aby wziąć go za gwiazdę, jarzył się pojedynczy, świetlisty punkt. Był jaskrawobiały, wpadający we fiolet i rozjarzał się coraz bardziej. Wkrótce oko nie mogło już znieść jego blasku. Po chwili eksplodował i wydawało się, że w krawędź światła uderzyła błyskawica. Góry i kraina, którą otaczały, wyrwały się na chwilę ogniem na tle nocnych ciemności.

O wiele później nadleciało echo odległego wybuchu i w lesie porastającym zbocze wzgórza zerwał się wiatr. Ucichł szybko i jedna po drugiej na niebo zaczęły z powrotem wypęłzać gwiazdy.

Po raz drugi w swym życiu Alvin przeżył chwilę grozy. Nie był to strach tak osobisty i konkretny, jak w sali Ruchomych Dróg, kiedy podejmował decyzję, która przywiodła go do Lys. Może był to raczej zachwyty niż strach; stanął twarzą w twarz z nieznanym i wydawało mu się, iż czuje, że tam, za górami, znajduje się coś, z czym musi się spotkać.

— Co to było? — szepnął po chwili.

— Staram się dowiedzieć — odparł Hilvar i znowu zamilkł. Alvin domyślił się, co robi przyjaciel, i nie przeszkadzał mu w jego niemym poszukiwaniu odpowiedzi.

Po chwili Hilvar parsknął z niezadowoleniem.

— Wszyscy śpią — powiedział. — Nikt nic nie wie. Musimy poczekać do rana. Nie lubię budzić przyjaciół, o ile nie jest to naprawdę konieczne.

Po chwili milczenia Hilvar odezwał się znowu:

— Coś sobie właśnie przypomniałem — powiedział przepaszająco. — Dawno już tu nie byłem i nie jestem całkowicie tego pewien, ale to musiało być w Shalmirane.

— Shalmirane? To ono jeszcze istnieje?

— Tak. Prawie o tym zapominałem. Seranis mówiła mi kiedyś, że forteca znajduje się w tej partii gór. Oczywiście leży od wieków w gruzach, ale może nadal ktoś ją zamieszkuje.

Shalmirane! Była to magiczna nazwa dla tych dzieci dwojga ras tak bardzo różniących się od siebie pod względem historii i kultury. W całych dziejach Ziemi nie było nic większego od obrony Shalmirane przed Najeżdźcą, który podbił cały wszechświat. Chociaż prawdziwe fakty zatarty się już we mgłę tak grubą zasłoną spowijającą Wieki Zarania, to legenda przetrwała i trwać będzie nadal, dopóki istnieć będzie Człowiek.

W ciemnościach rozległ się znowu głos Hilvara:

— Więcej mogliby nam powiedzieć ludzie z południa. Mam tu kilku przyjaciół; porozumiem się z nimi rano.

Alvin ledwie go słyszał; zatopił się w myślach usiłując przypomnieć sobie wszystko, co kiedykolwiek słyszał o Shalmirane. Nie było tego wiele; po tak długim okresie nikt nie potrafił oddzielić prawdy od legendy. Pewne było tylko, że Bitwa o Shalmirane wyznaczyła koniec podbojów Człowieka i początek jego powolnego upadku.

"Wśród tych gór" — myślał Alvin — "może leżeć odpowiedź na wszystkie, dręczące mnie od lat pytania".

— Ile czasu — zwrócił się do Hilvara — zajęłoby nam dotarcie do fortecy?

— Nigdy tam nie byłem, ale to dużo dalej, niż zamierzałem się zapuścić. Wątpię, czy doszlibyśmy tam w ciągu jednego dnia.

— A nie możemy pojechać łazikiem?

— Nie; droga prowadzi przez góry, a tam nie mogą się poruszać żadne pojazdy.

Alvin znowu popadł w zadumę. Był zmęczony; od nadmiernego wysiłku bolały go stopy i mięśnie ud. Może odłożyć tę wyprawę na później? Tak, tylko to później może już nie nastąpić...

Alvin zmagał się z myślami w nikłym świetle gwiazd, z których wiele już umarło od czasu wzniesienia Shalmirane, i w końcu podjął decyzję. Nic się nie zmieniło; góry na nowo podjęły straż nad śpiącą krainą. Ale punkt zwrotny historii nadszedł i minął, a rasa ludzka zmierzała ku nowej, jakże dziwnej przyszłości.

Alvin z Hilvarem nie zasnęli już tej nocy i o świcie zwinęli obóz. Kiedy dotarli do skraju lasu, słońce stało już wysoko nad wschodnią ścianą Lys. Tutaj Natura była u siebie. Pośród gigantycznych drzew, które przesłaniały światło słoneczne i rzucały mroczne cienie na podściółkę dżungli, nawet Hilvar czuł się nieswojo. Na szczęście rzeka biorąca swój początek u stóp wodospadu płynęła na południe zbyt prostym korytem, aby można je uznać za całkowicie naturalne, i trzymając się jej brzegu mogli uniknąć przedzierania się przez gęste zarośla. Nawet Alvin, dla którego wszystko było ciągle nowe, wyczuwał, że ten las ma w sobie coś fascynującego, coś, czego brakowało mniejszym, bardziej swojskim lasom północnego Lys. Wiele drzew najwyraźniej nie pochodziło z Ziemi, a prawdopodobnie nawet z Układu Słonecznego. Gigantyczne sekwoje, wysokie na trzysta lub czterysta stóp, wyglądały jak strażniczki pilnujące mniejszych drzew. Kiedyś nazywano je najstarszymi na Ziemi; nadal były nieco starsze od Człowieka.

Rzeka stawała się coraz szersza; rozlewała się co chwila w małe jeziora, na których kotwiczyły mikroskopijne wysepki. Nad powierzchnią wody uwijały się jaskrawo ubarwione owady.

Pod wieczór ujrzeni przed sobą góry. Rzeka pełniąca dotąd sumiennie rolę przewodniczki toczyła teraz leniwie swe wody, jak gdyby również spodziewała się rychłego końca swej podróży. Zdawali sobie jednak jasno sprawę, że nie dotrą do gór przed zmrokiem. Na długo przed zachodem słońca w lesie zrobiło się tak ciemno, że dalszy marsz stał się niemożliwy.

Alvin z Hilvarem rozbili na noc obóz pod niebotyczną sekwoją, której najwyższe konary skąpane były jeszcze w promieniach słońca.

Kiedy zaszło wreszcie niewidoczne słońce, na rozkołysanych wodach marudziło jeszcze światło. Dwaj badacze, za jakich się teraz uważali, a zresztą takimi też byli — leżeli w gęstniejącym mroku wpatrując się w rzekę i rozmyślając o wszystkim, co widzieli. Alvin stwierdził, że ogarnia go to samo uczucie przyjemnego wyczerpania, które poznał po raz pierwszy poprzedniej nocy i poddał mu się bez oporu. Zасыpiając zdążył jeszcze pomyśleć, kto ostatni szedł tą drogą i jak dawno temu to było.

Kiedy zostawili za sobą las i znaleźli się przed górską ścianą Lys, słońce stało już wysoko. Przed

nimi teren wznosił się stromo falami nagiej skały ku niebu. Tutaj rzeka kończyła swój bieg tak samo widowiskowo, jak go zaczynała, gdyż na jej drodze ziemia rozstępowała się i masy wody znikwały z rykiem w tej czeluści z oczu. Alvin był ciekaw, co się z nią dalej dzieje i przez jakie podziemne groty przepływa, zanim z powrotem ujrzy światło dzienne.

Być może gdzieś tam głęboko istnieją nadal utracone oceany Ziemi, a ta starożytna rzeka wciąż podąża za wzywającym ją zewem morza.

Hilvar stał przez chwilę wpatrzony w ogromny wir. Potem wskazał na górską przełęcz.

— Shalmirane leży w tamtym kierunku — powiedział pewnie. Alvin nie pytał go, skąd to wie; zakładał, że umysł Hilvara nawiązał kontakt z umysłem jakiegoś odległego o wiele mil przyjaciela i informacja, o którą prosił, została mu bezgłośnie przesłana.

Dotarcie do przełęczy nie zajęło im zbyt dużo czasu i kiedy ją minęli, ich oczom ukazał się niezwykle płaskowyż o lekko wygiętym obrzeżu. Alvin nie odczuwał teraz ani zmęczenia, ani strachu — tylko pełną napięcia nadzieję i przeczucie zbliżającej się przygody. Nie miał pojęcia, co tu odkryje, ale w to, że coś odkryje, ani przez chwilę nie wątpił.

W miarę zbliżania się do wierzchołka natura terenu zmieniała się gwałtownie. Niższe partie zboczy pokrywał porowaty kamień wulkaniczny, spiętrzony tu i ówdzie w wielkie hałdy żużla. Teraz pod nogami mieli twarde, szkliste tafle, gładkie i zdradliwie śliskie, jak gdyby skała spływała tu kiedyś z góry roztopionymi strumieniami.

Hilvar dotarł pierwszy do krawędzi. Alvin dogonił go kilka sekund później i stanął bez słowa u boku przyjaciela. Stali nie na skraju płaskowyżu, którego się spodziewali, ale na krawędzi gigantycznej niecki, głębokiej na pół mili i o średnicy trzech mil. Teren przed nimi opadał stromo, aby przy dnie doliny powrócić powoli do poziomu i wzniesć się ponownie coraz to stromiej po jej przeciwległej stronie. Najniżej położoną część niecki zajmowało okrągłe jezioro, którego powierzchnią wstrząsały nieustanne spazmy.

Chociaż dzień był słoneczny, całe wielkie zagłębienie sprawiało wrażenie ebonitowocznego, Alvin z Hilvarem nie potrafili rozpoznać materiału, z jakiego utworzony był krater, ale jego czarna barwa przywodziła na myśl skałę świata, który nigdy nie oglądał światła słonecznego. Nie było to jednak wszystko, gdyż u ich stóp leżała szeroka na jakieś sto stóp, jednolita wstęga metalu otaczająca pierścieniem cały krater, zmatowiała na skutek niezmiernego wieku, ale wciąż nie wykazująca śladu korozji.

Gdy ich oczy przywykły do tej nieziemskiej panoramy, Alvin z Hilvarem zdali sobie sprawę, iż czerń niecki nie była tak idealna, jak zrazu myśleli. Tu i ówdzie, tak krótkotrwale, że można je było tylko zauważyć patrząc bezpośrednio na nie, w ebonitowych ścianach rozbłyskiwały eksplozje światła. Migotały w sposób nie uporządkowany, gasnąc tak szybko, jak się zapalały, niczym odbicia gwiazd na wzburzonym morzu.

— Ależ to piękne! — szepnął Alvin. — Co to może być?

— Przypomina mi to jakiś rodzaj reflektora.

— Ale jest takie czarne!

— Pamiętaj, że tylko dla naszych oczu. Nie wiemy, z jakiego promieniowania korzystali.

— Ale na pewno musi tu być coś więcej! Gdzie jest forteca? Hilvar wskazał na jezioro.

— Przypatrz się uważnie — powiedział.

Alvin utkwiał wzrok w falującej tafli jeziora starając się zgłębić tajemnice, jakie kryło w swych odmętach. Z początku nie widział nic; potem na płyciznach blisko brzegu dostrzegł nikłą siateczkę światła i cienia. Po chwili odróżniał już wzór ciągnący się w kierunku środka jeziora, dopóki jego szczegółów nie skryła głębsza woda.

To ciemne jezioro pochłonęło fortecę. W jego głębinach leżały ruiny potężnych niegdyś budowli, powalonych przez czas. Jednak nie wszystko zagarnęła woda. Po przeciwległej stronie krateru Alvin zauważył teraz rumowisko kamieni i wielkich bloków, które musiały niegdyś tworzyć część masywnych murów. Omywały je fale jeziora, a poziom wody nie podniósł się jeszcze na tyle, aby przypieczerować swoje zwycięstwo.

— Obejdziemy jezioro naokoło — odezwał się cicho Hilvar, jak gdyby ta majestatyczna ruina wzbudziła w jego duszy nabożną cześć. — Być może znajdziemy coś w tych gruzach.

Przez pierwsze kilkaset jardów ściany krateru były tak strome i gładkie, że trudno się było wyprostować, ale po chwili dotarli do łagodniejszych zboczy i dalej szli już bez trudności. W pobliżu jeziora gładka ebonitowa nawierzchnia pokryta była cienką warstwą gleby, którą musiał tu nanieść przez wieki wiatr wiejący od Lys.

Ćwierć mili dalej, jak rozrzucone w nieładzie zabawki dziecka olbrzyma, spoczywały spiętrzone jeden na drugim tytaniczne kamienne bloki. Można było jeszcze rozpoznać fragment masywnego muru; dwa rzeźbione obeliski wyznaczały coś, co kiedyś mogło być bramą. Wszystko porastały mchy i pnącza, i maleńkie, karłowate drzewka. Ciszy nie mącił nawet wiatr.

I tak Alvin z Hilvarem dotarli do ruin Shalmirane. Na te mury szturmowała potęga, która mogła zetrzeć na pył cały świat, a jednak poniosła klęskę. To spokojne, błękitne niebo bluzgało niegdyś ogniami wydartymi z serc słońc, a pod furją tych, którzy nimi władali, musiały chwiać się jak żywe góry Lys.

Nikt nigdy nie zdobył Shalmirane, ale ta niezdojta forteca w końcu padła — padła zniszczona przez cierpliwe macki bluszczu, generacje ryjących ślepo robaków i podnoszące się wolno wody jeziora.

Ogarnięci nabożną czcią dla jej majestatu, Alvin z Hilvarem szli w milczeniu w kierunku kolosalnej ruiny. Zagłębili się w cień pękniętego muru i znaleźli się w kanionie, którego ściany tworzyły zwały kamieni. Przed nimi rozpościerało się jezioro. Podeszli tak blisko brzegu, że woda lizła im prawie stopy. Na wąskim skrawku brzegu załamywały się bez końca maleńkie, nie wyższe niż kilka cali, fale.

Pierwszy odezwał się Hilvar, a mówił głosem tak niepewnym, że Alvin spojrzał nań ze zdziwieniem.

— Jest tu coś, czego nie rozumiem — powiedział powoli Hilvar. — Nie ma wiatru, skąd więc te zmarszczki na wodzie? Powierzchnia jeziora powinna być idealnie gładka.

Zanim Alvin zdążył zastanowić się nad odpowiedzią,

Hilvar położył się na ziemi i zanurzył prawe ucho w wodzie. Alvin zdziwił się z początku, co przyjaciel ma nadzieję odkryć w takiej dziwnej pozycji, ale po chwili uświadomił sobie, że Hilvar nasłuchuje. Z pewnym ociąganiem, ponieważ nie odbijające światła wody jeziora nie wyglądały szczególnie zachęcająco, Alvin poszedł za przykładem Hilvara.

Pierwszy szok przy zetknięciu się z zimną wodą trwał tylko sekundę; gdy minął, Alvin usłyszał słabiutkie, ale wyraźne, jednostajne, rytmiczne pulsowanie. Wydawało mu się, że gdzieś z oddali, z głębin jeziora dochodzi jego uszu bicie gigantycznego serca.

Otrząsnęli włosy z wody i spojrzeli na siebie w milczeniu. Żaden nie chciał pierwszy wyrazić słowami swoich myśli: to jezioro było żywe.

— Najlepiej będzie — odezwał się wreszcie Hilvar — jeśli przeszukamy te ruiny i będziemy się trzymali z dala od jeziora.

— Sądzisz, że tam na dnie coś jest? — spytał Alvin wskazując na zagadkowe fale wciąż załamujące się na ich stopach. — Czy to może być niebezpieczne?

— Nic, co jest obdarzone umysłem, nie jest niebezpieczne — odparł Hilvar. — "Czy aby na pewno?" — pomyślał Alvin. — "A Najeźdźcy?". — Nie wykrywam tu żadnego rodzaju myśli, ale czuję, jakbyśmy nie byli sami. To bardzo dziwne.

Ruszyli z powrotem w kierunku fortecy mając ciągle w pamięci odgłos tego jednostajnego, przytłumionego pulsowania. Alvin odnosił wrażenie, że tajemnica nakłada się na tajemnicę i że pomimo swoich wysiłków, oddala się coraz bardziej od zrozumienia prawd, których szukał.

Niewielka była nadzieja, że ruiny coś im powiedzą, ale przetrząsali dokładnie zwały gruzu i wielkie stopy kamieni. Tutaj być może znajdowały się groby maszyn — maszyn, które tak dawno temu wywiązały się z postawionego przed nimi zadania. Byłyby teraz bezużyteczne, pomyślał sobie Alvin, gdyby Najeźdźcy powrócili. Dlaczego nigdy nie wrócili? Ale to była jeszcze jedna zagadka; miał ich już dosyć do rozwiązywania — nie czas teraz szukać dalszych.

Kilka jardów od jeziora natknęli się na niewielką, nie zawałoną gruzem przestrzeń. Porośnięta była chwastami, ale te poczerniały już i uschły od żaru lejącego się z nieba i kiedy się do nich zbliżali, rozsypywały się na popiół plamiąc im nogi smugami węgla drzewnego. Pośrodku tego placyku stał metalowy trójnóg zakotwiczony pewnie do podłoża i przytrzymujący okrągłą obręcz. Oś obręczy, nachylona pod kątem, celowała w niebo. Na pierwszy rzut oka wydawało się, że obręcz niczego nie otacza; potem, gdy Alvin przyjrzał się jej uważniej, zauważył, że jest ona wypełniona zwiewną mgiełką, która czając się na granicy widzialności męczyła oko patrzącego. To był żar energii i z tego urządzenia, w co teraz nie wątpił, pochodziła eksplozja światła, która zwabiła ich do Shalmirane.

Nie ryzykowali zbliżenia się i obserwowali maszynę stojąc w bezpiecznej odległości. Byli na właściwym tropie; teraz pozostaje tylko stwierdzić, kto — czy też co — ustawiło tutaj ten aparat i jakie mogło być jego przeznaczenie. Ta nachylona obręcz była najwyraźniej wycelowana w kosmos. Czyżby błysk, który obserwowali w nocy, był rodzajem sygnału? To przypuszczenie niosło ze sobą zapierające dech w piersiach implikacje.

— Alwinie — powiedział nagle Hilvar cichym, ale ponagającym głosem — mamy gościa.

Alvin odwrócił się na pięcie i znalazł się oko w oko z trzema pozbawionymi powiek ślepiami. Takie było przynajmniej pierwsze wrażenie: potem za tymi wytrzeszczonymi ślepiami dostrzegł zarysy małej, ale skomplikowanej maszyny. Unosiła się w powietrzu kilka stóp nad ziemią i nie była podobna do żadnego znanego mu robota.

Gdy tylko minęło pierwsze zaskoczenie, poczuł się panem sytuacji. Całe życie wydawał rozkazy maszynom, a że ta nie była mu znana, nie miało tu żadnego znaczenia. Przecież nigdy nie widział na oczy więcej niż kilka procent robotów zaspokajających jego codzienne potrzeby w Diaspar.

— Umiesz mówić? — spytał. Zapadła cisza.

— Czy ktoś tobą steruje?

Nadal cisza.

— Odejdź. Przyjdź. Wznies się. Opuść się.

Żaden z konwencjonalnych rozkazów nie wywołał najmniejszej reakcji. Maszyna pozostawała pogardliwie bierna. Sugerowało to dwie możliwości. Albo była zbyt mało inteligentna, aby go zrozumieć, albo bardzo inteligentna z możliwością dokonywania wyboru i kierowania się własną wolą. W tym drugim przypadku musi traktować ją jak równą sobie. Nawet i tego może być za mało — ale przecież jej nie urazi; próżność nie jest wadą często spotykaną u robotów.

Widząc oczywistą kłękę Alwina, Hilvar nie mógł się powstrzymać od śmiechu. Miał mu właśnie sugerować inny sposób porozumienia się z maszyną, lecz słowa uwięzły mu w gardle. Cisza Shalmirane zmacona została złowieszczym i zupełnie wyraźnym dźwiękiem — bulgotem wody

ustępującej wielkiemu cielsku wynurzającemu się z toni jeziora i ściekającej z niego kaskadami.

Po raz drugi od chwili opuszczenia Diaspar Alvin zapragnął znaleźć się z powrotem w domu. Potem przypomniał sobie, że nie jest to nastrój, w którym spotyka się przygodę, i ruszył wolno, ale stanowczo w stronę jeziora.

Wynurzający się spod ciemnej wody stwór przypominał potworną karykaturę robota, który wciąż poddawał ich milczącym oględzinom, tyle że zbudowaną z żywej materii. Ten sam układ oczu rozmieszczonych w wierzchołkach równobocznego trójkąta nie mógł być żadnym zbiegiem okoliczności; odtworzone zostało nawet z grubsza rozmieszczenie macek i krótkich, zaopatrzonych w stawy kończyn. Na tym jednak podobieństwo się kończyło. Robot nie miał, bo prawdopodobnie jej nie potrzebował, fałbany delikatnych, pierzastych wici, które u jego ożywionej kopii smagały wodę w jednostajnym rytmie, a także wielu krótkich i grubych nóg, na których bestia gramoliła się na brzeg, oraz otworów oddechowych, jeśli takimi one były, sapiących teraz nierówno w rozrzedzonej atmosferze.

Większa część cielska stwora pozostała pod wodą; wynurzył się tylko na dziesięć stóp ponad powierzchnię.

Cały potwór mierzył sobie około pięćdziesięciu stóp długości i nawet ktoś nie mający żadnego przygotowania z zakresu nauk biologicznych, zorientowałby się, że coś jest z nim nie w porządku. Budową swoją przywołał na myśl niedbałą, niezwykłą improwizację, jak gdyby elementy składowe jego cielska wytworzone zostały w pośpiechu bez jakiegokolwiek myśli przewodniej i pozlepiane z grubsza, gdy zaistniała tego potrzeba.

Pomimo rozmiarów stwora i swych początkowych wątpliwości ani Alvin, ani Hilvar nie odczuwali najmniejszej obawy, przyjrzawszy się dobrze mieszkańcowi jeziora. Stworzenie to miało w sobie tyle ujmującej niezgrabności, że było wprost niemożliwe spodziewać się z jego strony poważnego zagrożenia, nawet gdyby istniały powody, aby przypuszczać, że może być niebezpieczne. Rasa ludzka już dawno przewyciężyła swój dziecinny lęk przed czymkolwiek o obcym wyglądzie. Ten strach nie mógł przetrwać po pierwszym kontakcie z przyjaznymi, pozaziemskimi rasami.

— Pozwól, że ja się tym zajmę — powiedział spokojnie Hilvar. — Umiem postępować ze zwierzętami.

— Ależ to nie jest zwierzę — wyszeptał w odpowiedzi Alvin. — Jestem pewien, że to istota inteligentna i że do niej należy ten robot.

— To ona może należeć do robota. W każdym razie jej mentalność musi być bardzo dziwna. Wciąż nie wykrywam żadnego rodzaju myśli. Hej — co się dzieje?

Potwór nie zmienił pozycji, w której spoczywał na krawędzi wody i w której utrzymanie wkładał najwyraźniej sporo wysiłku, ale pośrodku trójkąta wyznaczanego przez oczy zaczęła się tworzyć półprzezroczysta membrana — membrana, która łopotała i drżała i nagle wydobył się z niej słyszalny dźwięk. Był to niski, donośny bełkot nie układający się w żadne zrozumiałe słowa, chociaż stało się oczywiste, że stwór chce do nich przemówić.

Przykro było patrzeć na tę desperacką próbę porozumienia się. Przez kilka minut wysiłki stworzenia spełzały na niczym; potem, zupełnie nagle, uświadomiło sobie chyba, że popełniło jakiś błąd. Łopocząca membrana skurczyła się, a częstotliwość emitowanych przez nią dźwięków skoczyła o kilka oktaw w górę i znalazła się w spektrum normalnej mowy ludzkiej. Poczęły padać zrozumiałe już słowa, nadal jednak przeplatane bełkotem, jak gdyby stwór przypominał sobie dopiero słownictwo, które znał dawno temu, ale przez dłuższy okres go nie używał. Hilvar starał się mu pomóc, jak mógł.

— Teraz cię rozumiemy — powiedział wolno i wyraźnie. — Czy możemy ci w coś pomóc?

Widzieliśmy światło, które wysłałeś. Sprowadziło nas tutaj z Lys.

Na dźwięk słowa "Lys" stwór zdał się oklapnąć, jak gdyby spotkało go jakieś wielkie rozczarowanie.

— Lys — powtórzył za Hilvarem. Nie mógł sobie poradzić z "s" i słowo to w jego wykonaniu zabrzmiało jak "Łyd". — Zawsze Lys. Nikt więcej nie przychodzi. Wołamy Wielkich, ale oni nas nie słyszą.

— Kto to są Wielcy? — spytał Alvin pochylając się z ożywieniem do przodu. Delikatne, nieustające w ruchu wici zafalowały szybciej wskazując na niebo.

— Wielcy — powtórzył stwór. — Z planet wiecznego dnia. Oni przyjdą. Mistrz nam obiecał.

Niczego to nie wyjaśniało. Zanim Alvin przystąpił do zadawania dalszych pytań, wtrącił się Hilvar. Jego indagacje były tak cierpliwe, tak spokojne i tak wnikliwe, że Alvin, pomimo rozsadzającej go niecierpliwości, wołał mu nie przerywać. Wzbraniał się przyznać, że Hilvar przewyższa go inteligencją, ale nie ulegało wątpliwości, że jego umiejętność postępowania ze zwierzętami rozciąga się nawet na tę fantastyczną istotę. Co więcej, ona udzielała mu odpowiedzi. Jej wymowa stawała się, w miarę postępującej konwersacji, coraz wyraźniejsza i chociaż z początku jej odpowiedzi były szorstkie, prawie niegrzeczne, to teraz lody zostały przełamane i stwór coraz chętniej odpowiadał na stawiane mu pytania.

Alvin stracił zupełnie poczucie upływu czasu przysłuchując się, jak Hilvar składa po kawałku niewiarygodną historię. Nie mogli dowiedzieć się całej prawdy; wciąż pozostawało wiele miejsca na przypuszczenia i domysły.

Z czasem stwór zaczął zmieniać swój wygląd. Osunął się w wody jeziora, a krótkie nogi, na których się wspierał, zdawały się zlewać z resztą cielska. Naraz zaszła jeszcze bardziej niezwykła zmiana; trzy ogromne ślepia zamknęły się powoli, skurczyły do rozmiarów główki od szpilki i zamilkły zupełnie. Odnosiło się wrażenie, że stwór zobaczył wszystko, co chciał zobaczyć, i oczy przestały mu być potrzebne.

Zachodziły też ciągle jeszcze inne, bardziej subtelne przemiany i w końcu nad powierzchnią wody pozostała tylko wibrująca błona, za pośrednictwem której przemawiał stwór. Bez wątpienia i ona, kiedy przestanie być potrzebna, rozpuści się w oryginalną, bezpostaciową masę protoplazmy.

Alwinowi trudno było uwierzyć, że inteligencja może zamieszkiwać tak niestabilną formę — ale największe zdziwienie miało dopiero nastąpić. Chociaż oczywiste było, iż stwór nie jest pochodzenia ziemskiego, upłynęło sporo czasu, zanim Hilvar, pomimo znajomości biologii, rozpoznał typ organizmu, z którym mieli do czynienia. Nie była to pojedyncza istota; w dialogu, który z nimi prowadziła, zawsze mówiła o sobie "my". W rzeczywistości nie była niczym innym, jak kolonią niezależnych stworzeń organizowanych i kontrolowanych przez nieznaną siłę.

Bardzo podobne zwierzęta — na przykład meduzy — ozdabiały niegdyś oceany Ziemi. Niektóre z nich osiągnęły duże rozmiary, ciągnąc na długości pięćdziesięciu czy nawet stu stóp za swymi przezroczystymi korpusami warkocze parzących macek. Ale żadne u nich, poza umiejętnością reagowania na proste bodźce, nie przejawiały najmniejszego przeblýsku inteligencji.

Tutaj mieli na pewno do czynienia z inteligencją, choć była to tylko inteligencja upadająca, zdegradowana. Alvin miał nigdy nie zapomnieć tego nieziemskiego spotkania, podczas którego Hilvar składał powoli ze strzępów historię Mistrza, proteinowy polip szukał po omacku słów, ciemne wody jeziora z pluskiem omywały ruiny Shalmirane, a trójjoki robot obserwował ich swym nieruchomym wzrokiem.

Rozdział 13

Mistrz przybył na Ziemię wśród chaosu Wieków Przejściowych, kiedy waliło się już Imperium Galaktyczne, ale nie zostały jeszcze całkowicie przerwane linie komunikacyjne pomiędzy gwiazdami. Wywodził się z rasy ludzkiej, ale jego domem była planeta okrążająca Siedem Słońc. Będąc jeszcze młodzieńcem, zmuszony został do opuszczenia swego rodzinnego świata i tęsknota za nim prześladowała go przez całe życie. Za swoje wygnanie winił mściwych nieprzyjaciół, ale faktem było, iż cierpiał na nieuleczalną chorobę, która jak się wydawało, spośród wszystkich inteligentnych ras zamieszkujących wszechświat atakowała tylko gatunki homo sapiens. Tą chorobą była mania religijna.

We wczesnych stadiach swego rozwoju rasa ludzka wydała na świat nieprzeliczone zastępy wieszczów, proroków i mesjaszy, którzy zapewniali siebie i swych wyznawców, że im tylko dane było poznać tajemnice wszechświata. Niektórym z nich udało się nawet ustanowić religie, które przetrwały wiele pokoleń i wpłynęły na losy miliardów ludzi; o innych zapomniano jeszcze za ich życia.

Rozwój nauki, która z monotonną regularnością obalała kosmologie proroków i tworzyła teorie, do których nigdy one nie pasowały, doprowadził w końcu do zaniku tych wier. Nie zniszczył czci ani pokory, którą odczuwały wszystkie istoty rozumne kontemplując ogrom wszechświata, w którym przyszło im żyć, osłabił jednak i w końcu zatarł niezliczone religie, z których każda z niewiarygodną arogancją twierdziła, że ona jest jedyną kopalnią prawdy, a z milionów rywalek i poprzedniczek wszystkie się myliły.

Pomimo że ludzkość osiągnęła wreszcie pewien bardzo elementarny poziom cywilizacji, nadal pojawiały się różne izolowane od wieków kultury. I chociaż głoszone przez nie creda prześcigały się w fantastyczności, zawsze potrafiły przyciągnąć jakąś grupę zwolenników. Rozwijały się one ze szczególną siłą w okresach zamieszania i chaosu i nie było nic dziwnego w tym, że Stulecia Przejściowe stały się areną wielkiego rozkwitu irracjonalizmu. Gdy rzeczywistość stawiała się przygnębiająca, ludzie usiłowali znaleźć ucieczkę od niej w mitach.

Mistrz, chociaż wypędzony z ojczyznoego świata, nie opuścił go nie wyposażony na drogę. Siedem Słońc było centrum władzy i nauki galaktycznej, a on musiał mieć wpływowych przyjaciół. Swoją arkę uczynił mały, ale szybki statek, uważany za jeden z najszybszych z do tej pory zbudowanych. Zabrał też ze sobą na tułaczkę inne wspaniałe wytwory nauki i techniki galaktycznej — między innymi robota, który obserwował teraz Alvina i Hilvara.

Nikt nie znał wszystkich funkcji i możliwości tej maszyny. W pewnym sensie stała się ona alter ego Mistrza; bez niej religia Wielkich upadłaby prawdopodobnie w jakiś czas po jego śmierci. Mistrz i robot włączyli się razem po gwiazdnych szlakach, aby w końcu, i na pewno nie przypadkiem, zawitać z powrotem do świata, z którego pochodzili przodkowie Mistrza.

W swej wędrówce Mistrz zatrzymywał się na wielu planetach i znajdował wyznawców wśród wielu ras. Jego osobowość musiała być nadzwyczaj potężna, skoro inspirowała tak samo ludzi, jak i istoty niepodobne do nich ani fizycznie, ani psychicznie. Nie ulegało wątpliwości, że religia o tak dużej sile oddziaływania musiała nosić w sobie duży ładunek doskonałości i szlachetności. Mistrz musiał być największym, a zarazem ostatnim z wszystkich mesjaszy ludzkości. Żaden z jego poprzedników nie potrafił zgromadzić wokół siebie takiej rzeszy wiernych, ani też ich nauki nie zostały przeniesione przez takie otchłanie czasu i przestrzeni.

Co głosiły te nauki, tego Alvin z Hilvarem nie mogli w żaden sposób pojąć. Wielki polip starał się jak mógł, aby im to wytłumaczyć, ale nie rozumieli wielu używanych przez niego słów, a poza tym

miał on nawyk powtarzania całych, zaczerpniętych z kazań sentencji z tak mechaniczną szybkością, że trudno było pojąć, co mówił. Po jakimś czasie udało się Hilvarowi sprowadzić rozmowę z tych nic nie wnoszących bezdroży teologii i skoncentrować ją na faktach.

Mistrz zjawił się na Ziemi z grupką swych najbardziej fanatycznych wyznawców w okresie poprzedzającym upadek miast, kiedy Port Diaspar był jeszcze otwarty na gwiazdy. Musieli przybyć na różnego typu statkach; polipy, na przykład, w pojeździe wypełnionym morską wodą, która stanowiła ich naturalne środowisko. Czy ruch został na Ziemi dobrze przyjęty, nie było pewne, ale nie napotkał przynajmniej żadnej gwałtownej opozycji i po długiej wędrówce znalazł wreszcie swą przystań w lasach i górach Lys.

Pod koniec swego długiego życia Mistrz powrócił myślami do domu, z którego go niegdyś wypędzono. Poprosił przyjaciół, aby wynieśli go w kosmos, skąd mógł jeszcze raz spojrzeć na gwiazdy. Opadając z sił czekał aż do kulminacji Siedmiu Słońc i pod sam koniec bełkotał wiele rzeczy, które różnie potem interpretowano. Wspominał wciąż o Wielkich, którzy opuścili teraz wszechświat tej materii i przestrzeni, ale którzy pewnego dnia powrócą, i nakazał swym wyznawcom, aby pozostali i przywitali ich, gdy nadejdą. To były jego ostatnie sensowne słowa. Nie odzyskał już świadomości, ale tuż przed śmiercią wypowiedział frazę, która przetrwała wieki, aby nie dawać spokoju umysłom wszystkich, którzy ją słyszeli: "To cudowne patrzeć na barwne cienie na planetach wiecznego światła".

Zaraz potem wyzionął ducha.

Po śmierci Mistrza wielu jego wyznawców powróciło do swych domów, ale inni pozostali wierni jego naukom i piastowali je przez wieki. Z początku wierzyli, że Wielcy, kimkolwiek byli, powrócą szybko, ale z upływem stuleci nadzieja ta gasła. Tutaj historia gmatwa się coraz bardziej i odnosi się wrażenie, że prawda przeplata się z legendą.

Alvin wyrobił sobie mglisty jedynie obraz pokoleń fanatyków, czekających na jakieś wielkie wydarzenie, którego nie pojmowali i które miało nastąpić w jakiejś bliżej nie określonej przyszłości.

Wielcy nigdy nie powrócili. W miarę jak śmierć i zniechęcenie zmniejszały liczbę wiernych, siła ruchu malała. Pierwsi odeszli krótko żyjący wyznawcy-ludzie i było coś doskonale ironicznego w tym, że ostatnim stronnikiem proroka-człowieka została istota zupełnie do Człowieka niepodobna.

Wielkiemu polipowi rola ostatniego wyznawcy Mistrza przypadła z prostej przyczyny. Był nieśmiertelny. Miliardy indywidualnych elementów, z których zbudowane było jego ciało, umierały, ale przedtem reprodukowały się. Co pewien czas stwór rozpadał się na miliardy komórek, które rozmnażały się przez podział, jeśli natrafiły na sprzyjające temu środowisko. Podczas tej fazy polip nie istniał jako świadoma, inteligenta istota — i to kojarzyło się Alwinowi z okresami, jakie mieszkańcy Diaspar spędzali w bankach pamięci miasta.

W odpowiednim czasie tajemnicza siła biologiczna gromadziła w jednym miejscu rozproszone segmenty i polip rozpoczynał nowy cykl swojej egzystencji. Powracała mu świadomość i przypominał sobie wcześniejsze wcielenia, chociaż często niedokładnie, gdyż czasem któraś z komórek przechowujących delikatną matrycę pamięci ulegała przez przypadek zniszczeniu.

Religię Wielkich w jej późniejszych stadiach zaczęto identyfikować z kultem Siedmiu Słońc. Kiedy Wielcy uparcie się nie pojawiali, przystąpiono do prób sygnalizowania im swej obecności. Już dawno temu sygnalizacja ta stała się nic nie znaczącym rytuałem, odprawianym teraz przez istotę, która zapomniała, jak się uczyć, i robota, który nie umiał zapomnieć.

Gdy ten niewiarygodnie stary głos zamarł w nieruchomym powietrzu, Alvin uświadomił sobie, że przytłacza go uczucie niewysłowionego współczucia. To niewłaściwie ukierunkowane poświęcenie, ta lojalność, która przetrwała przemijające słońca i rośliny — nigdy nie uwierzyłby w taką

opowieść, gdyby nie miał przed sobą naocznego dowodu. Bardziej niż kiedykolwiek przedtem zasmucały go rozmiary własnej niewiedzy. Na chwilę rozjaśnił się maleńki fragmencik przeszłości, ale teraz znowu spowił go mrok.

Historię wszechświata musiała tworzyć masa takich nie powiązanych ze sobą wątków i nikt nie potrafi stwierdzić, które z nich są ważne, a które nieistotne. Fantastyczna opowieść o Mistrzu i Wielkich wydawała się jeszcze jedną z niezliczonych legend, jakie przetrwały od czasów cywilizacji Zarania. Jednak samo istnienie wielkiego polipa i spozierającego w milczeniu robota przemawiało za prawdziwością całej historii.

Co łączyło te dwie istoty, które choć tak różne pod wszystkimi możliwymi względami, utrzymały swe niezwykle partnerstwo przez takie eony czasu? Miał przecucie, że robot jest z nich dwóch o wiele ważniejszy. Był powiernikiem Mistrza, musiał więc znać jego tajemnice.

Alvin spojrzał na tajemniczą maszynę, która wciąż mu się przyglądała. Dlaczego nie przemówił? Jakie myśli przewijają się przez jej skomplikowany i być może obcy mózg? Jeśli jednak została zbudowana, aby służyć Mistrzowi, jej mózg nie mógł być całkowicie obcy i powinna reagować na rozkazy człowieka.

Myśl o tajemnicach, jakie musi znać ta uparcie milcząca maszyna, rozbudzała w Alvinie ciekawość graniczącą z żądzą. Wydawało mu się, że ukrywanie takiej wiedzy przed światem to niewybaczalne marnotrawstwo; musiały to być rewelacje, o których nie wiedział nawet Centralny Komputer z Diaspar.

— Dlaczego twój robot się nie odzywa? — spytał polipa, gdy Hilvarowi zabrakło chwilowo pytań. Padła odpowiedź, której właściwie się spodziewał.

— Mistrz nie życzył sobie, aby robot przemawiał głosem innym niż jego, a jego głos teraz milczy.

— Ale ciebie słucha?

— Tak. Mistrz oddał go pod nasze rozkazy. Widzimy jego oczyma, gdziekolwiek się uda. On opiekuje się maszynami, które chronią to jezioro i dbają o czystość wody. Jednak bardziej bliskie prawdy byłoby stwierdzenie, iż jest on naszym partnerem, nie sługą.

Alvin zamyślił się. W jego mózgu zaczął kiełkować jakiś pomysł. Może zainspirowała go zwykła żądza wiedzy i władzy; kiedy później wspomniał tę chwilę, nigdy nie był pewien, jakie motywy wtedy nim kierowały. Mogły wynikać z pobudek egoistycznych, ale zawierały też jakiś element współczucia. Gdyby potrafił, przerwałby tę kruchą egzystencję i uwolnił te stworzenia od ich fanatycznego obowiązku. Nie wiedział, jak mogłby pomóc polipowi, ale istniała może szansa na wyleczenie z szaleństwa robota, co mogłoby się wiązać z wyciągnięciem na światło dzienne jego bezcennych, zazdrośnie strzeżonych wspomnień.

— Jesteś pewien — powiedział powoli, zwracając się do polipa, ale kierując swe słowa do robota — że naprawdę wypełniasz wolę Mistrza pozostając tutaj? On pragnął, aby świat poznał jego nauki, ale zapomniano o nich, kiedy ukrywałeś się w Shalmirane. Znaleźliśmy cię tylko przez przypadek, a są być może i inni, którzy chcieliby usłyszeć naukę o Wielkich.

Hilvar zerknął na Alvina z ukosa, najwyraźniej nieświadom jego intencji. Polip sprawiał wrażenie poruszonego i jednostajne pulsowanie jego organów oddychania wypadło na kilka sekund z rytmu. Po chwili odezwał się niezupełnie kontrolowanym głosem:

— Rozważaliśmy ten problem przez wiele lat. Ale nie możemy opuścić Shalmirane i dlatego świat musi przyjść do nas bez względu na to, ile czasu to zajmie.

— Mam lepszy pomysł — powiedział żarliwie Alvin. — To prawda, że ty będziesz chyba musiał zostać tu, w jeziorze, ale nic nie stoi na przeszkodzie, żeby twój towarzysz poszedł z nami. Będzie mógł wrócić, kiedy tylko zechce albo kiedy będziesz go potrzebował. Wiele zmian zaszło od śmierci

Mistrza. Powinniście zaznajomić się z tymi zmianami, ale nigdy ich nie poznacie, jeśli pozostaniecie tutaj.

Robot nie drgnął nawet, ale polip w męce niezdecydowania zanurzył się całkowicie pod powierzchnię jeziora i pozostał tam przez kilka minut. Być może odbywał bezgłośnie naradę z samym sobą; kilka razy zaczynał się wynurzać, zmieniał zamiar i pogrążał się znowu w odmętach. Hilvar skorzystał z okazji, aby zamienić parę słów z Alvinem.

— Chciałbym wiedzieć, do czego zmierzasz — powiedział cicho. — A może sam jeszcze tego nie wiesz?

— Na pewno żal ci tej biednej istoty — odparł Alvin. — Nie wydaje ci się, że uwalniając go spełnilibyśmy dobry uczynek?

— Owszem, ale poznałem cię już na tyle, żeby wiedzieć, iż altruizm nie jest twoją dominującą cechą. Musisz mieć w tym jakiś interes.

Alvin uśmiechnął się smutno.

— Twoi ludzie mają zadziwiająco potężne umysły — odparł starając się sprowadzić rozmowę na bezpieczniejsze tory. — Sądzę, że mogliby coś uczynić, jeśli już nie dla tej istoty, to chociaż dla robota. — Mówił bardzo cicho. Ten środek ostrożności mógł się okazać nieskuteczny, ale jeśli nawet robot słyszał jego słowa, to nie dał tego po sobie poznać.

Na szczęście, zanim Hilvar zdążył zapytać o cokolwiek więcej, polip wynurzył się jeszcze raz z jeziora. Przez ostatnie kilka minut skurczył się znacznie, a jego ruchy były teraz mniej skoordynowane. Na oczach Alvina segment jego skomplikowanego, przezroczystego cielska oderwał się od głównej masy i rozsypał na mnóstwo mniejszych sekcji, które powoli zanikały. Stwór zaczynał się na ich oczach rozpadać.

Jego głos, gdy przemówił, rwał się i trudno go było zrozumieć.

— Zaczyna się nowy cykl — wyrzucił z siebie urywanym szeptem. — Nie spodziewaliśmy się tego tak szybko... minęło dopiero kilka minut... zbyt silny bodziec... nie możemy utrzymać się już dłużej razem...

Alvin z Hilvarem patrzyli na stwora z trwożną fascynacją. Chociaż proces, którego byli świadkami, był naturalny i odwracalny, nie należało do przyjemności nieokreślone poczucie winy; uświadamiali sobie, że tę przedwczesną metamorfozę spowodował niezwykle wysiłek i podniecenie ich obecnością.

Alvin zdał sobie sprawę, że musi działać szybko, bo taka okazja może się już nie nadarzyć.

— Co postanowiłeś? — spytał niecierpliwie. — Czy robot ma pójść z nami?

Zaległa pełna napięcia cisza, podczas której polip starał się zmusić do posłuszeństwa swe rozkładające się ciało. Membrana mowy załopotiała, ale nie wydała żadnego słyszalnego dźwięku. Potem, jak gdyby w pełnym rezygnacji geście pożegnania, stwór zamachał niepewnie swymi delikatnymi mackami i opuścił je na wodę, gdzie natychmiast oderwały się od ciała i odpłynęły na środek jeziora. W przeciągu kilku minut transformacja była zakończona. Z polipa nie pozostało nic dłuższego niż cal. Woda wypełniła się malutkimi zielonkawymi drobinkami, z których każda wydawała się obdarzona życiem i zdolnością poruszania się i które nagle zniknęły pod powierzchnią jeziora.

Zmarszczki na powierzchni wygładziły się i Alvin wiedział, że jednostajne bicie pulsu rozbrzmiewające w głębinach już ucichło. Jezioro znowu było martwe, a przynajmniej tak wyglądało. Jednak pewnego dnia nieznanne siły, które nigdy jeszcze nie zaniedbały swojego obowiązku, znowu się uaktywnią i polip odrodzi się.

Alvin patrzył ze smutkiem na jezioro i upłynęło trochę czasu, zanim jego mózg zarejestrował słowa

szeptane mu przez Hilvara na ucho.

— Alvinie, wydaje mi się, że dopiąłeś swego.

Alvin odwrócił się na pięcie. Robot, który do tej pory unosił się w powietrzu w pewnej odległości i nie zbliżał do nich bardziej niż na dwadzieścia stóp, ruszył teraz bezgłośnie i zatrzymał się o jard nad głową Alvina. Patrząc na jego szeroko rozstawione oczy nie można było stwierdzić, na czym skupiał wzrok. Prawdopodobnie jego kąt widzenia był bliski stu osiemdziesięciu stopniom, ale Alvin nie wątpił, że uwaga maszyny jest teraz skupiona na nim.

Robot czekał na jego następny ruch. Do pewnego przynajmniej stopnia znajdował się teraz pod jego kontrolą. Może pójść za nim do Lys, może nawet do Diaspar — o ile nie zmieni po drodze swych zamiarów. Do tego czasu Alvin był jego przybrany panem.

Rozdział 14

Podróż powrotna do Airlee trwała bez mała trzy dni — częściowo dlatego, że Alvin z jemu wiadomych powodów nie śpieszył się z powrotem. Zwiedzanie Lys zeszło teraz na drugi plan, ustępując miejsca ważniejszemu i bardziej podniecającemu zajęciu; Alvin nawiązywał powoli kontakt z dziwną, opętaną inteligencją, która mu teraz towarzyszyła.

Podejrzewał, że robot próbuje wykorzystać go do swych celów. Jakie one były, Alvin nie wiedział, ponieważ maszyna uparcie nie chciała z nim rozmawiać. Z pewnych, jemu tylko wiadomych względów — być może z obawy, że robot może wyjawic zbyt wiele tajemnic — Mistrz musiał założyć bardzo skuteczne blokady na jego układy mowy i próby przełamania ich kończyły się za każdym razem całkowitym niepowodzeniem. Nie odnosiły nawet skutku bezpośrednio stawiane propozycje w rodzaju: "Jeśli nie będziesz nic mówił, przyjmę, że mówisz »tak«". Robot był zbyt inteligentny, żeby dać się w ten sposób podejść.

Pod innymi względami był on jednak bardziej chętny do współpracy. Wykonywał rozkazy, które nie wymagały odeń mówienia czy wyjawiania informacji. Po pewnym czasie Alvin stwierdził, że może nim sterować tak, jak robotami z Diaspar, czyli samą myślą. To był wielki krok naprzód i od tej chwili stwór — bo trudno go było uważać za zwykłą maszynę — stawał się coraz bardziej przystępny i nawet pozwalał Alwinowi patrzeć przez swoje oczy. Wyglądało na to, że takie pasywne formy komunikacji nie wzbudzają w robocie żadnego sprzeciwu, ale wszelkie próby nawiązania z nim bliższego kontaktu napotykały barierę nie do przebycia.

Hilvara robot ignorował całkowicie; nie słuchał żadnych jego rozkazów, a mózg miał zamknięty na jakiegokolwiek sondowanie. Z początku martwiło to Alvina, który żywił nadzieję, że zdolności telepatyczne Hilvara umożliwią mu włamanie się do tej skarbnicy wiedzy, jaką były ukryte wspomnienia robota. Było tak do czasu, gdy zdał sobie sprawę z zalet posiadania sługi, który nie słucha nikogo poza nim.

Gdy łazik wpłynął do Airlee, Seranis już na nich czekała, Alvin pomyślał sobie, że zaskoczenie czymś tych ludzi było chyba niemożliwe. Ich sprzężone umysły utrzymywały stały kontakt ze wszystkim, co działo się w ich krainie. Ciekaw był, jak zareagowali na jego przygody w Shalmirane, o których wiedział już prawdopodobnie każdy w Lys.

Seranis sprawiała wrażenie zmartwionej i bardziej niepewnej niż kiedykolwiek przedtem i Alvin przypomniał sobie o wyborze, jakiego musi teraz dokonać. W gorączce ostatnich kilku dni prawie o tym zapomniał. Teraz nadszedł czas na zdecydowanie się, w którym z tych dwóch światów pragnie żyć.

Głos Seranis, gdy zaczęła mówić, był zatroskany i Alvin odniósł wrażenie, że coś się zmieniło w planach, jakie względem jego osoby miało Lys. Czy coś się wydarzyło podczas jego nieobecności? Czy emisariusze udali się do Diaspar w celu wymazania pamięci Khedrona — i nie udało im się wykonać tego zadania?

— Alwinie — zaczęła Seranis — jest wiele spraw, o których ci wcześniej nie mówiłam, ale o których musisz się teraz dowiedzieć, jeśli masz zrozumieć nasze postępowania.

Znasz jeden powód separacji naszych dwóch kultur. Lęk przed Najeźdźcami, ten mroczny cień na dnie umysłu każdego człowieka, odwrócił twoich ludzi plecami do całego świata i sprawił, że zagubili się we własnych marzeniach. Tutaj, w Lys, ten strach nigdy nie był taki wielki, chociaż to my dźwigaliśmy brzemień ostatniego ataku. Mamy lepsze usprawiedliwienie naszego postępowania i to co robimy, robimy przy podniesionej kurtynie.

Dawno temu, Alwinie, ludzie pragnęli nieśmiertelności i wreszcie ją osiągnęli. Zapomnieli tylko,

że świat, który wyrzeka się śmierci, wyrzeka się również narodzin. Możliwość przedłużania w nieskończoność czyjś życia mogła dać zadowolenie jednostce, ale spowodowała stagnację rasy. Wieki temu zrezygnowaliśmy dobrowolnie z nieśmiertelności, ale Diaspar wciąż śni ten fałszywy sen. Dlatego właśnie nasze drogi się rozeszły i dlatego nigdy już się nie spotkają.

Chociaż Alvin oczekiwał tych słów, nie złagodziło to w niczym siły ciosu. Nie chciał jednak dopuścić do siebie myśli o rozwianiu się wszystkich marzeń i teraz tylko część jego mózgu słuchała, co mówiła Seranis. Rozumiał i rejestrował wszystkie jej słowa, ale świadoma część jego umysłu odtwarzała sobie drogę powrotną do Diaspar, starając się przewidzieć każdą przeszkodę, jaką może na niej napotkać.

Seranis była wyraźnie zasmucona. Mówiła niemal błagalnym głosem i Alvin wiedział, że ta kobieta zwraca się nie tylko do niego, ale i do swego syna. Musiała zdawać sobie sprawę ze zrozumienia i przyjaźni, jakie zrodziły się między nimi podczas spędzonych razem dni. Hilvar obserwował z napięciem matkę i Alwinowi wydawało się, że w jego spojrzeniu dostrzega nie tylko niepokój, ale także coś na kształt potępienia.

— Nie chcemy cię zmuszać do robienia czegokolwiek wbrew twojej woli, ale chyba musisz sobie zdawać sprawę ze skutków ponownego spotkania naszych ludzi. Między naszą a waszą kulturą istnieje przepaść tak wielka, jak ta, która oddzielała kiedyś Ziemię od jej starożytnych kolonii. Pomyśl o jednym tylko fakcie, Alwinie. Ty i Hilvar jesteście niemal rówieśnikami — ale i on, i ja nie będziemy już żyli od wieków, gdy ty wciąż będziesz jeszcze młodzieńcem. A jest to dopiero pierwsze z serii twoich wcieleń.

W pokoju zrobiło się bardzo cicho, tak cicho, że Alvin słyszał dziwne, żalotne porykiwania zwierząt pasących się na łąkach za wsią. W końcu odezwał się niemal szeptem:

— Co chcesz, abym uczynił?

— Sądziliśmy, że możemy dać ci możliwość wyboru pozostania tutaj albo powrotu do Diaspar, ale teraz sytuacja uległa zmianie. Zbyt wiele się wydarzyło, aby pozostawiać tę decyzję tobie. Nawet tak krótki okres twojego pobytu wprowadził w nasze życie wiele zamieszania. Nie, nie potępiam ciebie; pewna jestem, że nie chciałeś nam zaszkodzić. Ale lepiej by było, gdybyś zostawił istoty napotkane w Shalmirane ich własnemu losowi.

A co do Diaspar — tu Seranis pokręciła smutnie głową — to zbyt wielu ludzi wie, dokąd się udałeś; nie zadziałaliśmy w porę. A co najważniejsze, człowiek, który pomógł ci znaleźć drogę do Lys, zniknął. Nie może go odnaleźć ani Rada Diaspar, ani nasi wysłannicy, a więc stanowi on potencjalne zagrożenie naszego bezpieczeństwa. Może dziwisz się, że mówię ci to wszystko, ale czynię tak, ponieważ niczym mi to nie grozi. Przykro mi, ale pozostało nam tylko jedno wyjście: musimy wysłać cię do Diaspar ze sfalszowanymi wspomnieniami. Wspomnienia te zostały już z wielką pieczołowitością spreparowane i kiedy powrócisz do domu, nie będziesz wiedział o nas nic. Będziesz przekonany, że miałeś raczej nudne i niebezpieczne przygody w ponurych podziemnych grotach, gdzie stropy wciąż waliły ci się na głowę, i przeżyłeś tylko dzięki odżywianiu się obrzydliwym zielskiem i picciu wody z przypadkowo napotkanych strumieni. Przez resztę życia będziesz przekonany, że to prawda, i każdy w Diaspar zaakceptuje twoją opowieść. Nie będzie zatem żadnej tajemnicy, która rozpalalaby wyobraźnię ewentualnych przyszłych badaczy; będą sądzeni, że wiedzą o Lys wszystko.

Seranis przerwała i spojrzała na Alvina pełnymi napięcia oczyma.

— Przykro nam, ale to konieczne i póki jeszcze nas pamiętasz, prosimy cię o wybaczenie. Możesz jeszcze nie akceptować naszej decyzji, ale wpłynęło na nią wiele innych czynników, o których ci nie wspomniałam. Przynajmniej nie będzie ci żal, bo będziesz myślał, że odkryłeś wszystko, co było do

odkrycia.

Alvin zastanawiał się, czy to prawda. Nie był taki pewien, czy zdoła kiedykolwiek przywyknąć do rutyny życia w Diaspar, nawet będąc przeświadczony, że poza jego murami nie istnieje nic wartego zachodu. Co więcej, nie miał zamiaru tego sprawdzać.

— Kiedy chcecie poddać mnie temu... zabiegowi? — spytał.

— Natychmiast. Jesteśmy już gotowi. Otwórz przede mną swój umysł, tak jak robiłeś to wcześniej, i nic nie poczujesz do chwili, gdy znajdziesz się z powrotem w Diaspar.

Alvin zamyślił się na chwilę, po czym powiedział cicho:

— Chciałbym pożegnać się z Hilvarem. Seranis skinęła głową.

— Rozumiem. Zostawię was tu na chwilę i wrócę, kiedy będziecie gotów. — Podeszła do schodów i zeszła do wnętrza domu.

Zostali sami na dachu. Minęła długa chwila, zanim Alvin odezwał się do przyjaciela. Czuł wielki smutek, ale i niezłomną wolę niedopuszczenia do zniweczenia wszystkich swych nadziei. Spojrzał jeszcze raz na wioskę, w której znalazł miarę szczęścia i której mógł już nie zobaczyć, jeśli ci, którzy stali za Seranis, dopną swego. Pod rozłożystym drzewem stał wciąż łazik, a nad nim unosił się cierpliwie robot. Wokół zebrała się gromadka dzieci podziwiających osobliwego przybysza, ale nikt z dorosłych nie przejawiał nim najmniejszego zainteresowania.

— Hilvarze — odezwał się nagle — przykro mi.

— Mnie też — odparł załamującym się głosem Hilvar. — Miałem nadzieję, że będziesz mógł tu pozostać.

— Czy sądzisz, że to, co chce zrobić Seranis, jest słuszne?

— Nie wiń za to mojej matki. Robi tylko to, co jej każą — odparł Hilvar. Chociaż nie odpowiedział na postawione pytanie, Alvin nie miał serca go powtarzać.

— Powiedz mi zatem — poprosił — jak mogliby zatrzymać mnie twoi ludzie, gdybym próbował zbiec z nie naruszonymi wspomnieniami?

— To byłoby proste. Gdybyś próbował uciec, przejęlibyśmy kontrolę nad twoim umysłem i zmusili cię do powrotu.

Nie było to dla Alvina żadnym zaskoczeniem. Chciał być szczery z Hilvarem, najwyraźniej poruszonym zbliżającym się rozstaniem, ale bał się ryzykować wyjawienia swego planu. Bardzo dokładnie, rozważając każdy szczegół, obmyślił sposób, w jaki mógłby dostać się z powrotem do Diaspar na akceptowanych przez siebie warunkach.

Musiał jednak liczyć się z jednym niebezpieczeństwem, którego w żaden sposób nie można było uniknąć. Jeśli Seranis złamie swoje przyrzeczenie i wejdzie w jego umysł, wszystkie precyzyjnie obmyślane posunięcia będą z góry skazane na niepowodzenie.

Wyciągnął do Hilvara rękę i ten uściśnął ją mocno, ale nie potrafił wydobyć z siebie głosu.

— Zejdźmy na dół, do Seranis — powiedział Alvin. — Zanim odejdę, chciałbym dowiedzieć się czegoś o ludziach z wioski.

Hilvar szedł za nim w milczeniu po schodach w głąb chłodnego wnętrza budynku, a potem korytarzem na zewnątrz, na soczyście zielony trawnik otaczający posiadłość Seranis. Czekająca tam na nich z wyrazem opanowania i stanowczości na twarzy. Wiedziała, że Alvin stara się coś przed nią ukryć i jeszcze raz przebiegła w myślach środki ostrożności, jakie przedsięwzięła.

— Czy jesteś już gotów, Alwinie? — spytała.

— Tak — odparł Alvin, a w jego głosie zabrzmiała dziwna nuta, która kazała jej spojrzeć nań uważnie.

— Najlepiej zatem będzie, jeśli przestaniesz myśleć o czymkolwiek, tak jak przedtem. Za chwilę

stracisz świadomość wszystkiego, co się dookoła dzieje, i odzyskasz ją dopiero w Diaspar.

Alvin odwrócił się do Hilvara i powiedział szeptem, żeby nie usłyszała tego Seranis:

— Do widzenia, Hilvarze. Nie martw się — ja wrócę. Potem znowu odwrócił się twarzą do Seranis.

— Nie mam do ciebie żalu o to, co chcesz zrobić — powiedział głośno. — Nie wątpię, że uważasz to za najlepsze wyjście z sytuacji, ale sądzę, iż się mylisz. Diaspar i Lys nie powinny pozostać odseparowane na zawsze; któregoś dnia mogą rozpaczliwie siebie nawzajem potrzebować. Wracam więc do domu ze wszystkim, czego się tu dowiedziałem — i nie wydaje mi się, abyście potrafili mnie zatrzymać.

Nie zwlekał już dłużej i dobrze zrobił. Seranis nie uczyniła żadnego ruchu, ale poczuł nagle, że ciało wymyka mu się spod kontroli. Siła, która wypierała jego własną wolę, była jeszcze większa, niż się spodziewał i uświadomił sobie, że Seranis musiało pomagać wiele ukrytych umysłów. Zaczął bezradnie iść z powrotem w kierunku budynku i przez jedną okropną chwilę pomyślał sobie, że jego plan się nie powiódł.

Nagle błysnęła stal i kryształ i otoczyły go metalowe ramiona. Jego ciało wrywało się im, czego się spodziewał, ale te wysiłki były bezcelowe. Ziemia uciekała mu spod nóg i kątem oka dostrzegł skamieniałego ze zdumienia Hilvara z głupawym uśmiechem na ustach.

Robot niósł go kilkanaście stóp nad ziemią dużo szybciej, niż może biec człowiek. Seranis szybko pojęła podstęp i gdy złagodziła swą kontrolę nad ciałem Alvina, ten przestał się szarpać. Ale Seranis jeszcze nie dała za wygraną i teraz nastąpiło to, czego Alvin obawiał się najbardziej i czemu starał się ze wszystkich sił przeciwstawić.

W jego mózgu zmagaly się dwie różne istoty i jedna z nich błagała robota, żeby postawił go na ziemi. Prawdziwy Alvin czekał z zapartym tchem, nie opierając się nawet zanadto siłom, których i tak nie potrafiłby przemóc. Ryzykował; trudno było z góry przewidzieć, czy jego niepewny sojusznik będzie wypełniał tak skomplikowane rozkazy, jakie mu wydał. "Pod żadnym pozorem — powiedział robotowi — nie możesz słuchać dalszych moich rozkazów, dopóki nie znajdziemy się z powrotem w Diaspar". Teraz wydawał takie właśnie rozkazy i jeśli mimo wszystko robot ich posłucha, to los Alvina zostanie przesądzony.

Nie zawahawszy się ani przez chwilę, maszyna pędziła drogą, którą tak dokładnie jej opisał. Częstka jego wciąż błagała o uwolnienie, ale wiedział już, że jest bezpieczny. Seranis też to chyba rozumiała, ponieważ siły we wnętrzu jego mózgu przestały się zwalczać. I znowu odzyskał spokój, jak wieki temu inny wędrowiec, który przywiązany do masztu swego statku, słyszał zamierający w dali śpiew Syren.

Rozdział 15

Alvin nie zaznał spokoju, dopóki nie znalazł się znowu w sali Ruchomych Dróg. Przez cały czas istniało niebezpieczeństwo, że ludzie z Lys zdołają zatrzymać, a nawet zawrócić z drogi wagon, którym podróżował. Ale powrót do Diaspar był nie obfitującym w wydarzenia powtórzeniem drogi na zewnątrz. W czterdzieści minut po opuszczeniu Lys był już w Grobowcu Yarlana Zeya.

Oczekiwali go tam słudzy Rady odziani w oficjalne, czarne szaty, których nie nosili od wieków. Alvina nie zdziwiła obecność tego komitetu powitalnego. Pokonał już tyle przeszkód, że jedna więcej nie robiła dużej różnicy. Wiele się nauczył od chwili opuszczenia Diaspar i z tą wiedzą przyszła pewność siebie, granicząca niemal z arogancją. Co więcej, miał teraz potężnego, choć kapryśnego sprzymierzeńca. Nie potrafiły pokrzyżować mu planów najlepsze umysły Lys; był przekonany, że Diaspar nie będzie pod tym względem lepsze.

Istniały racjonalne podstawy, aby być o tym przekonanym, ale jednocześnie ta pewność opierała się po części na intuicji — na wierze w przeznaczenie, która powoli rozwijała się w umyśle Alvina. Tajemnica jego pochodzenia, pomyślnie zakończenie wyprawy, jakiej nie odbył nigdy żaden człowiek, otwierające się przed nim nowe perspektywy działania — wszystko to składało się na jego rosnącą pewność siebie.

— Alvinie — powiedział dowódca straży miejskiej — mamy rozkaz towarzyszyć ci, gdziekolwiek się udasz, dopóki Rada nie wysłucha ciebie i nie wyda stosownego wyroku.

— O co jestem oskarżony? — spytał Alvin.

— Nie zostało jeszcze wysunięte żadne oskarżenie przeciwko tobie — padła odpowiedź. — Jeśli okaże się to konieczne, sformułuje się je po przesłuchaniu.

— A kiedy się ono odbędzie?

— Spodziewam się, że niedługo. — Strażnik był najwyraźniej zakłopotany i nie bardzo wiedział, jak wybrnąć z nieprzyjemnej misji. — Ten robot — powiedział wskazując na towarzysza Alvina — skąd się tu wziął? Czy to jeden z naszych?

— Nie — odparł Alvin. — Znalazłem go w Lys, w kraju, w którym byłem. Sprowadziłem go tutaj, aby go skonfrontować z Centralnym Komputerem.

To spokojne oświadczenie wywołało spore poruszenie wśród strażników. Sam fakt, że poza granicami Diaspar coś istnieje, był trudny do przyjęcia, ale że Alvin sprowadził coś stamtąd i zamierzał przedstawić to coś mózgowi świata, było w ogóle nie do pomyślenia. Strażnicy spoglądali po sobie z tak bezsilną trwogą, że Alvin z trudem powstrzymał się od śmiechu.

Gdy szli przez Park, Alvin korzystając z zachowania się swej eskorty, która rozmawiając między sobą przyciszonymi głosami trzymała się dyskretnie o kilka kroków za nim, zastanawiał się nad następnym swoim posunięciem. Najpierw musi się dowiedzieć, co zaszło podczas jego nieobecności. Khedron, jak mówiła mu Seranis, znikł. W Diaspar istniały niezliczone zakamarki, w których można się było ukryć, a ponieważ Błazen znał miasto jak nikt inny, było mało prawdopodobne, że zostanie odnaleziony, dopóki sam nie zdecyduje się ujawnić. Może, myślał Alvin, zostawić dla Khedrona wiadomość tam, gdzie będzie ją musiał zauważyć, i umówić się z nim na spotkanie? Jednak stała obecność eskorty mogła to uniemożliwić.

Musiał przyznać, że nadzór był bardzo dyskretny. Kiedy dotarł do swego mieszkania, niemal zapomniał już o istnieniu strażników. Domyślał się, że nie będą się wtrącać do jego poczyną, o ile nie zechce znowu opuścić Diaspar, a na razie nie nosił się z takim zamiarem. Poza tym był niemal pewien, że do tego czasu Seranis i jej ludzie unieruchomili podziemny system komunikacji i ta droga wydostania się z miasta została na razie odcięta.

Strażnicy nie weszli za nim do mieszkania; zostali na zewnątrz wiedząc, że istnieje z niego tylko jedno wyjście.

Znalazszy się z powrotem w domu, Alvin przystąpił do nawiązywania kontaktu z przyjaciółmi. Zaczął od Eristona i Etanii, ale ich komunikatory powiadomiły go, że są na razie nieosiągalni, zostawił więc krótką wiadomość o swoim powrocie. Nie było to konieczne, gdyż teraz całe miasto wiedziało już, że wrócił.

Potem, działając pod wpływem nagłego impulsu, wywołał numer Khedrona, który ten dał mu dawno temu w Wieży Loranne. Nie spodziewał się oczywiście odpowiedzi, ale istniała zawsze możliwość, że Khedron zostawił dla niego jakąś wiadomość.

Jego przewidywania potwierdziły się, ale sama wiadomość spadła nań jak grom z jasnego nieba. Ściana rozplynęła się i stanął przed nim Khedron. Błazen wyglądał na znużonego i roztrzęsionego. Nie był już tą pewną siebie osobą, która naprowadziła Alvina na trop drogi do Lys. W jego spojrzeniu czaił się lęk i mówił szybko, jakby miał bardzo mało czasu:

— Alvinie — zaczął — to jest zapis. Tylko ty możesz go odebrać, ale pozwalam ci nim dysponować według własnego uznania. To nie ma już dla mnie żadnego znaczenia.

Kiedy po twym odjeździe wróciłem do Grobowca Yarlana Zeya, stwierdziłem, że śledziła nas Alystra. Musiała zawiadomić Radę o tym, że opuściłeś miasto i że ja ci w tym pomogłem. Niedługo potem poszukiwali mnie strażnicy i zdecydowałem się ukryć. Jestem do tego przyzwyczajony — robiłem to już wiele razy, gdy któryś z moich żartów nie spotkał się z przychylnym przyjęciem. Nie znaleźliby mnie i za tysiąc lat, ale mało brakowało, aby zrobił to ktoś inny. W Diaspar są obcy, Alvinie; mogli przybyć tylko z Lys i szukają mnie. Nie wiem, co to może znaczyć, i nie chcę wiedzieć. Fakt, że niemal mnie dostali, chociaż poruszają się po nie znanym sobie mieście, sugeruje, iż posługują się telepatią. Potrafię przechytrzyć Radę, ale to jest nie znane mi zagrożenie, któremu nie mogę stawić czoła.

Decyduję się więc na krok, który i tak, jak przypuszczam, wymusiłaby na mnie Rada, ponieważ grożono mi już tym przedtem. Udaję się tam, gdzie nikt za mną nie pójdzie i gdzie ucieknę przed wszystkimi zmianami, które zajdą teraz w Diaspar. Może postępuję głupio; tego może dowieść tylko czas. Pewnego dnia poznam odpowiedź.

Domyśliłeś się już chyba, że wracam do Sali Tworzenia, do bezpiecznych Banków Pamięci. Cokolwiek się stanie, pokładam zaufanie w Centralnym Komputerze i siłach, którymi on zarządza na rzecz Diaspar. Jeśli stanie się cokolwiek z Centralnym Komputerem, wszyscy jesteśmy zgubieni. Jeśli nie, nie mam się czego obawiać.

Dla mnie, zanim za pięćdziesiąt czy sto tysięcy lat wyjdę znowu na ulice Diaspar, upłynie tylko chwila. Ciekaw jestem, jakim je wtedy zastanę? Zdziwię się, jeśli tam będziesz, ale kiedyś na pewno się znowu spotkamy. Nie wiem, czy wyczekiwać tego spotkania z niecierpliwością, czy też lękać się go.

Nigdy cię nie rozumiałem, Alvinie, chociaż były chwile, kiedy w swej próżności tak sądziłem. Tylko Centralny Komputer zna całą prawdę o tobie i o innych Odmieńcach, którzy pojawiali się od czasu do czasu w minionych wiekach i potem ślad po nich ginął. Czy dowiedziałeś się, co się z nimi stało?

Wydaje mi się, że jedną z przyczyn, dla których uciekam w przyszłość, jest moja niecierpliwość. Chcę ujrzeć rezultaty tego, co zapoczątkowałeś, ale jednocześnie pragnę przeskoczyć etapy pośrednie, które jak podejrzewam, nie będą przyjemne. Ciekaw jestem, czy w tym świecie, który ujrzę za kilka minut czasu subiektywnego, pamiętany będziesz jako twórca czy jako niszczyciel — lub też, czy w ogóle będziesz pamiętany.

Do zobaczenia, Alwinie. Myślałem o udzieleniu ci jakiejś rady, ale nie przypuszczam, abyś z niej skorzystał. Pójdiesz własną drogą, jak to zawsze robiłeś, a twoi przyjaciele będą ci służyli za narzędzia, które, zależnie od okoliczności, porzucisz lub wykorzystasz.

To wszystko. Nic więcej nie przychodzi mi do głowy.

Przez chwilę Khedron — ten Khedron, który istniał już tylko jako matryca ładunków elektrycznych w komórkach pamięci miasta — patrzył z rezygnacją i chyba ze smutkiem na Alvina. Potem ekran zgasł.

Alvin przez dłuższy czas siedział bez ruchu. Nigdy nie przepadał za Khedronem; specyficzna osobowość Błazna nie dopuszczała jakiegokolwiek bliższego związku, nawet gdyby Alvin go pragnął. Ale teraz, rozważając pożegnalne słowa Khedrona, był wstrząśnięty do głębi. To z jego powodu Błazen czmychnął z tego wieku w bliżej nie określoną przyszłość. Nie mógł się jednak za to winić. Dowodziło to tylko tchórzostwa Khedrona.

Kogo jeszcze w Diaspar dotknął czy skrzywdził? Pomyślał o Jeseracu, swoim nauczycielu, który przejawiał tyle cierpliwości dla swego najbardziej kłopotliwego wychowanka. I pomyślał o Alystrze. Kochała go, a on przyjmował albo ignorował jej miłość, zależnie od nastroju. A cóż miał począć? Czy byłaby szczęśliwsza, gdyby zupełnie ją odtrącił?

Rozumiał teraz, dlaczego nie kochał ani Alystry, ani żadnej innej kobiety z Diaspar. To była kolejna lekcja, jakiej udzieliło mu Lys. Diaspar zapomniało o wielu rzeczach, a wśród nich o prawdziwym znaczeniu miłości. Widział w Airlee matki kołyszące na kolanach swe dzieci i sam czuł opiekuńczą czułość dla wszystkich małych i bezbronnych stworzeń. A w Diaspar nie było teraz kobiety, która zdawałaby sobie sprawę albo którą obchodziłby ten ostateczny cel miłości.

W tej chwili Alvin uświadomił sobie swe przeznaczenie. Do tej pory był nieświadomym wykonawcą własnych impulsów.

Z zadumy wyrwało go brzęczenie ściany-ekranu. Po rodzaju dźwięku zorientował się od razu, że to nie zdalne połączenie, ale że ktoś przybył, aby się z nim zobaczyć. Dał sygnał potwierdzenia i w chwilę później znalazł się oko w oko z Jeserakiem.

Nauczyciel miał ponurą minę, ale nie zachowywał się nieprzyjaźnie.

— Proszono mnie, abym przyprowadził cię przed oblicze Rady, Alwinie — powiedział. — Zebrała się, aby cię wysłuchać. — Nagle Jeserac dostrzegł robota i utkwiał w nim zaintrygowane spojrzenie. — A więc to jest ten towarzysz, którego przywiozłeś ze swoich wojaży. Myślę, że lepiej będzie, jeśli uda się z nami.

Ta propozycja bardzo odpowiadała Alwinowi. Robot wyciągnął go już z jednej opresji i być może znowu będzie musiał zdać się na niego. Zastanawiał się, co ta maszyna sądzi o przygodach, w które ją uwikłał, i po raz tysięczny zapragnął zrozumieć, co dzieje się w zakamarkach jej szczelnie izolowanego mózgu. Alvin odnosił wrażenie, że robot postanowił przez jakiś czas obserwować, analizować i wyciągać własne wnioski, nie robiąc nic ze swej strony, aby się z nim porozumieć, dopóki nie osądzi, że nadszedł na to czas. Może potem, zupełnie niespodziewanie, zdecyduje się na działanie; a to co będzie wtedy chciał zrobić, może nie pasować do planów Alvina. Jedyne sprzymierzeniec, jakiego miał, związany był z nim węzłami własnego interesu i w każdej chwili mógł go opuścić.

Przy rampie prowadzącej na ulicę oczekiwała ich Alystra. Nawet gdyby Alvin chciał ją obwinać za wyjawienie jego tajemnicy, to nie miał serca tego uczynić. Jej smutek był aż nadto oczywisty, a z oczu płynęły jej łzy, gdy podbiegła, aby go powitać.

— Och, Alwinie! — zaszlochała. — Co oni chcą z tobą zrobić? — Alvin ujął jej dłonie z czułością, która zdumiała ich oboje.

— Nie martw się, Alystro — powiedział. — Wszystko będzie dobrze. Przecież w najgorszym przypadku Rada może mnie wysłać z powrotem do Banków Pamięci — ale nie spodziewam się jakoś, żeby do tego doszło. — Uwolnił się delikatnie z jej ramion i odwrócił, aby podążyć za Jeserakiem w kierunku Gmachu Rady.

Ledwie dostrzegał zaciekawione i przestraszone spojrzenia, jakimi mieszkańcy Diaspar obrzucali jego i towarzyszącą mu świtę. Obmyślał argumenty, jakimi będzie się może musiał posłużyć, i układał w głowie najodpowiedniejszą historię, jaką opowie Radzie. Od czasu do czasu uświadamiał sobie, że nie jest w najmniejszym stopniu przestraszony i czuje się panem sytuacji.

Czekali w holu tylko kilka minut, ale to wystarczyło, aby Alvin zauważył, że chociaż nie odczuwa lęku, to nogi ma jak z waty. Pomyślał sobie, co też teraz porabia Hilvar i czy spotkają się kiedyś znowu. To spotkanie stało się dlań nagle bardzo ważną sprawą.

Rozsunęły się wielkie drzwi i wszedł za Jeserakiem do Sali Rady. Wokół stołu w kształcie półksiężyca siedziało już jej dwudziestu członków i Alvin poczuł miłe zaskoczenie, nie widząc pustych miejsc. Chyba po raz pierwszy od wielu wieków Rada zebrała się w komplecie. Rzadkie jej spotkania były li tylko formalnością, gdyż wszystkie zwykłe sprawy załatwiano za pośrednictwem rozmów wizjofonowych i, jeśli zachodziła tego konieczność, poprzez spotkania Przewodniczącego z Centralnym Komputerem.

Alvin znał z widzenia większość członków Rady. Podobnie jak Jeserac nie sprawiali wrażenia wrogo doń nastawionych, tylko zaciekawionych. Mimo wszystko byli światłymi ludźmi. Mogło ich irytować, iż ktoś dowiódł im, że się mylą, ale Alvin nie przypuszczał, aby odnosili się doń z uprzedzeniem. Wysłuchają go spokojnie, a co sobie pomyślą, nie było ważne. Jego sędzią nie będzie teraz Rada. Będzie nim Centralny Komputer.

Rozdział 16

Nie było żadnych formalności. Przewodniczący ogłosił otwarcie posiedzenia i zwrócił się do Alvina:

— Alvinie — powiedział uprzejmie — chcielibyśmy usłyszeć, co się wydarzyło od chwili twojego zniknięcia dziesięć dni temu.

Użycie przez Przewodniczącego słowa "zniknięcie" było bardzo znaczące. Nawet teraz Rada nie przyjmowała do wiadomości, że Alvin naprawdę wydostał się poza mury Diaspar. Alvin był ciekaw, czy wiedzą, że w mieście są obcy, ale raczej w to wątpił. Okazywaliby wtedy większe zaniepokojenie.

Ze szczegółami i bez żadnego dramatyzowania opowiedział swoją historię; i tak była na tyle dziwna i niewiarygodna dla ich uszu, że nie potrzebowała upiększeń. Pomiął milczeniem tylko jeden epizod; nie wyjawiał sposobu, w jaki uciekł z Lys. Było więcej niż prawdopodobne, że znowu będzie musiał skorzystać z tej samej metody.

Fascynująca był zmiana, jaka podczas jego narracji zachodziła w nastawieniu Rady. Z początku byli sceptyczni, nieskorzy do odrzucenia wszystkiego, w co do tej pory wierzyli. Kiedy Alvin mówił o swej pasji poznania świata leżącego poza granicami miasta i o swej pewności, że taki świat istnieje, patrzyli nań jak na jakąś obcą i niepojętą istotę. Był nią zresztą w ich mniemaniu. Ale w końcu zmuszeni byli przyznać mu rację i uznać swoją omyłkę. W miarę, jak Alvin ciągnął swą opowieść, wszelkie wątpliwości, jakie dotąd żywili, powoli zniknęły. To, co mówił, mogło im się nie podobać, ale nie mogli zaprzeczyć oczywistej prawdzie. Jeśli mieliby ku temu skłonność, wystarczyło spojrzeć na milczącego towarzysza Alvina.

Tylko jeden aspekt jego opowieści wywołał wśród nich oburzenie — ale nie było ono skierowane przeciwko niemu. Pomruk niezadowolenia rozszedł się po sali, gdy Alvin wspomniał o niechęci Lys do nawiązania kontaktu z Diaspar, o jej przyczynach i o krokach, jakie podejmowała Seranis, aby takim kontaktom zapobiec. Miasto było dumne ze swej kultury i zdrowego rozsądku. To, że ktokolwiek śmiał uważać ich za coś gorszego, wykraczało poza granice tolerancji Rady.

Do perswazji przystąpił Alvin dopiero wtedy, gdy skończył opowiadać swoje przygody. Musiał jakoś przekonać tych ludzi do prawd, których nauczył się w Lys, ale jak mógł wytłumaczyć im coś, czego nigdy nie widzieli ani nie potrafili sobie wyobrazić?

— To chyba wielka tragedia — powiedział — że dwa ocalałe odłamy rasy ludzkiej pozostawały w separacji przez tak ogromny okres. Może pewnego dnia dowiemy się, jak do tego doszło, ale teraz najważniejsze, to naprawić błąd i nie dopuścić, aby doszło do niego ponownie. Kiedy przebywałem w Lys, protestowałem przeciw ich pogładowi, jakoby byli lepsi od nas: mogą nas wiele nauczyć, ale my również możemy dużo nauczyć ich. Jeśli będziemy tkwić we wzajemnym przekonaniu, że nie możemy nic skorzystać na takim kontakcie, to czyż nie jest oczywiste, że się mylimy?

Spojrzał wyczekująco po twarzach członków Rady i malujące się na nich skupienie zachęciło go do kontynuowania mowy.

— Nasi przodkowie — ciągnął — zbudowali imperium, które sięgnęło gwiazd. Ludzie podróżowali między wszystkimi tymi światami bez żadnych ograniczeń, a teraz ich potomkowie boją się wychylić nosa poza bramy swego miasta. Mam wam powiedzieć dlaczego? — przerwał; w wielkiej sali nikt nawet nie drgnął. — Dlatego, że się boimy — boimy czegoś, co wydarzyło się u zarania dziejów.

W Lys powiedziano mi prawdę, chociaż domyślałem się jej już wcześniej. Czy zawsze musimy ukrywać się w Diaspar jak tchórze, wmawiając sobie, że nic poza nim nie istnieje, bo miliardy lat

temu Najeźdźcy zepchnęli nas z powrotem na Ziemię?

Zarzucił im skrywany skrzącnie strach — strach, którego nigdy nie podzielał, którego siły nigdy nie mógł w pełni pojąć. Teraz niech robią z nim, co chcą: przedstawił im prawdę, taką jak ją widział.

Przewodniczący spojrział nań ponuro.

— Czy masz coś jeszcze do dodania, zanim naradzimy się, co czynić? — spytał.

— Tylko jedną prośbę. Chciałbym zabrać tego robota do Centralnego Komputera.

— Ale po co? Wiesz przecież, że Komputer orientuje się już, co zaszło w tej sali.

— Ale mimo to chcę do niego pójść — odparł grzecznie, ale stanowczo Alvin. — Proszę o pozwolenie zarówno Rady, jak i Komputera.

Zanim Przewodniczący zdążył odpowiedzieć, salę wypełnił czysty, spokojny głos. Alvin nigdy go przedtem nie słyszał, ale wiedział, do kogo należy. Maszyny informacyjne, będące niczym innym, jak zewnętrznymi urządzeniami tej ogromnej inteligencji, również potrafiły przemawiać do człowieka, nie miały jednak tego bezbłędnego akcentu mądrości i autorytetu.

— Niech przyjdzie do mnie — powiedział Centralny Komputer. Alvin spojrział na Przewodniczącego.

— Czy mogę odejść?

Przewodniczący rozejrzał się po sali i nie dostrzegając żadnej oznaki sprzeciwu ze strony zebranych odpowiedział trochę bezradnie:

— Dobrze. Będą ci towarzyszyli strażnicy, którzy przywiodą cię tu z powrotem, kiedy skończymy naradę.

Alvin skłonił się lekko. Odwrócił się i wyszedł wolnym krokiem z sali. Towarzyszył mu Jeserac i kiedy drzwi zasunęły się za nimi, Alvin zwrócił się do swego nauczyciela:

— Jak myślisz, co zrobi teraz Rada? — spytał spokojnie. Jeserac uśmiechnął się.

— Jak zawsze niecierpliwy, prawda? — powiedział. — Nie wiem, co warte są moje domysły, ale wydaje mi się, że postanowią opieczetować Grobowiec Yarlana Zeya, tak żeby nikt już nie mógł powtórzyć twojej podróży. Potem życie w Diaspar potoczy się po staremu i miasto będzie trwało tak, jak przedtem, nie niepokozone przez świat zewnętrzny.

— Tego właśnie się obawiam — powiedział gorzko Alvin.

— I wciąż masz nadzieję temu zapobiec?

Alvin nie odpowiedział od razu; wiedział, że Jeserac odgadł jego zamiary, ale nie mógł przewidzieć przecież jego planów, gdyż Alvin nie miał jeszcze żadnych. Doszedł do etapu, na którym mógł tylko improwizować i radzić sobie na bieżąco z każdą nową sytuacją.

— Winisz mnie za to? — odezwał się wreszcie i Jeseraca zaskoczyła nowa nuta w jego głosie. Był to cień rezygnacji, ledwo uchwytna oznaka tego, że po raz pierwszy Alvin szukał poparcia u swych znajomych. Jeserac zauważył to, ale był zbyt doświadczony, aby brać to poważnie. Alvin znajdował się teraz pod wpływem znacznego stresu i nierozsądna byłaby nadzieja na jakąś trwałą oznakę poprawy jego charakteru.

— Bardzo trudno odpowiedzieć na to pytanie — odparł wolno Jeserac. — Korci mnie, żeby powiedzieć, iż każda wiedza jest cenna, a nie da się zaprzeczyć, że dużo wniosłeś do naszej wiedzy o świecie. Ale przyczyniłeś się też znacznie do zmniejszenia naszego bezpieczeństwa, a co jest w końcu na dłuższą metę ważniejsze? Jak często zatrzymywałeś się, aby o tym pomyśleć?

Przez chwilę nauczyciel i uczeń patrzyli w milczeniu na siebie, potem wiedzeni nagłym impulsem ruszyli długim korytarzem oddalając się od Sali Rady, a za nimi podążała eskorta.

Ten świat nie był przeznaczony dla człowieka. W blasku jaskrawoniebieskiego światła rażącego do bólu oczy długie, szerokie korytarze zdawały się ciągnąć w nieskończoność.

Korytarzami tymi musiały się poruszać nieśmiertelne roboty Diaspar, jednak nigdy przez wieki nie rozbrzmiewało tu echo kroków człowieka.

Było to podziemne miasto — miasto maszyn, bez których Diaspar nie mogłoby istnieć. Kilkaset jardów dalej korytarz kończył się przechodząc w okrągłą salę o średnicy około mili i o stropie podpartym potężnymi filarami, które musiały również dźwigać niewyobrażalny ciężar Centrum Energetycznego. Tutaj, zgodnie z tym, co mówiły mapy, Centralny Komputer wiecznie czuwał nad losem Diaspar.

Sala przerastała swym ogromem wszelkie wyobrażenia Alvina — ale gdzie był Komputer? Spodziewał się ujrzeć pojedynczą wielką maszynę, chociaż wiedział, że to było naiwne. Kolosalna, ale niezrozumiała panorama, jaka się pod nim roztoczyła, sprawiła, iż zatrzymał się w zachwycie i niepewności.

Korytarz, którym tu dotarli, kończył się wysoko w ścianie sali — prawdopodobnie największej groty ze zbudowanych kiedykolwiek przez człowieka — a do odległej podłogi prowadziły opadające na obie strony długie rampy. Całą tę jaskrawo oświetloną przestrzeń wypełniały setki białych budowli, tak niewiele przypominających maszyny, że Alvin miał przez chwilę wrażenie, że patrzy na podziemne miasto. Nigdzie nie dostrzegał tego, czego się spodziewał — znajomego metalicznego połysku, który od zarania dziejów Człowiek nauczył się kojarzyć sobie ze swymi sługami.

Było to ostatnie stadium ewolucji niemal tak długiej, jak ewolucja Człowieka. Jej początki zagubiły się w pomroce Wieków Zarania, kiedy to ludzkość po raz pierwszy nauczyła się wykorzystywać energię i rozsyłała po świecie swe hałaśliwe silniki. Para, woda, wiatr — wszystko to użytkowano przez krótką chwilę, a potem zarzucono. Przez wieki napędzała świat energia materii, aż wreszcie i ona została wyparta, a z każdą zmianą zapomniano o starych maszynach, a ich miejsce zajmowały nowe. Bardzo powoli, przez tysiące lat, dążono do maszyny doskonałej — ideału, który był niegdyś marzeniem, potem odległym projektem i w końcu stał się rzeczywistością.

Idealna maszyna nie mogła zawierać części ruchomych.

Mieli przed sobą skrajny przykład tego ideału. Jego zbudowanie zajęło Człowiekowi ponad sto milionów lat i kiedy wreszcie go zbudował, odwrócił się od niego na zawsze plecami. Maszyna osiągnęła ostateczność i od tej chwili mogła służyć mu, trwać wiecznie.

Alvin nie próbował już dojść, który z tych kopulastych białych tworów jest Centralnym Komputerem. Wiedział, że stanowią go wszystkie — i że rozciąga się on daleko poza tę salę, włączając w to inne, niezliczone maszyny w Diaspar, czy to ruchome, czy nieruchome. Chociaż jego mózg stanowiło wiele miliardów komórek upakowanych w przestrzeni o średnicy nie przekraczającej kilku cali, to fizyczne elementy Centralnego Komputera rozsiane były po całym Diaspar. W tej sali mógł się znajdować sam system przełączający, za pośrednictwem którego wszystkie rozproszone jednostki były w stanie utrzymywać ze sobą stały kontakt.

Niepewny, w którą stronę się zwrócić, Alvin zszedł łagodnie opadającą rampą, a później ruszył cichą areną. Centralny Komputer musiał wiedzieć o jego obecności, tak jak wiedział o wszystkim, co działo się w Diaspar. Pozostawało mu tylko czekać na jego instrukcje.

Znajomy już, ale wciąż wzbudzający uczucie czci głos był tak cichy i rozległ się tak blisko jego ucha, że nie przypuszczał nawet, że słyszy go jego eskorta.

— Zejdź na dół rampą po twojej lewej ręce — powiedział. — Stamtąd pokieruję twoimi krokami.

Alvin ruszył wolno pochyłością, a robot, unosząc się nad podłogą, podążał za nim. Jeserac i strażnicy pozostali z tyłu. Alvin zastanawiał się, czy odebrali rozkaz pozostania tutaj, czy też sami zdecydowali, że mogą go obserwować z miejsca, w którym stali, i nie trudzić się schodzeniem na dół. A może doszli już tak blisko centralnej świątyni Diaspar, że dalej nie wazyli się pójść...?

U stóp rampy cichy głos kazał Alwinowi zmienić kierunek marszu i skierował go w aleję śpiących, tytanicznych tworów. Zanim dotarł do celu, głos przemówił doń jeszcze trzy razy.

Maszyna, przed którą stanął, była mniejsza od większości jej towarzyszek, ale i tak czuł się przy niej jak karzełek. Pięć rozciągających się w poziomie kondygnacji sprawiało wrażenie jakiegoś przycupniętego zwierzęcia i patrząc to na nią, to na swojego robota Alviń stwierdził, o dziwo, że oboje byli tworami tej samej ewolucji i oboje można było opisać tymi samymi słowami.

Na wysokości trzech stóp nad posadzką, przez całą długość maszyny, biegła płyta z przezroczystego materiału. Alvin przycisnął czoło do gładkiej, dziwnie ciepłej tafli i zajrzał do wnętrza. Z początku nie widział nic, potem, osłaniając dłonią oczy, zaczął rozróżniać tysiące blade świecących punkcików zawieszonych w nicości. Układały się w trójwymiarową kratownicę tak dlań obcą i niezrozumiałą, jak obce i niezrozumiałe musiały być gwiazdy dla starożytnego człowieka. Chociaż, zapominając o upływie czasu, patrzył na nie przez wiele minut, barwne światełka ani drgnęły ze swych miejsc i nie zmieniły swej jasności.

Alvin uświadomił sobie, że gdyby mógł zajrzeć w swój mózg, to to, co by tam zobaczył, byłoby dla niego równie niezrozumiałe. Maszyna wydała mu się bezwładna i nieruchoma, ponieważ nie mógł widzieć jej myśli.

Po raz pierwszy zaczął sobie mglście zdawać sprawę z potęgi sił utrzymujących miasto. Dotąd akceptował bez żadnych pytań cud syntetyzerów, które wiek po wieku dostarczały Diaspar wszystkiego, czego potrzebowało. Tysiące razy obserwował ten akt tworzenia, rzadko zastanawiając się nad tym, że gdzieś musi istnieć prototyp tego, co na jego oczach przychodziło na świat.

Świat przeszedł długą drogę od czasu, kiedy pierwsi jaskiniowcy, godzina po godzinie, wyciosywali cierpliwie groty do swych strzał z opornego kamienia...

Alvin, nie śmiać się odezwać, czekał na jakiś znak. Zastanawiał się, w jaki sposób Centralny Komputer uświadamia sobie jego obecność i jak może go widzieć i słyszeć. Nie dostrzegał nigdzie śladu organów czujnikowych, siatek detekcyjnych, ekranów czy kryształowych oczu, za pośrednictwem których roboty zwykle zdobywały wiedzę o otaczającym je świecie.

— Z czym przychodzisz? — rozległ się w jego uchu cichy głos.

Trudno było rozmawiać z czymś, co wypełniało całą przestrzeń wokół niego. Słowa Alvina zdawały się zamierać natychmiast po ich wypowiedzeniu.

— Kim jestem? — spytał.

Wiedział, jaką otrzymałby odpowiedź, gdyby zadał to pytanie jednej z maszyn informacyjnych w mieście. Często przecież to robił i zawsze odpowiadały mu: "Jesteś człowiekiem". Ale teraz stał przed inteligencją zupełnie innego rzędu i precyzja formułowania pytań nie miała tutaj sensu. Centralny Komputer będzie i tak wiedział, o co mu chodzi, ale nie oznacza to, że mu odpowie.

Odpowiedź była właśnie taka, jakiej Alvin się obawiał.

— Nie mogę odpowiedzieć na to pytanie. Gdybym to uczynił, wyjawilibym cel, do którego dążyli moi konstruktorzy, a tym samym unieważnił go.

— A zatem moja rola została zaplanowana, gdy budowano miasto?

— Można tak powiedzieć o wszystkich ludziach.

Alvin zawahał się słysząc tę odpowiedź. Było w niej dużo racji; mieszkańców Diaspar zaprojektowano tak samo dokładnie jak maszyny. Fakt, że był Odmieńcem, czynił z Alvina osobę w mieście niepospolitą, ale niekoniecznie musiała to być zaleta.

Zdał sobie już sprawę, że nie dowie się niczego więcej, jeśli chodzi o tajemnicę swego pochodzenia. Bezcelowe byłoby usiłowanie przechytrzenia tej ogromnej inteligencji, czy żywienie nadziei, że wyjawi ona informację, którą rozkazano jej ukrywać. Nie był to zresztą główny powód

jego tutaj wizyty.

Zastanawiając się nad następnym pytaniem spojrzął na robota, którego przywiózł z Lys. Robot, dowiedziawszy się, do czego zmierza Alvin, mógłby zareagować gwałtownie, nie można więc było dopuścić do tego, aby usłyszał on prośbę, z jaką Alvin chciał się zwrócić do Centralnego Komputera.

— Czy możesz roztoczyć strefę ciszy? — spytał Alvin.

W jednej chwili poczuł wytłumienie wszystkich dźwięków, jakie następuje po znalezieniu się w takiej strefie. Głos Komputera, gdy ten przemówił, był teraz dziwnie głuchy i przytłumiony.

— Teraz nikt nas nie słyszy. Możesz mówić, co chcesz.

Alvin zerknął na robota; nie ruszył się z miejsca. Być może niczego nie podejrzewał i błędem było posądzanie go o snucie jakichś własnych planów? Może przyszedł za nim z Lys jako wierny, ufny sługa, a w tym przypadku, to co zamierzał właśnie uczynić, wydawało się Alwinowi szczególnie podłym podstępem.

— Musiałeś już słyszeć, jak znalazłem tego robota — zaczął Alvin. — Wszystko wskazuje na to, że dysponuje on zasobem bezcennej wiedzy o przeszłości, sięgającej dni poprzedzających założenie miasta. Może zdołalibyśmy też dowiedzieć się od niego o światach innych niż Ziemia, ponieważ towarzyszył Mistrzowi w jego wędrówkach. Problem w tym, że jego układy mowy zostały zablokowane. Nie wiem, jak skuteczna jest ta blokada, ale proszę cię, abyś ją usunął.

Jego głos brzmiał głucho i pusto, gdyż strefa ciszy pochłaniała każde słowo, zanim wywołało ono echo. Czekał w tej niewidzialnej próżni na odrzucenie lub spełnienie swej prośby.

— Twój rozkaz łączy w sobie dwa problemy — odparł Komputer. — Moralny i techniczny. Ten robot skonstruowany został do wypełniania poleceń określonego człowieka. Jakie mam prawo usuwać założoną przez niego blokadę, gdybym nawet potrafił to uczynić?

Alvin spodziewał się tego pytania i miał na nie przygotowanych kilka odpowiedzi.

— Nie wiemy, jaką dokładnie formę przyjął zakaz Mistrza — odparł. — Jeśli potrafisz nawiązać kontakt z robotem, może zdołasz go przekonać, że okoliczności, w których założono blokadę, uległy teraz zmianie.

— To zależy całkowicie od rodzaju blokady — padła odpowiedź. — Możliwe jest założenie blokady, która spowoduje, że w przypadku próby jej usunięcia zawartość komórek pamięci zostanie automatycznie wymazana. Nie wydaje mi się jednak prawdopodobne, żeby Mistrz dysponował wystarczającymi umiejętnościami do jej założenia. Operacja ta wymaga zastosowania specjalistycznych metod. Zapytam twojej maszyny, czy w jej jednostkach pamięci założone zostały układy kasujące.

— Przypuśćmy jednak — wtrącił zaniepokojony Alvin — że samo pytanie o istnienie układów kasujących spowoduje wymazanie pamięci?

— Istnieje standardowa procedura stosowana w takich przypadkach i według niej będę postępował. Wydam maszynie instrukcje pomocnicze, nakazujące jej zignorowanie mego pytania, jeśli odpowiedź na nie brzmi twierdząco. Służą one do wprowadzania maszyny w stan paradoksu logicznego, polegającego na tym, że niezależnie od tego, czy odpowie na moje pytanie, czy pominie je milczeniem, będzie zmuszona do nieusłuchania swych instrukcji wewnętrznych. W ten sposób, dla ochrony siebie samych, działają wszystkie roboty. Kasują po prostu swoje układy wejściowe i zachowują się tak, jakby nie zostało zadane żadne pytanie.

Alvin zawstydział się swego pytania, ale teraz miał przynajmniej pewność, że Centralny Komputer jest w pełni przygotowany na radzenie sobie z wszelkimi pułapkami, które mogły się kryć w jednostkach pamięci robota. Alvin nie chciał oglądać swej maszyny zredukowanej do poziomu kupy złomu; wolałby raczej odstawić ją z powrotem do Shalmirane z nietkniętymi jej tajemnicami.

Czekał cierpliwie na rezultat milczącego dialogu tych dwóch intelektów, dwóch umysłów, z których każdy stworzony został przez geniusz ludzki w dawno przebrzmiałym, złotym wieku jego największych osiągnięć. I obydwaj znajdowały się teraz poza zakresem pojmowania jakiegokolwiek żyjącego człowieka.

Wiele minut później znowu rozległ się głuchy, bezbarwny głos Centralnego Komputera.

— Nawiązałem częściowy kontakt — powiedział. — Rozpoznałem rodzaj blokady i wydaje mi się, iż wiem, dlaczego została założona. Tylko w jeden sposób można ją usunąć. Ten robot nie przemówi, dopóki na Ziemię nie przybędą Wielcy.

— Ależ to nonsens! — zaprotestował Alvin. — Ten drugi wyznawca Mistrza również w nich wierzył i starał się nam wyjaśnić, kim oni są. Był to przeważnie bełkot. Wielcy nigdy nie istnieli i nigdy nie będą istnieć.

To był chyba zupełny impas i Alvin poczuł bezsilne zniechęcenie. Drogę do prawdy zagradzało mu życzenie człowieka, który był szalony i który umarł ponad sto milionów lat temu.

— Być może masz rację twierdząc, że oni nigdy nie istnieli — powiedział Centralny Komputer — ale to nie znaczy, że Wielcy nigdy nie będą istnieć.

Zapadła długa chwila ciszy. Alvin rozważał znaczenie tej ostatniej uwagi, a umysły dwóch maszyn weszły znowu w delikatny kontakt. I nagle, bez żadnego ostrzeżenia, znalazł się znowu w Shalmirane.

Rozdział 17

Było takie, jakim je widział ostatnio: wielka ebonitowa niecka spijająca słoneczne światło i nie odbijająca żadnych promieni. Stał wśród ruin fortecy patrząc na jezioro, którego nieruchoma fala wskazywała, że gigantyczny polip nie jest już zorganizowaną istotą rozumną, lecz tylko rozproszoną ławicą drobnoustrojów.

Obok niego unosił się wciąż robot, ale po Hilvarze nie było śladu. Nie miał czasu zastanawiać się, co to znaczy, ani martwić się nieobecnością przyjaciela, ponieważ niemal od razu wydarzyło się coś tak fantastycznego, że wyparło z jego mózgu wszelkie inne myśli.

Niebo zaczęło pękać na dwoje. Wąski zrazu, sięgający od horyzontu po zenit, klin ciemności rozszerzał się powoli, jak gdyby do wszechświata włamywały się noc i chaos.

Klin rozszerzał się nieubłagane, dopóki nie pokrył ćwierci nieba. Pomimo swej znajomości astronomii Alvin nie mógł się oprzeć przytłaczającemu wrażeniu, że on i jego świat znajdują się pod przezroczystą kopułą — i że teraz coś się przez nią przebija od zewnątrz.

Klin nocy przestał rosnąć. Siły, które go wytworzyły, zaglądały teraz do odkrytego świata zabawki naradzając się może między sobą, czy jest ona warta ich uwagi. Alvin nie odczuwał ani niepokoju, ani przerażenia pod tą kosmiczną obserwacją. Wiedział, że stoi oko w oko z potęgą i mądrością, przed którą człowiek może odczuwać cześć, ale nigdy strach.

I nagle zdecydowali się — poświęcą trochę ze swej wieczności Ziemi i jej mieszkańcom. Przybywali przez okno, które wybili w niebie.

Niczym iskry z jakiejś niebieskiej kuźni sypali się w dół. Przybywali coraz to tłumniej i tłumniej, aż w końcu z niebios walił wodospad ognia i docierając do powierzchni Ziemi rozpryskiwał się w kałużach płynnego światła. Alvin nie potrzebował słów, które brzmiały w jego uszach jak błogosławieństwo, żeby wiedzieć.

— "Wielcy przybyli".

Ogień dosięgnął go, ale nie sparzył. Był wszędzie, wypełniając złotym blaskiem wielką misę Shalmirane. Patrząc z zachwytem na rozgrywającą się na jego oczach scenę, Alvin zauważył, że nie był to bezpostaciowy potop światła. Ten blask miał kształt i strukturę. Zaczął rozkładać się na rozróżnialne formy, które zbierały się, aby utworzyć oddzielne ogniste wiry. Wiry te obracały się coraz szybciej wokół swoich osi, a ich środki wznosiły się w górę tworząc kolumny, w których Alvin dostrzegał tajemnicze, efemeryczne kształty. Z tych jarzących się totemowych słupów dochodziły cichutkie tony muzyki, nieskończenie odległej i hipnotycznie słodkiej.

— "Wielcy przybyli".

Tym razem Alvin usłyszał odpowiedź:

— Słudzy Mistrza witają Was. Czekaliśmy na Wasze przybycie.

Słyszając te słowa Alvin pojął, że blokada została przełamana. I w tym samym momencie zniknęło Shalmirane i jego dziwni goście i stał znowu przed Centralnym Komputerem w podziemiach Diaspar.

To wszystko była iluzja, iluzja nie bardziej realna niż fantastyczny świat Sag, w którym w młodości spędził tyle godzin. Ale jak została stworzona? Skąd brały się te dziwne obrazy, które oglądał?

— To nie był zwyczajny problem — rozległ się cichy głos Centralnego Komputera. — Wiedziałem, że robot musi mieć w swym mózgu zakodowaną jakąś koncepcję Wielkich. Gdybym mógł doprowadzić do tego, że wrażenia zmysłowe, które odbierze, pokryją się z tym obrazem, reszta byłaby sprawą prostą.

— I jak tego dokonałeś?

— Przede wszystkim pytając robota, jak wyglądają Wielcy, a potem korzystając ze wzoru utrwalonego w jego pamięci. Był on bardzo niekompletny i sporo musiałem improwizować. Raz czy dwa obraz, który stworzyłem, sporo odbiegał od koncepcji robota, ale kiedy do tego dochodziło, czułem rosnące zakłopotanie maszyny i dokonywałem modyfikacji, zanim zaczęła coś podejrzewać. W tej chwili mogę już nawiązać pełny kontakt z jego mózgiem. Nie jest już szalony; odpowie na każde twoje pytanie.

Alvin był wciąż oszołomiony i nie starał się nawet zrozumieć wyjaśnień Centralnego Komputera. Nieważne; cud terapii dobiegł końca i drzwi prowadzące do wiedzy stały przed nim otworem.

Nagle przypomniał sobie ostrzeżenie Centralnego Komputera i spytał z niepokojem:

— A co z obiekcjami natury moralnej, jakie miałeś w związku z odwołaniem rozkazów Mistrza?

— Odkryłem, dlaczego zostały wydane. Kiedy zapoznasz się szczegółowo z historią życia tego człowieka, co możesz uczynić zaraz, przekonasz się, że twierdził on, jakoby dokonał wielu cudów. Jego wyznawcy wierzyli w to i ich wiara dodawała mu siłę. Ale, oczywiście, wszystkie te cuda miały jakieś proste wyjaśnienie, o ile w ogóle miały miejsce. Dziwi mnie, że skądinąd inteligentne istoty dawały się w ten sposób oszukiwać.

— A więc Mistrz był oszustem?

— Nie; to nie jest takie proste. Gdyby był zwykłym szarlatanem, nie osiągnąłby nigdy takiego sukcesu, a jego ruch nie przetrwałby tak długo. On był uczciwym człowiekiem i wiele z tego, czego nauczał, było prawdziwe i mądre. Na koniec sam uwierzył w dokonywane przez siebie cuda, ale wiedział, że istnieje jeden świadek, który może dowieść błędności jego twierdzeń. Robot znał wszystkie jego tajemnice; był jego rzecznikiem i przyjacielem, gdyby jednak zbyt przyciśnięto go do muru, mógł zniszczyć fundament, na którym opierała się potęga Mistrza. Rozkazał mu więc pod żadnym pozorem nie wyjawiać swoich wspomnień, aż do ostatniego dnia wszechświata, kiedy to przybędą Wielcy. Trudno uwierzyć, że w jednym człowieku mogła istnieć taka mieszanina fałszu i szczerości, ale tak właśnie było.

Alvin był ciekaw, co czuje robot po ucieczce ze swej trwającej od niepamiętnych czasów niewoli. Była to chyba wystarczająco skomplikowana maszyna, aby rozumieć takie emocje jak uraza. Może był teraz zły na Mistrza, że ten uczynił go niewolnikiem, a równie dobrze zły na Alvina i Centralny Komputer za podstępne przywrócenie mu wolności.

Strefa ciszy zniknęła. Nadeszła wreszcie chwila, na którą tak czekał Alvin. Zwrócił się do robota i zadał mu pytanie, które prześladowało go od czasu wysłuchania opowieści o dziejach Mistrza.

I robot odpowiedział.

Jeserac i strażnicy czekali cierpliwie u szczytu rampy, kiedy Alvin tam wreszcie dotarł.

Chociaż w drodze powrotnej do Sali Rady Jeserac próbował wypytywać Alvina, nie dowiedział się niczego o jego rozmowie z Centralnym Komputerem. Ze strony Alvina nie była to jedynie dyskrecja; był jeszcze zbyt oczarowany tym, co widział, zbyt oszołomiony sukcesem, aby nawiązać rozmowę na jakikolwiek temat. Jeserac zebrał całą swoją cierpliwość i miał nadzieję, że Alvin otrząśnie się niedługo z tego transu.

Alvin był całkowicie zatopiony w myślach i nie zwracał uwagi na otoczenie. Jakie to dziwne, myślał, że wszystko, co mu się do tej pory przytrafiło, prowadziło właśnie do tej chwili. Od kiedy spotkał Khedrona, wypadki zdawały się toczyć automatycznie ku z góry określonemu celowi. Monitory, Lys, Shalmirane... Na każdym z tych etapów mógł zawrócić lub czegoś nie zauważyć, jednak coś popychało go naprzód. Czy był panem swego losu, czy też to Los wybrał właśnie jego? Może chodziło tu po prostu o kwestię prawdopodobieństwa, o działanie praw przypadku. Ścieżkę, po której kroczył, mógł odnaleźć każdy człowiek i w przyszłości jego poprzednicy musieli dojść po niej

niemal tak samo daleko. Na przykład ci wcześniejsi Odmieńcy... co się z nimi stało? Być może to on pierwszy miał szczęście.

Przez całą drogę powrotną do Sali Rady Alvin nawiązywał coraz bliższy kontakt z maszyną, którą uwolnił z wiekowej niewoli. Zawsze odbierała jego myśli, ale przedtem nigdy nie był pewien, czy posłucha rozkazów, które jej wydawał. Teraz nie dręczyła go już ta niepewność; mógł z nią rozmawiać jak z człowiekiem, ale ponieważ nie byli sami, poinstruował robota, aby nie odzywał się głośno, ale po prostu przysyłał mu obrazy myślowe, które potrafi zrozumieć.

Rzut oka na twarze członków Rady powiedział Alwinowi, co postanowili. Słuchając werdyktu wygłaszanego przez Przewodniczącego nie był ani zdziwiony, ani rozczarowany i nie okazywał żadnych emocji.

— Alwinie — zaczął Przewodniczący — rozważyliśmy z wielką uwagą sytuację, jaka powstała w następstwie twojego odkrycia, i podjęliśmy jednomyślnie następującą decyzję. Ponieważ nikt nie życzy sobie wprowadzania żadnych zmian w naszym stylu życia i ponieważ tylko raz na wiele milionów lat przychodzi na świat ktoś, kto jest zdolny do opuszczenia Diaspar, nawet jeśli istnieją ku temu możliwości, system tuneli do Lys jest niepotrzebny i może stanowić dla nas zagrożenie. Wejście do Sali Ruchomych Dróg zostało zatem zamknięte i opieczętowane.

Co więcej, ze względu na możliwość istnienia innych dróg wydostania się z miasta, podjęte zostanie przeszukiwanie jednostek pamięci Monitorów. To przeszukiwanie już się rozpoczęło.

Zastanawialiśmy się też, jakie działania należy podjąć względem twojej osoby. Z uwagi na twój młody wiek i szczególne okoliczności twojego pochodzenia panuje ogólne odczucie, że nie można cię potępiać za to, czego się dopuściłeś. Poza tym ujawniając potencjalne niebezpieczeństwo zagrażające naszemu porządkowi publicznemu, oddałeś miastu przysługę i odnotowujemy nasze zadowolenie z tego faktu.

Po sali rozszedł się pomruk aplauzu i na twarzach Radnych odmalował się wyraz zadowolenia z dobrze spełnionego obowiązku. Szybko zażegnali trudną sytuację, uniknęli konieczności ukarania Alvina i teraz mogli spokojnie rozejść się do domów.

Przewodniczący spojrział na Alvina; być może spodziewał się, że Alvin okaże wdzięczność i wyrazi Radzie swe uznanie za tak łagodne potraktowanie.

Rozczarował się.

— Czy mogę zadać jedno pytanie? — spytał uprzejmie Alvin.

— Oczywiście.

— Zakładam, że Centralny Komputer poparł wasze postanowienia?

Pytanie wywołało pewne zaskoczenie i odpowiedź nie padła od razu.

— Naturalnie, że konsultowaliśmy się z Centralnym Komputerem. Powiedział nam, żebyśmy kierowali się własnym sądem.

Alvin spodziewał się tego. Centralny Komputer konferował z Radą w tej samej chwili, kiedy rozmawiał z nim — w tej samej zresztą chwili zajmował się milionami innych spraw w Diaspar. Wiedział przecież, tak samo jak Alvin, że jakkolwiek decyzję podejmie Rada, nie będzie ona miała żadnego znaczenia. Przyszłość wymknęła się Radzie spod kontroli w tym samym momencie, gdy w beztróskiej ignorancji zadecydowała, iż kryzys został pomyślnie zażegnany.

Alvin nie odczuwał wyższości spoglądając na tych zadufanych starców, uważających się za władców Diaspar. Widział rzeczywistego władcę miasta i rozmawiał z nim w grobowej ciszy jego jasnego podziemnego świata.

Wychodząc z Sali Rady zastanawiał się, czy zdziwiło ich jego ciche pogodzenie się z losem, brak z jego strony oburzenia na wieść o zamknięciu drogi do Lys. Strażnicy już mu nie towarzyszyli; nie

był już pod obserwacją, przynajmniej jawną. Z Sali Rady wyszedł za nim tylko Jeserac.

— No cóż, Alwinie — powiedział, gdy znaleźli się na korytarzu. — Dobrze się zachowałeś. Co teraz zamierzasz? Alvin uśmiechnął się.

— Wiem, że coś podejrzewasz; jeśli pójdziesz ze mną, pokażę ci, dlaczego podziemna droga do Lys nie ma już znaczenia. Chcę zrobić pewien eksperyment; niczym ci to nie grozi, ale może ci się nie spodobać.

— Dobrze. Wciąż jestem uważany za twego nauczyciela, ale wygląda na to, że role się teraz odwróciły. Dokąd mnie zabierasz?

— Idziemy do Wieży Loranne, skąd zamierzam ci pokazać świat poza murami Diaspar.

Jeserac zbladł, ale nic nie powiedział. Jakby nie ufając swoim słowom, skinął sztywno głową i wszedł za Alwinem na gładką, błyszczącą nawierzchnię ruchomego chodnika.

Gdy podążali tunelem, w którym wiecznie wiał w stronę Diaspar zimny wiatr, Jeserac nie okazywał strachu. Tunel zmienił się teraz; kamiennej kraty, która zagradała drogę do świata zewnętrznego, nie było. Nie służyła żadnym celom konstrukcyjnym i na żądanie Alwina Centralny Komputer usunął ją bez żadnych komentarzy. Później może wydać Monitorom instrukcje, aby odtworzyły kratę z powrotem, ale w tej chwili tunel, którego wylot znajdował się w pionowym, zewnętrznym murze miasta, stał otworem nie zagrodzony i nie strzeżony.

Jeserac, dopóki nie doszedł do końca szybu wentylacyjnego, nie zdawał sobie sprawy, że przed nim rozciąga się świat zewnętrzny. Wpatrywał się w rosnący krąg nieba i jego kroki stawały się coraz bardziej niepewne i wolniejsze, aż wreszcie zatrzymał się — Alwin pamiętał, że w tym samym miejscu zatrzymała się, a potem uciekła Alystra, i był ciekaw, czym zdoła nakłonić Jeseraca, aby ten poszedł dalej.

— Proszę cię tylko, abyś popatrzył — błagał — a nie opuszczał miasto. Na pewno potrafisz to zrobić!

Jeserac, w odróżnieniu od Khedrona, nie był tchórzem. Alvin przygotował się na zwalczenie jego oporu, ale były to wysiłki rozpaczliwe. Czuł się niemal tak samo wyczerpany, jak starzec, kiedy wreszcie udało mu się dociągnąć Jeseraca do miejsca, z którego mógł widzieć całą połąć pustyni.

Gdy się tam znaleźli, zainteresowanie i dziwne piękno widoku tak obcego w porównaniu ze wszystkim, co Jeserac znał z tej, czy z którejkolwiek ze swoich poprzednich egzystencji, zdało się przełamać jego obawę. Był wprost zafascynowany ogromną perspektywą falistych piaskowych wydm i odległych, starożytnych wzgórz. Nastąpiło późne popołudnie i za chwilę całą krainę miała okryć swym płaszczem noc, która nigdy nie nawiedzała Diaspar.

— Prosiłem cię, żebyś tu przyszedł — powiedział szybko Alwin, z trudem opanowując niecierpliwość — ponieważ uważam, że zasłużyłeś sobie bardziej niż ktokolwiek na zobaczenie, do czego doprowadziły mnie moje podróże. Chciałem, żebyś zobaczył pustynię, i chcę, żebyś był naocznym świadkiem, przez którego Rada dowie się, co uczyniłem.

Jak już mówiłem Radzie, przywozłem tego robota z Lys w nadziei, że Centralny Komputer zdoła usunąć blokadę nałożoną na jego pamięć przez człowieka zwanego Mistrzem. Dzięki podstępowi, którego nadal nie w pełni rozumiem, Komputer dokonał tego. Mam teraz dostęp do wszystkiego, co w swej pamięci przechowuje ta maszyna, jak również mogę korzystać z jej specjalnych funkcji, do spełniania których ją zaprogramowano. Teraz zamierzam wykorzystać jedną z nich. Patrz.

Na bezdźwięczny rozkaz, którego treści Jeserac mógł się tylko domyślać, robot wyleciał z tunelu, nabrał szybkości i po kilku sekundach był tylko odległą iskierką, połyskującą w promieniach zachodzącego słońca. Leciał nisko nad pustynią, nad krzyżującymi się niczym zastygłe fale piaskowymi wydmami. Jeserac odniósł wrażenie, że robot czegoś szuka — chociaż czego, nie miał

pojęcia.

Nagle błyszczący punkcik wzbił się w górę i zawisł tysiąc stóp nad ziemią. W tym samym momencie Alvin westchnął z ulgą. Zerknął na Jeseraca, jakby chciał powiedzieć: "To jest to!"

Z początku, nie wiedząc, czego się spodziewać, Jeserac nie dostrzegał żadnej zmiany. Potem, nie wierząc własnym oczom, zauważył, że z powierzchni pustym unosi się z wolna obłok pyłu.

Nie ma nic bardziej przerażającego, niż ruch tam, gdzie nie powinno być żadnego ruchu, ale gdy piaskowe wydmy zaczęły się rozsuwać, Jeserac nie odczuwał ani strachu, ani zdziwienia. Pod powierzchnią pustyni coś się szamotało, jak olbrzym zbudzony ze snu, i nagle do uszu Jeseraca dotarł huk rozstępującej się ziemi i zgrzyt rozrywanych niewiarygodnymi siłami skał. Raptem w niebo wystrzelił gejzer piasku sięgający stu stóp i ziemia zniknęła z oczu.

Pył powoli osiadał na ranie wydartej w powierzchni pustyni, ale Jeserac z Alvinem ani na chwilę nie odrywali oczu od nieba, na tle którego jeszcze przed chwilą unosił się tylko nieruchomy robot. Jeserac zrozumiał, dlaczego decyzja Rady nie wywarła na Alvinie żadnego wrażenia, dlaczego nie okazał po sobie żadnych wzruszeń, dowiedziawszy się o zamknięciu podziemnej drogi do Lys.

Pokrywa ziemi i skał zamazywała kształty, nie mogła jednak ukryć całkowicie dumnych linii statku unoszącego się wciąż z wyrwy w pustyni. Na oczach Jeseraca statek zaczął się obracać dziobem ku nim, aż w końcu jego zarys stał się kołem; potem bardzo powoli to koło zaczęło rosnąć.

Alvin zaczął mówić bardzo szybko, jakby miał mało czasu.

— Ten robot skonstruowany został do towarzyszenia i służenia Mistrzowi, ale przede wszystkim do pilotowania tego statku. Mistrz, zanim przybył do Lys, wylądował w Porcie Diaspar, który leży teraz pogrzebany pod tymi piaskami. Już wtedy musiał być rzadko wykorzystywany; przypuszczam, że statek Mistrza był jednym z ostatnich, jakie dotarły do Ziemi. Przed wyruszeniem do Shalmirane Mistrz mieszkał przez jakiś czas w Diaspar; miasto musiało jeszcze w tamtych czasach stać otworem. Ale nigdy już nie potrzebował swego statku i ten przez całe wieki czekał tam, pod piaskami. Podobnie, jak samo Diaspar, jak ten robot — jak wszystko, co dawni konstruktorzy uznali za rzeczywiście ważne — był chroniony przez własne układy wieczności. Dopóki miał źródło zasilania, nie mógł się zużyć ani zostać zniszczony; obraz przechowywany w jego komórkach pamięci nigdy nie zbladnie, a ten obraz kontroluje jego strukturę fizyczną.

Statek, pilotowany przez robota, był już bardzo blisko wieży. Miał około stu stóp długości, a dziób i rufa były ostro zakończone. Wyglądało na to, że nie ma żadnych iluminatorów ani otworów wejściowych, chociaż mogła je zakrywać gruba warstwa ziemi oblepiająca wciąż kadłub.

Fragment burty odchylił się nagle na bok i obaj obsypani zostali pyłem. Jeserac dostrzegł przez mgnienie oka małe, puste pomieszczenie, a w jego przeciwległej ścianie drugie drzwi. Statek unosił się teraz o stopę od wylotu szybu wentylacyjnego, do którego zbliżał się ostrożnie, jak czujna, żywa istota.

— Do zobaczenia — powiedział Alvin. — Nie mogę wrócić do Diaspar, żeby pożegnać się z przyjaciółmi; zrób to, proszę, w moim imieniu. Powiedz Eristonowi i Etanii, że chyba niedługo wrócę; a jeśli nie, to jestem im wdzięczny za wszystko, co dla mnie zrobili. I jestem też wdzięczny tobie, chociaż może nie pochwalasz sposobu, w jaki wykorzystuję uzyskane od ciebie informacje.

A co do Rady — powiedz jej, że drogi raz otwartej nie można, ot, tak po prostu, zamknąć wydaniem zakazu.

Statek był teraz tylko ciemną plamą na tle nieba i nagle Jeserac stracił go zupełnie z oczu. Nie widział nawet, jak odlatuje, ale wtem z nieba doleciało echo najbardziej wprawiającego w podziw dźwięku kiedykolwiek spowodowanego przez Człowieka — długotrwały grzmot powietrza wdzierającego się mila za milą do tunelu próżni wydrążonego nagle w przestworzach.

Chociaż nad pustynią zamarły już ostatnie echa, Jeserac ani drgnął. Myślał o chłopcu, który odszedł — bo dla Jeseraca Alvin na zawsze pozostanie dzieckiem, tym jedynym dzieckiem, jakie pojawiło się w Diaspar od czasu przerwania cyklu narodzin i śmierci. Alvin nigdy nie dorośnie; dla niego cały wszechświat był zabawką, zagadką, którą rozwiązuje się dla własnej przyjemności. Bawiąc się tak, znalazł teraz groźne, niebezpieczne cacko, które może doprowadzić do zagłady tego, co pozostało po cywilizacji ludzkiej. Ale bez względu na skutki, dla niego będzie to nadal gra.

Słońce stało już nisko nad horyzontem i od pustyni wiał chłodny wiatr. Jeserac wciąż czekał, przewyciężając swój lęk; i nagle, po raz pierwszy w życiu zobaczył gwiazdy.

Rozdział 18

W Diaspar Alvin rzadko oglądał taki luksus jak ten, który roztoczył się przed nim po rozsunięciu się wewnętrznych drzwi śluzy powietrznej. Kimkolwiek Mistrz był, z pewnością nie był ascetą. Dopiero po pewnym czasie Alvin uświadomił sobie, że cały ten komfort mógł nie być jedynie prózną ekstrawagancją; ten mały światek musiał Mistrzowi zastępować dom w jego rozlicznych i długotrwałych podróżach międzygwiazdnych.

Nie dostrzegał żadnych urządzeń sterowniczych, ale wielki owalny ekran zajmujący całą ścianę na wprost wejścia świadczył, że nie jest to zwyczajna kabina. Przed ekranem ustawione były półkolem trzy fotele; resztę umeblowania kabiny stanowiły dwa małe stoliki i liczne wyściełane siedzenia, z których część, sądząc po kształtach, nie była przeznaczona dla ludzi.

Usadowiwszy się wygodnie przed ekranem, Alvin rozejrzał się za robotem. Ku jego zdziwieniu robot zniknął; dostrzegł go po paru chwilach wciśniętego w niszę pod półokrągłym sufitem. To on przywiózł Mistrza z kosmosu na Ziemię, a potem, jako wierny sługa, poszedł za nim do Lys. Teraz był gotów do podjęcia swoich dawnych obowiązków, jakby nie istniały te eony, jakie upłynęły od czasu, kiedy wykonywał je po raz ostatni.

Alvin rzucił mu eksperymentalny rozkaz i wielki ekran zamigotał budząc się do życia. Ujrzał przed sobą Wieżę Loranne, dziwnie skróconą i leżącą na boku. Dalsze próby pokazały mu niebo i wielkie połacie pustyni. Ostrość obrazu była doskonała, niemal nienaturalna. Alvin poeksperymentował jeszcze trochę, dopóki nie uzyskałżądanego obrazu; teraz był gotowy do startu.

— Zawieź mnie do Lys. — Rozkaz był prosty, ale jak statek mógł go wykonać, skoro on sam nie miał pojęcia co do kierunku? Nie zastanawiał się nad tym, ale kiedy uświadomił sobie brak precyzji wydanego polecenia, maszyna pędziła już z ogromną prędkością nad pustynią. Wzruszył ramionami, przyjmując do wiadomości fakt, iż ma teraz służących mądrzejszych od siebie.

Trudno było ocenić skalę obrazu przemykającego po ekranie, ale musieli pokonywać wiele mil na minutę. Niedaleko od miasta teren przybrał nagle matowoszara barwę i Alvin domyślił się, że lecą nad wyschniętym dnem jednego z dawnych oceanów. Kiedyś Diaspar musiało leżeć blisko morza, chociaż nawet w najstarszych dokumentach nie pozostała o tym żadna wzmianka.

Setki mil dalej teren podnosił się stromo i znowu znaleźli się nad pustynią. Raz Alvin zatrzymał statek nad dziwną mozaiką przecinających się linii, prześwitującą nieśmiało spod warstwy piasku. Przez chwilę nie mógł się zorientować, co to jest; potem rozpoznał zarysy ruin jakiegoś zapomnianego miasta. Nie zabawił nad nim długo; myśl, że miliardy ludzi nie pozostawiły po sobie żadnego innego śladu istnienia poza tymi bruzdami w piasku, rozdzierała mu serce.

Gładka krzywizna horyzontu postrzępiła się w końcu, marszcząc w zarysy gór. Znalazł się nad nimi w chwilę po ich zauważeniu. Maszyna zwalniała teraz, zwalniała i opadała ku ziemi wielkim łukiem o promieniu setek mil. I nagle w dole rozpoznał Lys —jego lasy i rzeki tworzące krajobraz o nieporównywalnej piękności. Na wschodzie kraina pogrążona była w cieniu i pokrywające ją jeziora wyglądały jak ciemne plamy nocy. Ale tuż przed wschodem słońca ich wody roztańczyły się i roziskrzyły światłem, mieniając się barwami, jakich sobie dotąd nawet nie wyobrażał.

Poeksperymentowawszy trochę, Alvin posadził statek na zboczu wzgórza. Sterowanie maszyną było bardzo proste; musiał tylko sygnalizować swoje ogólne polecenia, a szczegółami zajmował się robot, który jak się domyślał, zignorowałby wszelkie rozkazy niebezpieczne lub niemożliwe do wykonania. Alvin był pewien, że nikt nie spostrzegł jego przybycia. Przywiązywał do tego dużą wagę, gdyż nie miał zamiaru wdawać się znowu w wojnę umysłów z Seranis. Nie miał jeszcze skonkretyzowanych planów, ale wolał nie ryzykować, dopóki nie nawiąże przyjaznych stosunków z

mieszkańcami Lys. W roli jego ambasadora mógł przecież wystąpić robot, podczas gdy on sam pozostawać będzie pod bezpieczną osłoną statku.

Na drodze do Airlee nie dostrzegł nikogo. Dziwne było siedzieć we wnętrzu statku kosmicznego, podczas gdy w polu widzenia przesuwawała się znajoma trasa, a w uszach rozbrzmiewał szum lasu. Nie potrafił jednak jeszcze całkowicie identyfikować się z robotem i wysiłek wkładany w sterowanie nim był wciąż dosyć znaczny.

Kiedy robot dotarł do Airlee, zrobiło się już niemal ciemno i małe domki pływały w sadzawkach padającego z ich okien światła. Maszyna przedostała się nie zauważona aż pod dom Seranis i tam dopiero dostrzegł ją wychodzący od matki Hilvar. Widząc robota zatrzymał się zaskoczony, ale po chwili jego twarz rozjaśniła się w uśmiechu.

— Witaj, Alvinie — powiedział. — Cieszę się, że wróciłeś. A może wciąż jesteś w Diaspar?

Nie po raz pierwszy Alvin pozazdrościł Hilvarowi szybkości i precyzji myślenia.

— Nie — odpowiedział, dziwiąc się jednocześnie, jak wiernie robot naśladuje jego głos — jestem niedaleko stąd, w pobliżu Airlee, ale na razie wolę tu pozostać.

Hilvar roześmiał się.

— Tak też bym ci radził. Co prawda Seranis ci wybaczyła, ale Zgromadzenie... no cóż, to inna sprawa. Trwa tu teraz konferencja — pierwsza, jaką mamy w Airlee.

— Czy chcesz przez to powiedzieć, że wasi senatorowie przybyli tu osobiście? — spytał Alvin.

— Myślałem, że przy waszych zdolnościach telepatycznych takie spotkania są niepotrzebne.

— Rzadko się je zwołuje, ale czasami wymaga tego sytuacja. Nie znam dokładnej natury kryzysu, ale trzech senatorów już tu jest, a reszty spodziewamy się niebawem.

Alvin nie mógł powstrzymać uśmiechu na myśl, jak niedawne wypadki w Diaspar znajdują tu swoje odbicie. Gdziekolwiek się ruszył, zdawał się pozostawiać za sobą ślad konsternacji i zaniepokojenia.

— Sądzę, że dobrze by było — powiedział — gdybym mógł porozmawiać z waszym Zgromadzeniem.. o ile niczym mi to nie będzie groziło.

— Zjawiając się tu osobiście byłbyś bezpieczny tylko wtedy, gdyby Zgromadzenie obiecało, że nie będzie znowu usiłowało wymazać twoich wspomnień o Lys — ostrzegł go Hilvar. — W przeciwnym przypadku powinieneś raczej pozostać tam, gdzie jesteś. Zaprowadzę do senatorów twojego robota — zdziwią się na jego widok.

Alvin wchodził za Hilvarem do domu z mieszanymi uczuciami rozbawienia i podniecenia. Spotykał się teraz z władcami Lys na równiejszych prawach i chociaż nie miał do nich urazy, przyjemnie było pomyśleć, iż jest teraz panem sytuacji i dysponuje siłami, których sam jeszcze w pełni nie poznał.

Drzwi sali konferencyjnej były zamknięte i upłynęło trochę czasu, zanim zwrócono uwagę na pukanie Hilvara. Umysły senatorów były widocznie tak bardzo zaabsorbowane, że nie reagowali na to, co się wokół działo. Wreszcie ściana rozsunęła się i Alvin szybko wprowadził swego robota do pomieszczenia.

Trzej senatorowie skamienieli na krzesłach, gdy maszyna podpłynęła do nich, ale przez twarz Seranis przemknął tylko krótkotrwały wyraz zaskoczenia. Być może Hilvar już ją uprzedził albo spodziewała się wcześniej czy później powrotu Alvina.

— Dobry wieczór — powiedział Alvin, jak gdyby jego pojawienie się pod postacią zastępcy było najnaturalniejszą rzeczą na świecie. — Zdecydowałem się wrócić.

Ich zaskoczenie na pewno przeszło jego oczekiwania. Pierwszy odzyskał panowanie nad sobą młody senator z siwiejącymi na skroniach włosami.

— Jak się tu dostałeś? — wykrztusił. Przyczyna tego zdziwienia była oczywista. Lys, tak samo jak Diaspar, musiało zamknąć podziemną drogę.

— No cóż, przybyłem tu w taki sam sposób, jak poprzednio — powiedział Alvin rozbawiony ich zaskoczeniem.

Dwaj senatorowie spojrzeli zdziwieni na trzeciego, a ten rozłożył bezradnie ręce. Potem młodszy senator, który zwracał się doń przedtem, przemówił znowu:

— Czy nie napotkałeś żadnych... trudności? — spytał.

— Żadnych — odparł Alvin, zdecydowany spotęgować ich zmieszanie. Dostrzegł, że mu się to udało. — Wróciłem — ciągnął — z własnej, nieprzymuszonej woli, gdyż mam dla was pewne ważne wiadomości. Jednak z uwagi na nasze niedawne nieporozumienia pozostaję na razie w ukryciu. Czy obiecacie, że nie będziecie próbowali ponownie ograniczać mojej swobody, jeśli stanę przed wami we własnej osobie?

Przez chwilę panowało milczenie i Alvin dużo by dał, żeby się dowiedzieć, jakie myśli są w tej ciszy wymieniane. Potem głos w imieniu wszystkich zabrała Seranis:

— Nie będziemy już próbowali przejąć nad tobą kontroli — chociaż nie sądzę, aby nam się to udało lepiej niż poprzednio, gdybyśmy nawet chcieli to uczynić.

— Zatem dobrze — powiedział Alvin. — Zjawię się w Airlee tak szybko, jak potrafię.

Zaczekał na powrót robota, wydał maszynie dokładne instrukcje i kazał je sobie powtórzyć. Był całkowicie pewien, że Seranis nie złamie danego słowa, wolał jednak zapewnić sobie drogę odwrotu.

Wyszedł ze statku i śluza powietrzna zamknęła się za nim cicho. W chwilę później rozległ się syk powietrza rozstępującego się przed startującym statkiem. Przez chwilę jeszcze jego czarny cień przesłaniał gwiazdy, potem statek znikł.

Dopiero po jego odlocie Alvin uświadomił sobie, że przeliczył się, i to tak, że jego najlepsze plany mogły się nie powieść. Zapomniał, że zmysły robota były daleko czulsze niż jego i noc była ciemniejsza, niż sądził. Kilka razy gubił drogę i tylko cudem unikał zderzeń z drzewami. W lesie panowały nieprzeniknione ciemności. W pewnej chwili usłyszał trzask łamanych gałązek, jak gdyby coś dużego przedzierało się przez zarośla w jego kierunku. Nagle, na wysokości pasa, ujrzał dwoje wlepionych weń szmaragdowych ślepi. Zawołał cicho i po dłoni przejechał mu niewiarygodnie długi jęzor. Zaraz potem potężne cielsko otarło się czule o jego nogi i oddaliło bezgłośnie. Nie miał pojęcia, co to mogło być.

Między drzewami połyskiwały już światła wioski, ale nie musiał się teraz nimi kierować, bo ścieżka, którą szedł, stała się rzeką niebieskiego ognia. Mech, po którym stąpał, jarzył się i jego stopy pozostawiały ciemne, powoli zanikające ślady. Był to czarowny widok. Alvin zatrzymał się i wyrwał kępkę dziwnego mchu. Jarzyła się przez kilka minut w jego dłoniach, zanim promieniowanie zamarło.

I znowu przed domem powitał go Hilvar, aby po raz drugi zaprowadzić go do Seranis i senatorów. Przywitali go z mieszaniną czujności i niechętnego respektu. Jeśli ciekawi byli, co się stało z robotem, to nie pytali o to.

— Bardzo mi przykro — zaczął Alvin — że musiałem opuścić waszą krainę w tak niegodny sposób. W moim interesie jest, abyście wiedzieli, iż niemal z takim samym trudem uciekłem teraz z Diaspar... Powiedziałem naszej Radzie wszystko o Lys i zrobiłem, co mogłem, żeby ta informacja wywarła na nich korzystne wrażenie. Ale Diaspar nie chce mieć z wami nic wspólnego. Pomimo tego, co o was opowiedziałem, nie chce nawiązywać stosunków z niższą kulturą.

Najbardziej satysfakcjonująca była obserwacja reakcji senatorów i nawet opanowana zwykle

Seranis zarumieniła się lekko po tych słowach. Alvin pomyślał sobie, że gdyby chciał ostatecznie poróżnić Lys z Diaspar, zadanie byłoby już na wpół wykonane.

— Dlaczego wróciłeś do Lys? — spytała Seranis.

— Ponieważ chcę udowodnić wam i Diaspar, że popełniacie błąd. — Nie wspomniał o drugiej przyczynie; w Lys żył jego jedyny, prawdziwy przyjaciel, którego mógł być pewien i którego pomocy teraz potrzebował.

Senatorowie wciąż milczeli czekając na jego dalsze słowa i Alvin wiedział, że przez ich oczy i uszy patrzy na niego i słucha go wiele innych niewidocznych inteligencji. Był przedstawicielem Diaspar i całe Lys na podstawie jego słów wyrabiało sobie obraz jego rodzimego świata. To była wielka odpowiedzialność. Zebrał myśli i zaczął mówić.

Wysłuchali go do końca nie przerywając i nie zadając pytań. Kiedy skończył, było już bardzo późno i czuł się bardziej wyczerpany niż kiedykolwiek przedtem. Napięcie i podniecenie tego długiego dnia dały wreszcie o sobie znać i zupełnie niespodziewanie Alvin zasnął.

Obudziwszy się stwierdził, że znajduje się w nieznanym pokoju i minęła dłuższa chwila, zanim uświadomił sobie, iż nie jest już w Diaspar. Cała świadomość powróciła z zimnymi promieniami słońca przenikającymi przez przezroczyście teraz ściany. Leżał na wpół przebudzony przypominając sobie wypadki poprzedniego dnia i zastanawiając się, jakie siły wyzwolił swoim postępowaniem.

Z cichym, melodyjnym dźwiękiem ściany poczęły składać się w górę w sposób tak skomplikowany, że wymykał się oku. Przez powstały w ten sposób otwór wkroczył do pokoju Hilvar patrząc na Alwina z wyrazem na wpół rozbawienia, na wpół powagi na twarzy.

— Teraz, kiedy się już obudziłeś, Alwinie — powiedział — może powiesz mi przynajmniej, co dalej zamierzasz i jak udało ci się tu powrócić. Senatorowie wyszli właśnie, aby obejrzeć podziemną kolej; nie mogą zrozumieć, jak udało ci się nią wrócić. Tamtędy wróciłeś?

Alvin wyskoczył z łóżka i przeciągnął się.

— Może lepiej zawróćmy ich z drogi — rzekł. — Szkoda ich czasu. A co do pytania, które mi zadałeś, to niedługo pokażę ci odpowiedź.

Dogonili senatorów nad jeziorem. Obie grupki przywitały się sztywno. Komitet Śledczy domyślił się, że Alvin wie, dokąd idą, i zmieszało ich nieco to niespodziewane spotkanie.

— Przepraszam, że wprowadziłem was w błąd poprzedniego wieczora — powiedział Alvin. — Nie przybyłem do Lys dawną drogą, a więc zamknięcie jej z waszej strony było zupełnie niepotrzebne. Prawdę mówiąc Rada Diaspar również zamknęła ją po naszej stronie z równym brakiem powodzenia.

Twarze senatorów stanowiły przykład zakłopotania, a przez ich mózgi przewijały się, jedna po drugiej, możliwe rozwiązania zagadki.

— Jak więc się tu dostałeś? — spytał najstarszy. W jego oczach pojawiła się isierka zrozumienia i Alvin był niemal pewien, że ten człowiek domyśla się prawdy. Ciekaw był, czy odebrał też rozkaz, który jego umysł wysłał właśnie w góry. Nie powiedział jednak nic i w milczeniu wskazał na pomocne niebo.

Igła srebrzystego światła poruszająca się z nieprawdopodobną prędkością zatoczyła nad górami łuk, pozostawiając za sobą długi na milę ślad. Zatrzymała się dwadzieścia tysięcy stóp nad Lys. Uczyniła to bez zwalniania, bez stopniowego wyhamowywania kolosalnej prędkości. Zatrzymała się tak nagle, że oko śledziło jeszcze tor jej ruchu przez ćwierć nieboskłonu, zanim mózg zarejestrował ten fakt. Z przestworzy dobiegł potężny grzmot — protest powietrza miażdżonego gwałtownością przelotu statku. W chwilę później sam statek, błyszcząc wspaniale w promieniach słońca, spoczął na

zboczu wzgórze odległego o sto jardów.

Trudno było ocenić, kto był bardziej zaskoczony, ale pierwszy przyszedł do siebie Alvin. Gdy szli — niemal biegli — w kierunku statku kosmicznego, Alvin zastanawiał się, czy on zawsze pędzi jak meteoryt. Ta myśl nie dawała mu spokoju, chociaż podczas pierwszej podróży nie odczuwał w ogóle wrażenia ruchu.

Z Hilvarem u boku Alvin stanął w otwartych drzwiach i obejrzał się przez ramię na milczących senatorów. Ciekaw był, co myślą — co myśli całe Lys. Z wyrazu ich twarzy wynikało, że nie są zdolni do jakiegokolwiek myślenia.

— Udaję się do Shalmirane — powiedział Alvin — i za jakąś godzinę wrócę do Airlee. Ale to dopiero początek. To nie jest zwykła maszyna latająca z rodzaju tych, na których ludzie podróżowali nad Ziemią. To jest statek kosmiczny, jeden z najszybszych, jaki kiedykolwiek zbudowano. Jeśli chcecie wiedzieć, gdzie go znalazłem, odpowiedź znajdziecie w Diaspar. Ale będziecie musieli tam pójść, bo Diaspar nigdy nie przyjdzie do was.

Odwrócił się do Hilvara i wskazał gestem drzwi. Hilvar wahał się tylko przez chwilę. Obejrzał się jeszcze raz, aby spojrzeć na znajomy krajobraz, i wszedł do wnętrza.

Senatorowie odprowadzili wzrokiem statek, który poruszając się teraz zupełnie wolno, zniknął na południu. Wtedy siwowłosy, młody człowiek, który prowadził grupę, wzruszył filozoficznie ramionami i zwrócił się do jednego z towarzyszy:

— Ty zawsze sprzeciwiałeś się zmianom, jakie chcieliśmy wprowadzać — powiedział — i jak dotąd stawało na twoim. Ale nie sądzę, aby przyszłość należała do któregośkolwiek z naszych społeczeństw. Lys i Diaspar dotarły do końca pewnej ery i musimy zrobić, co w naszej mocy, aby zapoczątkować nową.

— Niestety, masz rację. To jest kryzys i Alvin wiedział, co mówi, kiedy kazał nam udać się do Diaspar. Wiedzą tam teraz o nas, nie ma więc powodu, aby nadal się ukrywać. Sądzę, że lepiej będzie, jeśli pierwsi skontaktujemy się z naszymi kuzynami — być może będą teraz bardziej chętni do współpracy.

— Ale droga podziemna jest zamknięta z obu stron!

— Możemy ją otworzyć z naszej; nie potrwa długo, zanim Diaspar zrobi to samo.

Umysły senatorów — tych w Airlee i tych rozsianych po całym Lys — rozważyły tę propozycję i bardzo im się ona nie spodobała. Nie widzieli jednak innego rozwiązania.

Ziarno, które posiał Alvin, zaczynało kiełkować szybciej, niż się spodziewał.

Gdy dotarli do Shalmirane, góry pławiły się jeszcze w cieniu. Z ich wysokości, wielka niecka fortecy wyglądała na bardzo małą i wydawało się niemożliwe, że od tego małego ebonitowego kółeczka zależał kiedyś los całej Ziemi.

Alvin posadził statek wśród ruin, przy brzegu jeziora, i ogarnął go niewysłowiony, przejmujący do głębi żal. Otworzył śluzę powietrzną i do środka wpełzła cisza tego miejsca. Hilvar, który podczas całego przelotu prawie się nie odzywał, spytał cicho:

— Po co tu wróciliśmy?

Alvin nie odpowiedział, dopóki nie znaleźli się nad brzegiem jeziora. Tam odezwał się:

— Chciałem ci pokazać, jaki jest ten statek. Miałem również nadzieję, że polip już się odrodził. Czuję, że jestem mu coś winien, i chciałem mu pokazać, co odkryłem.

— W takim razie będziesz musiał zaczekać. Za szybko wróciłeś.

Alvin spodziewał się tego; nikła to była szansa i niepowodzenie nie zniechęciło go. Wody jeziora były idealnie gładkie i nie wstrząsał już nimi ten jednostajny rytm, który tak ich zafrapował podczas pierwszej wizyty. Ukląkł na brzegu jeziora i zajrzał w mroczną, zimną toń.

Tu i tam, pod powierzchnią, pływały małe przezroczyste dzwoneczki, ciągnące za sobą warkocze niewidocznych niemal macek. Alvin zanurzył dłoń i wyłowił jeden z nich. Odrzucił go od razu z cichym okrzykiem. Stworzonko użądliło go.

Pewnego dnia — może za lata, może za wieki — te bezrozumne meduzy zbiorą się z powrotem w jedną istotę i wielki polip odrodzi się, a potem powrócą mu wspomnienia i świadomość. Alvin ciekaw był, jak ta istota zareagowałaby na odkrycia, których dokonał; prawda o Mistrzu mogłaby nie być dla niej przyjemna. Poza tym, nie chciałaby może uznać wszystkich tych lat cierpliwego wyczekiwania za czas stracony na próżno.

Czy aby na pewno stracony na próżno? Chociaż stworzenia te oszukano, ich długie czuwanie zostało wreszcie wynagrodzone. Cudem uchroniły przed zapomnieniem wiedzę, która inaczej mogłaby zostać stracona. Teraz mogą wreszcie odpocząć, a ich wiara pójść w ślady milionów innych wyznań, które niegdyś uważały się za wieczne.

Rozdział 19

Alvin z Hilvarem wrócili zamyśleni do statku i teraz forteca była znowu ciemną plamką pośród wzgórz. Kurczyła się szybko, aż w końcu stała się czarnym, pozbawionym powieki okiem, wpatrzonym na zawsze w kosmos, i wkrótce znikła, wtapiając się w rozległą panoramę Lys.

Alvin nie starał się nawet sterować maszyną. Wznosili się wciąż, aż wreszcie całe Lys leżało pod nimi, jak zielona wyspa pośród brunatnożółtego morza. Nigdy przedtem Alvin nie był tak wysoko; kiedy wznoszenie ustało, zobaczyli w dole całą półkulę Ziemi. Lys było teraz małą, szmaragdową plamką na tle rdzawej pustyni — ale daleko, na krzywiźnie horyzontu, błyszczało coś jakby wielobarwny klejnot. I tak po raz pierwszy Hilvar ujrzał Diaspar.

Długo patrzyli na obracającą się pod nimi Ziemię. Ze wszystkich starożytnych możliwości Człowieka była to na pewno ta, na której utracenie najmniej mógł sobie pozwolić. Alvin pragnąłby pokazać świat, jakim go teraz widział, władcom Lys i Diaspar.

— Hilvarze — odezwał się w końcu — czy uważasz, że to, co robię, jest słuszne?

To pytanie zaskoczyło Hilvara nie podejrzewającego przyływu wątpliwości, które ogarnęły przyjaciela. Nie wiedział przecież nic o spotkaniu Alvina z Centralnym Komputerem i o wpływie, jaki ono nań wywarło.

Trudno było odpowiedzieć na to pytanie od niechcienia; podobnie jak Khedron, choć z mniejszym niż tamten niepokojeni, Hilvar odnosił wrażenie, że się pogrąża. Wsypał go nieubłagane wir, jaki idąc przez życie zostawiał za sobą Alvin.

— Uważani, że masz rację — odparł powoli. — Nasze ludy wystarczająco długo były rozdzielone. — To była prawda, ale nastrój przygnębienia wciąż nie opuszczał Alvina.

— Martwi mnie jeden problem — podjął Alvin zatroskanym głosem — różnica w długości naszego życia.

Nie powiedział więcej, ale obaj wiedzieli, o czym myśli drugi.

— Ja też się tym martwię — przyznał Hilvar — ale sądzę, że ten problem z czasem się rozwiąże, gdy nasi ludzie poznają się nawzajem. Nie możemy obaj mieć racji — nasze życie może być za krótkie, a wasze z pewnością jest za długie. W końcu znajdzie się jakiś kompromis.

Alvin zamyślił się. To była jedyna nadzieja, ale wieki przejściowe będą trudne. Znowu przypomniał sobie słowa Seranis: "...i on, i ja nie będziemy już żyli od wieków, gdy ty wciąż będziesz jeszcze młodzieńcem". Bardzo dobrze, przyjmie te warunki. Nawet w Diaspar na wszystkie przyjaźnie kładzie się ten sam cień; to, czy był on odległy o setki czy o miliony lat, robiło w końcu małą różnicę.

Alvin wiedział z pewnością, która mijała się z wszelką logiką, że przyszłość rasy zależy od zmieszania się tych dwóch kultur. W takim przypadku szczęście jednostki było nieważne. Przez chwilę zobaczył ludzkość jako coś więcej niż tylko żywe tło swej egzystencji i bez sprzeciwu przyjął poświęcenie, jakiego wymagał ten wybór.

Pod nimi bez przerwy obracał się świat. Wyczuwając nastrój przyjaciela, Hilvar nie odzywał się, czekając aż Alvin sam przerwie milczenie.

— Kiedy po raz pierwszy opuszczałem Diaspar — powiedział Alvin — nie wiedziałem, co znajdę za jego murami. Lys usatysfakcjonowało mnie od razu, więcej niż usatysfakcjonowało, a jednak teraz wszystko na Ziemi wydaje się takie małe i nieważne. Każde odkrycie, jakiego dokonałem, stwarzało nowe pytania i poszerzało horyzonty. Zastanawiam się, gdzie jest tego kres...

Hilvar nigdy nie widział Alvina tak pogrążonego w zadumie i nie chciał mu przerywać tego monologu. Wiele się dowiedział o przyjacielu przez ostatnie kilka minut.

— Robot powiedział mi — ciągnął dalej Alvin — że ten statek może dotrzeć do Siedmiu Słońc w niecały dzień. Sądysz, że powinienem tam polecieć?

— A czy sądzisz, że mógłbym cię powstrzymać? — odparł spokojnie Hilvar. Alvin uśmiechnął się.

— To żadna odpowiedź — powiedział. — Kto wie, co znajduje się tam, w kosmosie? Nawet gdyby Najeźdźcy opuścili wszechświat, to mogą tam istnieć inne inteligencje nieprzyjazne Człowiekowi.

— A dlaczego miałyby takimi być? — spytał Hilvar. — To jedno z pytań, nad którymi nasi filozofowie rozprawiają od wieków. To nieprawdopodobne, aby prawdziwie inteligentna rasa była nieprzyjazna.

— Ale Najeźdźcy...?

— Oni są zagadką, przyznaję. Jeśli naprawdę byli źli, to do tej pory sami musieli się zniszczyć. A jeśli nawet tego nie uczynili... — Hilvar wskazał na rozciągającą się w dole bezkresną pustynię. — Kiedyś mieliśmy Imperium. Czy mamy teraz coś, czego mogliby pożądać?

Alvin zdziwił się, że ktoś może dzielić jego punkt widzenia.

— Czy tak myślą wszyscy twoi ludzie? — spytał.

— Tylko mniejszość. Przeciętna osoba nie zaprzęta tym sobie głowy, ale spytana odpowiedź prawdopodobnie, że jeśli Najeźdźcy naprawdę chcieliby zniszczyć Ziemię, zrobiliby to już wieki temu. Nie przypuszczam, aby ktoś naprawdę się ich obawiał.

— W Diaspar sprawy wyglądają inaczej — powiedział Alvin. — Moi ludzie są wielkimi tchórzami. Boją się wytknąć nosa poza granice swego miasta i nie wiem, co się stanie, gdy dowiedzą się, iż znalazłem ten statek kosmiczny. Jeserac powiedział już o tym Radzie i ciekaw jestem, jak zareagowała.

— Mogę ci to powiedzieć. Przygotowuje się do przyjęcia pierwszej delegacji z Lys. Seranis właśnie mnie o tym poinformowała.

Alvin spojrzał znowu na ekran. Jednym spojrzeniem mógł ogarnąć odległość dzielącą Lys od Diaspar; chociaż dopiął jednego ze swych celów, to nie wydawało mu się to w tej chwili takie ważne. Był jednak zadowolony. Teraz na pewno skończą się długie wieki sterylnej izolacji.

Wiadomość, że udało się coś, co do niedawna było jego główną misją, odpędziła ostatnie wątpliwości dręczące Alvina. Spełnił swoje zadanie tu, na Ziemi, i to szybciej i lepiej, niż mógł się spodziewać. Stała przed nim otworem droga do przygody, która mogła być jego ostatnią i na pewno będzie największą.

— Czy polecisz ze mną, Hilvarze? — spytał aż za bardzo świadomy, o co prosi. Hilvar rzucił mu twarde spojrzenie.

— Nie ma o czym mówić — powiedział. — Już dobrą godzinę temu poinformowałem Seranis i wszystkich moich przyjaciół, że z tobą odlatuję.

Byli już bardzo wysoko, gdy Alvin wydał robotowi ostatnie instrukcje. Statek zatrzymał się. Ziemia leżała z tysiąc mil pod nimi wypełniając sobą całe niebo. Wyglądała bardzo niegościnnie; Alvin pomyślał sobie, ile statków zatrzymywało się tak na chwilę w przeszłości, by następnie podjąć dalszą podróż.

Nastąpiła dłuższa przerwa, jakby robot sprawdzał urządzenia sterownicze i nie wykorzystywane od wieków układy. Potem rozległ się cichutki dźwięk, pierwszy wydany przez maszynę, od kiedy znajdowała się ona w posiadaniu Alvina. Było to ledwie słyszalne brzęczenie, które zwiększało, oktawa po oktawie, swoją częstotliwość, aż wreszcie ścichło za granicą słyszalności. Nie nastąpiło żadne uczucie zmiany położenia czy przyspieszenia, ale Alvin zauważył nagle, że po ekranie

przesuwają się gwiazdy. Znowu pojawiła się nad nim i przepłynęła Ziemia — po chwili pojawiła się ponownie, ale już w innym miejscu. Statek naprowadzał się na kurs obracając w kosmosie, jak igła kompasu szukająca północy. Przez kilka minut niebo obracało się wokół nich, aż w końcu statek znieruchomiał — wielki pocisk wycelowany w rozgwieżdżoną otchłań.

Pośrodku ekranu widniał tęczowo barwny, wielki pierścień Siedmiu Słońc. Malutka Ziemia była wciąż widoczna jako ciemna plamka granicząca odcieniem ze złotem i purpurą zachodzącego słońca. Działo się teraz coś, co przekraczało wiedzę i doświadczenie Alvina. Czekał zaciskając dłonie na poręczy swego fotela i wpatrując się w Siedem Słońc błyszczących na ekranie. Mijały sekundy.

Nastąpiło szarpnięcie, któremu nie towarzyszył żaden dźwięk i pod wpływem którego wzrok zdawał się tracić ostrość — Ziemia zniknęła, jak gdyby starta gigantyczną dłonią. Byli sam na sam z kosmosem, sam na sam z gwiazdami i dziwnie zmałym słońcem. Ziemi nie było, tak jakby nie było jej nigdy.

Nastąpiło drugie szarpnięcie i tym razem towarzyszył mu cichy pomruk, jak gdyby dopiero teraz wykorzystywany był potężniejszy ułamek mocy generatorów. Przez chwilę wydawało się, że nic się nie dzieje; potem Alvin dostrzegł, że zniknęło nawet słońce, a gwiazdy pełzną powoli ku rufie statku. Zerknął za siebie i nie zobaczył nic. Zatarte przez półkulę nocy zniknęło zupełnie całe niebo za nimi. Patrząc tak przez chwilę zobaczył nurkujące w tę noc gwiazdy, które gasły zaraz, jak iskry wpadające do wody. Statek gnał z szybkością większą niż prędkość światła i Alvin zdał sobie sprawę z tego, że nie znajdują się już w znajomej przestrzeni Ziemi i Słońca.

Kiedy ten nagły, przyprawiający o zawrót głowy wstrząs nastąpił po raz trzeci, serce Alvina niemal przestało bić. Dziwne zamglenie wzroku było teraz niewątpliwe; przez chwilę otoczenie wydawało się zniekształcone nie do poznania. Znaczenie tego zniekształcenia dotarło doń w przebłysku intuicji, którego nie potrafił wyjaśnić: "To nie było złudzenie wzrokowe, to była rzeczywistość". Przechodząc przez cienką warstwę Teraźniejszości dostrzegł na mgnienie oka zmiany zachodzące w otaczającej go przestrzeni.

W tej samej chwili pomruk generatorów narósł do ryku, który wstrząsnął całym statkiem — dźwięku tym bardziej poruszającego, że był on pierwszym okrzykiem protestu, jaki Alvin słyszał od tej maszyny. Potem wszystko się urwało i zapadła dzwoniąca w uszach cisza. Potężne generatory wykonały swe zadanie; nie będą już potrzebne aż do końca podróży. Gwiazdy rozbłyskiwały przed dziobem statku niebieskobiałym światłem, aby po chwili zniknąć w ultrafiolecie. Jednak za sprawą jakiejś magii Nauki lub Natury Siedem Słońc było nadal widocznych, chociaż teraz ich położenie i barwy uległy nieznacznej zmianie. Statek gnał w ich kierunku tunelem ciemności, poza granicę czasu i przestrzeni, z szybkością zbyt olbrzymią, by można ją było objąć umysłem.

Trudno było uwierzyć, że opuszczali teraz Układ Słoneczny z szybkością, która, jeśli nie ulegnie zmianie, wyniesie ich niebawem poprzez jądro Galaktyki w jeszcze większą pustkę poza jej granicami. Ani Alvin, ani Hilvar nie mogli pojąć prawdziwego bezmiaru swej podróży; wielkie sagi o eksploracji kosmosu całkowicie zmieniły spojrzenie Człowieka na wszechświat i nawet teraz, miliony wieków później, starożytne tradycje nie wygasły całkowicie. Istniał kiedyś statek, szeptała legenda, który okrążał kosmos między wschodem a zachodem Słońca. Przy takich prędkościach nic nie znaczący miliardy mil między gwiazdami. Dla Alvina obecna podróż była niewiele dłuższa, a może i mniej niebezpieczna niż jego pierwszy przelot z Diaspar do Lys.

Hilvar pierwszy wyraził głośno ich myśli.

— Alwinie — zauważył — to niemożliwe, aby ta formacja powstała w sposób naturalny. Alvin skinął głową.

— Ten system nie został być może zbudowany przez Człowieka — powiedział Hilvar — ale

musiała go stworzyć inteligencja. Natura nigdy nie uformowałaby tak idealnego koła z gwiazd, które są w dodatku równej jasności. Poza tym w widzialnym kosmosie nie ma nic, co przypominałoby Słońce Centralne.

— Jakież cel mógł przyświecać budowniczym tych gwiazd?

— Och, przychodzi mi do głowy wiele powodów. Może jest to sygnał dla obcego statku przybywającego do naszego wszechświata, wskazówka, gdzie ma szukać życia. Może oznacza to centrum administracji galaktycznej. Albo może — i wydaje mi się, że to prawdziwe wyjaśnienie — jest to po prostu największe z dzieł sztuki. Ale spekulowanie na ten temat mija się z celem. Za kilka godzin poznamy prawdę.

Poznamy prawdę. Może — pomyślał Alvin, ale ile tej prawdy kiedykolwiek poznamy? Dziwne, że teraz, kiedy opuścił Diaspar, a nawet z niewyobrażalną prędkością samą Ziemię, znowu wracał myślami do tajemnicy swego pochodzenia. Może nie było to jednak takie dziwne. Od chwili kiedy po raz pierwszy przybył do Lys, nauczył się wielu rzeczy, ale do tej pory nie miał czasu na refleksje.

Teraz mógł tylko siedzieć i czekać, jego bezpośrednia przyszłość leżała w rękach cudownej maszyny — na pewno jednego z czołowych osiągnięć technicznych wszystkich czasów — która niosła go teraz do serca wszechświata. Czy chciał tego, czy nie, przyszła pora na rozmyślenia i refleksje. Ale najpierw powie Hilvarowi o wszystkim, co się z nim działo od chwili ich pośpiesznego rozstania dwa dni temu.

Hilvar wysłuchał opowieści bez komentarzy; nie prosił o wyjaśnienia i zdawał się rozumieć w lot wszystko, o czym mówił Alvin, i nie okazywał żadnych oznak zdumienia nawet wtedy, gdy usłyszał o spotkaniu z Centralnym Komputerem i operacji, jaką ten przeprowadził na mózgu robota.

— To oczywiste — powiedział, gdy Alvin skończył swą opowieść — że Centralny Komputer musiał podczas programowania otrzymać specjalne instrukcje dotyczące ciebie. Musiałeś się już chyba domyślić czego.

— Chyba tak. Części odpowiedzi udzielił mi Khedron wyjaśniając, jakie kroki, mające na celu zapobieżenie zbliżającemu się upadkowi, podejmowali projektanci Diaspar.

— Czy sądzisz, że ty — i inni Odmieńcy przed tobą — jesteście częścią mechanizmu socjalnego, który zapobiega całkowitej stagnacji? Że tam, gdzie Błaźni są krótkotrwałymi czynnikami korygującymi, ty i tobie podobni jesteście czynnikami długoterminowymi?

Hilvar ujął to lepiej, niż potrafiłby Alvin, ale niezupełnie to miał Alvin na myśli.

— Sądzę, że prawda jest bardziej skomplikowana. Wygląda mi na to, że kiedy budowano miasto, istniała różnica zdań między tymi, którzy chcieli odciąć się całkowicie od świata zewnętrznego, a tymi, którzy chcieli utrzymać pewne kontakty. Pierwsza frakcja zwyciężyła, ale druga nigdy nie uznała swej porażki. Wydaje mi się, że Yarlan Zey musiał być jednym z jej przywódców, ale nie był wystarczająco potężny, aby działać otwarcie. Zrobił co mógł, pozostawiając drogę podziemną i zapewniając, że w długich odstępach czasu z Sali Tworzenia będzie wychodził ktoś nie obciążony lękiem dręczącym wszystkich mieszkańców Diaspar. Zastanawiam się, czy... — Alvin urwał i popadł w taką zadumę, że zapomniał o całym świecie.

— O czym tak rozmyślasz? — spytał Hilvar.

— Przyszło mi właśnie na myśl... może to ja jestem Yarlanem Zeyem? To bardzo możliwe. Mógł wprowadzić swoją osobowość do Banku Pamięci w nadziei, że skruszy ona skorupę Diaspar, zanim ta zasklepi się na dobre. Muszę kiedyś zbadać, co się stało z poprzednimi Odmieńcami. Może rzuci to jakieś światło na całą sprawę.

— I Yarlan Zey — czy ktokolwiek to był — poinstruował również Centralny Komputer, żeby ten służył specjalną pomocą Odmieńcom, kiedy tylko się pojawiają. — Hilvar zamyślił się, idąc za tokiem

rozumowania Alvina.

— Właśnie. Cała ironia w tym, że mogłem wszystkie informacje uzyskać bezpośrednio od Centralnego Komputera, nie uciekając się do pomocy biednego Khedrona. Powiedziałby mi więcej, niż kiedykolwiek powiedział jemu. Ale nie ulega wątpliwości, że dzięki Khedronowi zaoszczędziłem wiele czasu. Nauczył mnie tego, czego nigdy nie nauczyłbym się sam.

— Wydaje mi się, że twoja teoria pokrywa się z wszystkimi znanymi faktami — powiedział ostrożnie Hilvar. — Niestety, najważniejszy problem pozostaje nadal bez odpowiedzi — pierwotne przeznaczenie Diaspar. Dlaczego twoi ludzie usiłowali nie przyjmować do wiadomości istnienia świata zewnętrznego? Chciałbym to wiedzieć.

— Właśnie zamierzam to wyjaśnić — odparł Alvin. — Nie wiem jednak, kiedy ani jak to zrobię.

Spierali się tak i marzyli, a tymczasem, godzina po godzinie, Siedem Słońc oddalało się od siebie, aby w końcu wypełnić ten dziwny tunel nocy, którym pędził statek. Potem jedno po drugim sześć słońc zewnętrznych znikło poza skrajem ciemności i na ekranie pozostało tylko Słońce Centralne. Chociaż nie mogło istnieć w przestrzeni, w której się teraz poruszali, świeciło jednak wciąż perłowym blaskiem odróżniającym je od innych gwiazd. Jego jasność rosła z każdą minutą. Nie było już punkcikiem, lecz maleńką tarczką. I teraz ta tarczka zaczęła rosnąć...

Nastąpiło najkrótsze z ostrzeżeń: przez chwilę w kabinie wibrowała głęboka nuta przypominająca dźwięk dzwonu. Alvin zacisnął palce na poręczach fotela, chociaż był to dosyć daremny gest.

W huku eksplozji ożyły potężne generatory i z niemal oślepiającą gwałtownością pojawiły się gwiazdy. Statek wpadł z powrotem w kosmos, z powrotem do wszechświata gwiazd i planet, naturalnej przestrzeni, w której nic nie może poruszać się szybciej niż światło.

Znajdowali się już w układzie Siedmiu Słońc, sądząc z dominującego na niebie wielkiego pierścienia barwnych globów. A co to było za niebo! Zniknęły z niego wszystkie gwiazdy, które znali, wszystkie znajome konstelacje. Droga Mleczna nie była już pasemkiem mgły, daleko z boku nieboskłonu; znajdowali się teraz w centrum, a jej wielkie koło dzieliło wszechświat na dwoje.

Statek pędził wciąż z wielką szybkością w kierunku Słońca Centralnego, a sześć pozostałych gwiazd wyglądało jak barwne boje rozstawione naokoło nieba. Niedaleko najbliższej z nich widać było maleńkie iskierki krążących planet, światów, które musiały być ogromne, skoro widać je było z takiej odległości.

Przyczyna perłowej poświaty wysyłanej przez Słońce Centralne była teraz jasna. Ta wielka gwiazda spowita była powłoką gazu, która tłumiała jej promieniowanie i nadawała światu charakterystyczną barwę. Otaczającą gwiazdę mgławicę widać było tylko z niewielkiej odległości i wydawała się poskręcana w dziwaczne, umykające oku kształty. Ale była tam i im dłużej się patrzyło, tym wydawała się większa.

— No i co, Alvinie? — powiedział Hilvar. — Mamy tu tyle światów, że będzie w czym wybierać. A może masz nadzieję zbadać je wszystkie?

— Nie będzie to, na szczęście, konieczne — przyznał Alvin. — Jeśli gdziekolwiek uda nam się nawiązać kontakt, to tam zdobędziemy informacje, których nam potrzeba. Logicznie byłoby zacząć od największej planety Słońca Centralnego.

— O ile nie jest za duża. Słyszałem, że istnieją planety tak wielkie, że nie może na nich żyć człowiek — zostałby zmiażdżony pod własnym ciężarem.

— Wątpię, że spotkamy się z tym tutaj, bo jestem pewien, że ten układ jest tworem całkowicie sztucznym. Zresztą będziemy widzieli z kosmosu, czy są tam jakieś miasta lub budynki.

Hilvar wskazał na robota.

— Nasz problem został rozwiązany bez naszego udziału — powiedział. — Nie zapominaj, że nasz

przewodnik już tu kiedyś był. Prowadzi nas do swego domu... i ciekaw jestem, co on o tym wszystkim myśli.

Alvin też był tego ciekaw. Ale czy można było, czy miało w ogóle jakiś sens wyobrazić sobie, że robot powracając po tylu eonach do starożytnego domu Mistrza odczuwa coś na kształt ludzkich emocji?

Wracał teraz za swymi nieśmiertelnymi wspomnieniami do miejsca, z którego pochodził. Prawie niewidoczna w blasku Słońca Centralnego skrzyła się blada iskra światła z otaczającymi ją jeszcze bledszymi iskierekami jeszcze mniejszych światów. Ich wielka podróż dobiegała końca; za chwilę dowiedzą się, czy nie była daremna.

Rozdział 20

Planeta, w kierunku której lecieli, odległa była teraz zaledwie o kilka milionów mil. Cała powierzchnia tej wielobarwnej kuli skąpana była w blasku wiecznego dnia, gdyż oświetlało ją z jednej strony Słońce Centralne, z drugiej zaś przemaszerowujące, jedna za drugą przez nieboskłon, pozostałe gwiazdy tej formacji. Alvin pojął nareszcie znaczenie słów umierającego Mistrza: "To cudowne obserwować barwne cienie na planetach wiecznego światła".

Byli już tak blisko, że przez leciutką mgiełkę atmosfery rozróżniali zarysy lądów i oceanów. W konturach tych było coś niezwykłego i dopiero po chwili uświadomili sobie, skąd się brało to wrażenie: linie odgraniczające ląd od wody były dziwnie regularne. Kontynenty tej planety nie były tworem Natury — ale ukształtowanie tego świata nie musiało być zbyt wielkim problemem dla tych, którzy zbudowali jego słońca!

— To nie są wcale oceany! — wykrzyknął nagle Hilvar. — Spójrz, widać tam jakieś ślady!

Dopiero gdy jeszcze bardziej zbliżyli się do planety, Alvin dostrzegł to, co pokazywał mu Hilvar. Zauważył wtedy ledwo widoczne pasma i linie ciągnące się wzdłuż brzegów po powierzchni tego, co brał z początku za morze. Widok ten spowodował nagły napływ wątpliwości, ponieważ Alvin dobrze wiedział, co oznaczają te linie. Widział je już na pustyni pod Diaspar, a teraz powiedziały mu, że daremnie odbył tę podróż.

— Ta planeta jest tak samo sucha jak Ziemia — powiedział posępnie. — Te ślady to pokłady soli w miejscach, skąd wyparowało morze.

— Nigdy by do tego nie dopuścili — odparł Hilvar. — Wydaje mi się, że się mimo wszystko spóźniliśmy.

Rozczarowanie było tak przygnębiające, że Alvin wolał się nie odzywać i patrzył tylko w milczeniu na ten wielki świat. Planeta obracała się w dole z majestatyczną powolnością, a jej powierzchnia wybiegała im na spotkanie. Widzieli już budynki — maleńkie białe skorupki rozsiane po całej planecie.

Kiedyś było to centrum wszechświata. Teraz panowała tu cisza, powietrze było puste, a na powierzchni nie widać było roju uwijających się punkcików, które przemawiałyby za istnieniem życia.

Nagle statek zatrzymał się, jakby robot znalazł wreszcie źródło, z którego wypływały jego wspomnienia. Pod nimi, ze środka ogromnego marmurowego amfiteatru, strzelała w niebo kolumna ze śnieżnobiałego kamienia. Alvin odczekał chwilę i gdy maszyna nadal pozostawała w bezruchu, wydał jej rozkaz lądowania u stóp kolumny.

Aż do tej chwili Alvin miał jeszcze nadzieję znaleźć na tej planecie życie. Nadzieja ta rozwiąła się ostatecznie, gdy otworzył śluzę powietrzną. Nigdy przedtem, nawet w ruinach Shalmirane, nie doświadczył tak doskonałej ciszy. Na Ziemi wciąż rozlega się gwar głosów, trwa krzątania żywych istot lub chociaż słychać poszum wiatru. Tu nie było i nigdy już nie będzie tych odgłosów.

— Dlaczego nas tu przywiozłeś? — spytał robota Alvin.

— Stąd wyruszył Mistrz — padła odpowiedź.

— Czy nie dostrzegasz w tym jakiejś ironii losu? — dociekał Hilvar. — Odleciał z tego świata w niełasce, a popatrz na ten pomnik, który wzniesli na jego cześć!

Wielka kamienna kolumna miała wysokość jakichś stu ludzi i ustawiona była na metalowym kręgu wystającym nieco ponad powierzchnię terenu. Nie miała żadnych ozdób, nie nosiła żadnych inskrypcji. Alvin zastanawiał się, przez ile tysięcy czy milionów lat musieli się zbierać wyznawcy Mistrza, aby złożyć mu hołd? I czy dowiedzieli się kiedykolwiek, że umarł on w zapomnieniu na

odległej Ziemi?

Nie robiło to teraz żadnej różnicy. Mistrz i jego wierni pogrzebani zostali w mrokach zapomnienia.

— Pójdźmy tam — powiedział Hilvar, starając się wyrwać Alvina z nastroju przygnębienia. — Przebyliśmy pół wszechświata, żeby zobaczyć to miejsce. Możesz przynajmniej zdobyć się na mały wysiłek i wyjść na zewnątrz.

Alvin uśmiechnął się z przymusem i wyszedł za Hilvarem ze służby. Nawet jeśli ten świat jest martwy, musi się na nim znajdować wiele ciekawych rzeczy, które pomogą im może wyjaśnić niektóre z tajemnic przeszłości.

Powietrze miało woń pleśni, ale nadawało się do oddychania. Pomimo wielu słońc na niebie temperatura nie była wysoka. Ciepła dostarczała właściwie tylko biała tarcza Słońca Centralnego.

Po kilku minutach oględzin wiedzieli już, że obelisk nic im nie powie. Materiał, z którego został wykuty, wykazywał wyraźne oznaki starości; krawędzie zaokrągliły się już, a metalowa płyta, na której był ustawiony, starta była przez stopy pokoleń wiernych i gości. Nasunęła im się myśl, że są być może ostatnimi z miliardów istot ludzkich, które odwiedziły to miejsce.

Hilvar miał właśnie zaproponować powrót na statek i przelot do najbliższego z okolicznych budynków, gdy Alvin zauważył długą, wąską szczelinę w marmurowej posadzce amfiteatru. Poszli wzdłuż niej. Szczelina rozszerzała się bez przerwy i wkrótce była już tak szeroka, że z trudem tylko udałoby się ją przeskoczyć.

W chwilę później znaleźli miejsce, z którego brała swój początek. Powierzchnia areny była tu zmiażdżona i rozłupana, a dalej ciągnęła się długa na milę, głęboka bruzda. Nie trzeba było inteligencji ani wyobraźni, aby domyślić się, w jaki sposób powstała. Wieki temu — chociaż na pewno długo po opustoszeniu tego świata — spoczął tutaj wielki cylindryczny kształt, a potem wzniósł się znowu w kosmos i pozostawił planetę sam na sam z jej wspomnieniami.

Kim byli? Skąd przybyli? Nie wiadomo. Jeśli przegapili tych wcześniejszych gości o tysiąc czy milion lat, nigdy się tego nie dowiedzą.

Wrócili w milczeniu na swój statek (jakże małeńki się wydawał obok kolosa, który tu kiedyś spoczywał!) i przelecieli wolno nad areną, kierując się ku najokazalszemu z otaczających ją budynków. Gdy wylądowali przed jego wejściem, Hilvar wskazał na coś, co w tej samej chwili zauważył Alvin.

— Te budynki nie wyglądają bezpiecznie. Spójrz na leżące tu kamienie — to cud, że jeszcze stoją. Jeśli na tej planecie szalałyby jakieś burze, rozpadłyby się już dawno temu. Wydaje mi się, że wchodzenie do środka nie byłoby rozsądnym posunięciem.

— Nie zamierzam tam wchodzić; wyślę robota — potrafi poruszać się szybciej od nas i nie spowoduje żadnego wstrząsu, od którego mógłby runąć dach.

Hilvar pochwalił tę ostrożność i doradził, aby Alvin, przed wysłaniem robota na rekonesans, przeniósł jego zestaw instrukcji do niemal równie inteligentnego mózgu statku, tak żeby mogli przynajmniej powrócić na Ziemię, gdyby coś przytrafiło się ich pilotowi.

Po niedługim czasie przekonali się, że ten świat nie ma im nic do zaoferowania. Oczami robota przemierzającego puste labirynty oglądali mile pokrytych kurzem korytarzy i przejść. Wyglądało na to, że te budynki spełniały funkcje mieszkalne i że istoty, które je zamieszkiwały, były mniej więcej wzrostu człowieka. Właściwie mogłyby być nawet ludźmi, chociaż często natykali się na pomieszczenia, do których dostać się mogły tylko istoty potrafiące latać, ale nie oznaczało to, że budowniczości miasta byli skrzydlaci. Mogli posługiwać się osobistymi aparatami antygravitacyjnymi, które znajdowały się kiedyś w powszechnym zastosowaniu, a po których nie pozostało już w Diaspar ani śladu.

— Alvinie — powiedział Hilvar — na zwiedzaniu tych budynków możemy spędzić i milion lat. To przecież oczywiste, że nie opuszczono ich tak po prostu. One zostały dokładnie ogołoczone ze wszystkiego, co było w nich cenne. Tracimy tylko czas.

— Co więc proponujesz?

— Powinniśmy rzucić okiem na parę innych rejonów tej planety i zobaczyć, czy są takie same — a spodziewam się, że tak. Potem należałoby dokonać podobnego, szybkiego przeglądu innych planet tego układu i lądować tylko wtedy, gdy wydadzą się nam zupełnie odmienne lub gdy na ich powierzchni zauważymy coś niezwykłego. To wszystko, co zdążymy zrobić, o ile nie chcemy tu strawić reszty życia.

Hilvar miał rację. Starali się przecież nawiązać kontakt z inteligencją, a nie prowadzić badania archeologiczne. To pierwsze zadanie można wykonać w ciągu kilku dni, jeśli w ogóle jest ono wykonalne. To drugie zajęłoby wieki pracy armiom ludzi i robotów.

Dwie godziny później opuścili planetę i zrobili to z ulgą. Alvin miał wrażenie, że nawet gdyby kipiała życiem, to ten świat nie kończących się budynków byłby bardzo przytłaczający. Nie znaleźli śladu parków, żadnych otwartych przestrzeni, gdzie mogłaby istnieć roślinność. Był to zupełnie sterylny świat i trudno było sobie wyobrazić psychikę zamieszkujących go niegdyś istot. Alvin zdecydował, że jeśli kolejna planeta będzie pod tym względem identyczna, w ogóle zaniecha jej przeszukiwania.

Nie była identyczna, w istocie trudno byłoby sobie wyobrazić większy kontrast.

Planeta znajdowała się bliżej słońca i nawet z kosmosu wyglądała na gorącą. Była częściowo przesłonięta nisko płynącymi chmurami, co świadczyło, że obfituje w wodę, nie dostrzegli jednak oceanów. Nie dostrzegli też śladów inteligencji; okrążywszy planetę dwukrotnie nie wypatrzyli na jej powierzchni jakiegokolwiek sztucznego tworu. Cały glob, od biegunów po równik, pokrywał kobierzec zjadliwej zieleni.

— Sądzę, że powinniśmy tu zachować ostrożność — powiedział Hilvar. — Ten świat żyje — i nie podoba mi się kolor roślinności. Najlepiej będzie, jeśli pozostaniemy na pokładzie statku i nie będziemy w ogóle otwierać śluzy.

— Nawet po to, żeby wysłać robota?

— Nawet po to. Zapomniałeś, co to choroba, a chociaż moi ludzie wiedzą, jak sobie z nią radzić, jesteście daleko od domu, a tu mogą czyhać niebezpieczeństwa, których nie potrafimy przewidzieć. Wydaje mi się, że jest to świat, który oszalał. Kiedyś był, być może, jednym wielkim ogrodem czy parkiem, ale kiedy został zaniedbany, władzę nad nim przejęła znowu Natura. Gdy układ był zamieszkały, mogło tu wyglądać zupełnie inaczej.

Alvin nie wątpił w słuszność słów Hilvara. W tej biologicznej anarchii było coś diabelskiego, coś wrogo usposobionego do porządku i regularności, na których opierały się zarówno Lys, jak i Diaspar. Od miliardów lat szalała tu nieustanna bitwa; lepiej było wystrzegać się tego, co ją przetrwało.

Opuścili się ostrożnie nad rozległą, płaską równinę, tak jednorodną, że od razu wydała się podejrzana. Równina graniczyła z wyżej położonym terenem całkowicie porośniętym drzewami, których wysokości można się było tylko domyślać, ponieważ rosły tak blisko siebie, szczelnie oplecione poszyciem, że praktycznie nie było widać ich pni. Między górnymi konarami tych drzew fruwało wiele skrzydlatych istot, które poruszały się tak szybko, że trudno było stwierdzić, czy to ptaki, czy owady — czy też ani jedno, ani drugie.

Gdzieś tam jakiś leśny gigant zdołał wspiąć się o parę stóp ponad swych walczących sąsiadów, którzy jednak szybko zawiązywali sojusz, aby ściągnąć go w dół i zniszczyć przewagę, którą nad nimi

uzyskał. Pomimo że była to wojna cicha, prowadzona w zbyt wolnym tempie, aby mogło ją zaobserwować oko, wrażenie bezlitosnego, nieubłaganego konfliktu przytłaczało swoim okrucieństwem.

W porównaniu z tym, co działo się między drzewami, równina wyglądała spokojnie i łagodnie. Była niemal idealnie płaska, porośnięta cienką, krótką trawą i rozciągała się aż po horyzont. Chociaż opuścili się już na wysokość pięćdziesięciu stóp, nie dostrzegali na niej jakiegokolwiek śladu życia zwierzęcego, co bardzo dziwiło Hilvara. Być może zamieszkujące je zwierzęta, przestraszone ich widokiem, skryły się pod ziemię?

Unosili się tuż nad powierzchnią równiny i Alvin starał się przekonać Hilvara, że otwarcie śluzy nie grozi żadnym niebezpieczeństwem, a Hilvar wyjaśniał mu cierpliwie takie pojęcia, jak bakterie, grzyby, wirusy i mikroby. Spór trwał już dobrych parę minut, gdy nagle zauważyli osobliwy fakt. Ekran, który jeszcze przed chwilą pokazywał las, pociemniał.

— Wyłączyłeś go? — spytał Hilvar, jak zwykle wyprzedzając o ułamek sekundy takie samo pytanie Alvina.

— Nie — odparł Alvin i po plecach przeszedł mu zimny dreszcz, gdy pomyślał o jedynym wyjaśnieniu.

— Wyłączyłeś go? — spytał robota.

— Nie — padła odpowiedź.

Z westchnieniem ulgi Alvin odrzucił pomysł, że robot mógł zacząć działać na własną rękę i że mogą mieć do czynienia z mechanicznym buntem.

— To dlaczego ekran jest wygaszony? — spytał.

— Zasłonięte zostały receptory wizyjne.

— Nie rozumiem — powiedział Alvin, zapominając przez chwilę, że robot może reagować tylko na jasno sprecyzowane rozkazy i pytania. Poprawił się szybko.

— Co zasłania receptory?

— Nie wiem.

Skłonność robotów do małomówności mogła być czasami tak irytująca, jak gadatliwość ludzi. Zanim Alvin zadał następne pytanie, wtrącił się Hilvar.

— Powiedz mi, żeby uniósł statek powoli — poradził mu i w jego głosie był ton ponaglenia.

Alvin powtórzył rozkaz. Nie nastąpiło uczucie ruchu, bo go nie było. Potem, powoli, na ekran powrócił obraz, ale był jeszcze przez chwilę zamglony i nieostry. Pokazywał jednak wystarczająco dużo, aby zakończyć spór o lądowanie.

Płaska równina nie była już płaska. Bezpośrednio pod nimi uformowało się wielkie wybrzuszenie — wybrzuszenie rozdarte z wierzchu, tam skąd statek wyrwał się na wolność.

Nad szczeliną falowały niemrawo ogromne pseudomacki, jak gdyby usiłując pochwycić ofiarę, która przed chwilą uleciała z ich objęć. Gdy patrzyli z przerażeniem na tę scenę, Alvin zobaczył przez moment szkarłatny otwór otoczony niby-frędzlami bijącymi zgodnie jak bicze macek, porywającymi wszystko, co znalazło się w ich zasięgu, w dół w rozdziawioną szeroko paszczę.

Nie pochwyciwszy ponownie swej niedoszłej ofiary, potwór zapadł się powoli pod ziemię — i wtedy Alvin zdał sobie sprawę, że ta równina była w rzeczywistości cienką warstwą piany unoszącej się na powierzchni nieruchomego morza.

— Co to było? — wykrztusił.

— Żeby ci odpowiedzieć, musiałbym zejść na dół i przyjrzeć się temu dokładniej — odparł zgodnie z prawdą Hilvar. — To mogła być jakaś forma prymitywnego zwierzęcia — może nawet spokrewnionego z naszym przyjacielem z Shalmirane. Na pewno nie była to istota inteligentna, bo

inaczej nie usiłowałyby pożerać statku kosmicznego.

Chociaż nic im już nie groziło, Alvin nadal nie mógł przyjść do siebie. Zastanawiał się, co jeszcze kryje się pod tą niewinnie wyglądającą murawą, która zdawała się zapraszać do pobiegania po jej sprężystej powierzchni.

— Mógłbym tu spędzić wiele czasu — powiedział Hilvar wyraźnie zafascynowany tym, co widział. — W tych warunkach ewolucja musiała dojść do bardzo interesujących rezultatów. Nie tylko ewolucja, ale i degeneracja, ponieważ wyższe formy uległy zwyrodnieniu, kiedy ta planeta została pozostawiona własnemu losowi. Do tej pory ustaliła się już chyba równowaga — chyba nie masz jeszcze zamiaru odlecieć? — Krajobraz w dole zaczął maleć i głos Hilvara brzmiał niemal żałośnie.

— Odlatujemy — zdecydował Alvin. — Widziałem już świat bez życia i świat aż za żywy i nie wiem, który bardziej mi się podobał.

Na wysokości pięciu tysięcy stóp nad równiną planeta uraczyła ich ostatnią niespodzianką. Napotkali flotyllę ogromnych sflaczałych balonów dryfujących z wiatrem.

Z każdej półprzeźroczystej powłoki zwisały w dół pęki wici tworząc coś, co przypominało las odwrócony do góry nogami. Wyglądało na to, że niektóre rośliny starając się uciec od toczącego się na powierzchni okrutnego konfliktu, nauczyły się wzbijać w powietrze. Dzięki cudowi adaptacji zdołały zgromadzić i przechować w pęcherzach ilość powietrza wystarczającą na wzniesienie się we względnie spokojne warstwy atmosfery.

Nie było jednak pewne, że tutaj wreszcie znalazły bezpieczeństwo. W ich zwisających w dół łodygach i liściach roilo się od pająkowatych stworzeń, które spędzając życie wysoko nad powierzchnią globu, kontynuowały na swych samotnych napowietrznych wyspach wszechobecną bitwę o przetrwanie. Rośliny te musiały prawdopodobnie kontaktować się od czasu do czasu z powierzchnią planety; Alvin dostrzegł nagle, jak jeden z wielkich balonów pęka i wali się w dół, rozwijając jak spadochron swoją rozdartą powłokę. Ciekawe, czy był to wypadek, czy część cyklu życiowego tych zadziwiających tworów.

Podczas przelotu do następnej planety Hilvar przespał się trochę. Z jakiegoś powodu, którego robot nie potrafił im wyjaśnić, statek, w porównaniu do szybkości, jaką rozwinął w drodze z Ziemi do formacji Siedmiu Słońc, leciał teraz wolno. Dotarcie do świata, który Alvin wybrał na trzeci przystanek, zajęło im niemal dwie godziny i Alvin zdziwił się, że zwykła podróż międzyplanetarna może trwać tak długo.

Obudził Hilvara, kiedy weszli w atmosferę planety.

— Co o tym myślisz? — spytał wskazując na ekran.

Pod nimi roztaczał się ponury krajobraz czerni i szarości nie wykazujący śladu roślinności czy innego, bezpośredniego dowodu istnienia życia. Ale znajdował się tam dowód pośredni. Niskie wzgórza i płytkie doliny usiane były kropkami idealnie uformowanych półkul. Niektóre z nich tworzyły skomplikowane, symetryczne wzory.

Poprzednia planeta nauczyła ich ostrożności i po dokładnym rozważeniu wszystkich możliwości pozostali wysoko w atmosferze, a na rekonesans wysłali robota. Poprzez jego oczy widzieli, jak zbliża się do jednej z półkul i zatrzymuje w odległości pięciu stóp od jej idealnie gładkiej powierzchni.

Nie dostrzegli na niej niczego, co mogło służyć jako wyjście albo wyjaśnić przeznaczenie budowli. Półkula, przed którą unosił się robot, była dosyć spora i mierzyła sobie sto stóp wysokości, ale w zasięgu wzroku wznosiły się półkule jeszcze większe. Jeśli był to budynek mieszkalny, to nie miał ani okien, ani drzwi.

Po chwili wahania Alvin wydał robotowi rozkaz zbliżenia się do kopuły i dotknięcia jej. Ku jego zupełnemu zaskoczeniu robot nie wykonał polecenia. To był bunt lub tak to na pierwszy rzut oka wyglądało.

— Dlaczego nie robisz, co ci każe? — spytał Alvin, gdy otrząsnął się ze zdumienia.

— To jest zabronione — padła odpowiedź.

— Przez kogo?

— Nie wiem.

— Skąd zatem... nie, skasuj to. Czy jest to twój wewnętrzny zakaz?

— Nie.

To eliminowało jedną z ewentualności. Budowniczywie tych kopuł mogli być przecież rasą, która stworzyła robota włączając to tabu do oryginalnego zestawu instrukcji maszyny.

— Kiedy odebrałeś ten rozkaz? — spytał Alvin.

— Odebrałem go po wylądowaniu. Alvin spojrzał na Hilvara. W jego oczach zapaliła się iskierka nowej nadziei.

— Tu jest inteligencja! Nie wyczuwasz jej obecności?

— Nie — odparł Hilvar. — To miejsce wydaje mi się tak samo martwe jak świat, który odwiedziliśmy na samym początku.

— Wychodzę na zewnątrz i idę do robota. Cokolwiek przemawiało do niego, może też przemówić do mnie.

Hilvar nie wnosił sprzeciwu, chociaż nie wyglądał na uszczęśliwionego decyzją przyjaciela. Wylądowali sto stóp od kopuły, niedaleko czekającego robota, i otworzyli służbę powietrzną.

Alvin wiedział, że służba nie otworzyłaby się, gdyby mózg statku nie uznał, iż atmosfera planety nadaje się do oddychania. Po wyjściu na zewnątrz wydawało mu się przez chwilę, że komputer popełnił omyłkę, tak rzadkie było powietrze i tak mało tlenu dawało jego płucom. Potem, oddychając głęboko, stwierdził, że może wychwycić wystarczająco dużo tlenu, aby przeżyć, czuł jednak, że nie wytrzyma tu dłużej niż kilka minut.

Dysząc ciężko podeszli do robota i obłej ściany zagadkowej kopuły. Postąpili jeszcze jeden krok i — stanęli jak wryci, porażeni tym samym impulsem. W ich mózgach, niczym dźwięk potężnego dzwonu, dudniło ostrzeżenie:

NIEBEZPIECZEŃSTWO. NIE ZBLIŻAĆ SIĘ.

I to wszystko. Było to ostrzeżenie wyrażone nie słowami, ale czystą myślą. Alvin był pewien, że każda istota, bez względu na poziom jej inteligencji, odebrałaby ten zakaz w ten sam, zupełnie jednoznaczny sposób — głęboko w swoim mózgu.

To było ostrzeżenie, nie groźba. Czuli instynktownie, że nie jest skierowane przeciw nim; miało służyć ich własnemu bezpieczeństwu. Znajduje się tu coś niebezpiecznego, zdawało się przestrzegać, i my, budowniczywie, dokładamy starań, aby nikt nie ucierpiał natykając się na to przypadkiem i nieświadomie.

Alvin z Hilvarem cofnęli się o kilka kroków i spojrzeli po sobie. Pierwszy podsumował sytuację Hilvar.

— Miałem rację, Alwinie — rzekł. — Tutaj nie ma żadnej inteligencji. To ostrzeżenie wysyłane jest automatycznie — jest wyzwalone naszą obecnością, gdy się zanadto zbliżamy.

Alvin skinął głową na znak, że zgadza się z opinią przyjaciela.

— Ciekaw jestem, co starali się w ten sposób ochronić — powiedział. — Pod tymi kopułami mogą znajdować się budynki — no, cokolwiek.

— Nie potrafimy tego w żaden sposób stwierdzić, jeśli wszystkie kopuły będą nas ostrzegały, aby

trzymać się od nich z dala. To zastanawiające — te różnice między planetami, które odwiedziliśmy. Zabrali wszystko z pierwszej — drugą porzucili nie zawracając nią sobie głowy — ale tutaj zadali sobie wiele trudu. Może spodziewali się, że kiedyś powrócą, i chcieli, aby wszystko było na ten powrót przygotowane?

— Ale nigdy nie wrócili, a odeszli dawno temu.

— Mogli zmienić zamiary.

To dziwne, pomyślał Alvin, jak wraz z Hilvarem zaczęli nieświadomie używać słowa "oni". Kimkolwiek czy czymkolwiek byli ci "oni", ich obecność na pierwszej planecie nie ulegała wątpliwości i jeszcze widocznější była tutaj. Ten świat został pieczołowicie zapakowany i odłożony do czasu, kiedy może być znowu potrzebny...

— Wracamy na statek — powiedział zdyszczym głosem Alvin. — Trudno mi tu oddychać.

Gdy zamknęła się za nimi śluza powietrzna i znowu poczuli się lepiej, przedyskutowali swoje następne posunięcia. Aby badania były dokładne, powinni sprawdzić dużą liczbę kopuł w nadziei, że znajdą taką, która nie będzie ich ostrzegała i do której będą się mogli dostać. Jeśli się to nie uda... ale Alvin nie dopuszczał do siebie takiej możliwości, dopóki nie zostanie do tego zmuszony.

Został do tego zmuszony w niespełną godzinę później, i to w daleko dramatyczniej szych okolicznościach, niż mógłby sobie wcześniej wyobrazić. Sunąc nad krajobrazem bardzo nie pasującym do tego uporządkowanego, ładnie opakowanego świata, jeszcze sześciokrotnie wysłali robota do wybranych przypadkowo kopuł — zawsze z tym samym skutkiem.

Pod nimi leżała szeroka dolina, usiana z rzadka prowokującymi, nieprzeniknionymi półkulami. Na jej środku widniała łatwa do rozpoznania blizna po wielkiej eksplozji, która wypaliła płytki krater w podłożu i rozrzuciła na wiele mil w koło odłamki skał.

Obok krateru spoczywał wrak statku kosmicznego.

Rozdział 21

Wylądowali w pobliżu miejsca tej starożytnej tragedii i poszli, oddychając oszczędnie, w kierunku ogromnego przełamane kadłuba. Ocalał tylko krótki fragment statku, czy to dziób, czy rufa; reszta uległa prawdopodobnie zniszczeniu podczas eksplozji. Gdy zbliżali się do wraka, w umyśle Alvina zaczęło kiełkować pewne przypuszczenie; rozwijało się i nabierało siły, aż wreszcie uzyskało status pewności.

— Hilvarze — powiedział, po raz któryś z rzędu stwierdzając, że trudno mu jednocześnie iść i oddychać — wydaje mi się, że ten statek wylądował przedtem na planecie, którą odwiedziliśmy jako pierwszą.

Hilvar skinął głową, wołając nie marnować powietrza. Pomyślał już o tym samym. To była dobra nauczka dla nieostrożnych gości. Miał nadzieję, że i Alvin z niej skorzysta.

Dotarli do kadłuba i zadarłszy głowy patrzyli na odsłonięte wnętrze statku. Przypominał ogromny gmach rozłupany z grubsza na dwoje. Pokłady, ściany i sufity pękły w miejscu eksplozji, tworząc zniekształcony zarys przekroju kolosa. Alvin zastanawiał się, jakie obce, tajemnicze istoty spoczywają wciąż we wraku swego pojazdu, tam gdzie zastała je śmierć?

— Nie rozumiem tego — odezwał się nagle Hilvar. — Ta część statku uległa znacznemu zniszczeniu, a ta jest niemal nie tknięta. Gdzie jest jego reszta? Czyżby przełamał się na dwoje w kosmosie i ten fragment roztrzaskał się dopiero tutaj?

Nie poznali odpowiedzi, dopóki nie wysłali na rozpoznanie robota i sami nie zbadali terenu wokół statku. Nie było cienia wątpliwości; wszystko wyjaśniło się, gdy na małym wzgórku w pobliżu wraka Alvin znalazł rząd niskich kopczyków, każdy o długości dziesięciu stóp.

— A więc wylądowali tutaj — powiedział w zadumie Hilvar — i zlekceważyli ostrzeżenie. Byli tak samo wścibscy jak ty. Próbowali otworzyć kopułę.

Wskazał na drugą stronę krateru, na gładką, wciąż nie noszącą żadnych śladów uszkodzenia skorupę, we wnętrzu której władcy tego świata zabezpieczyli, odchodząc, swoje skarby. Ale to już nie była kopuła; mieli przed sobą niemal pełną kulę, bo grunt, w którym dawniej tkwiła, został wysadzony w powietrze siłą wybuchu.

— Rozbili swój statek i wielu z nich zginęło. Jednak pomimo to zdołali dokonać napraw i odlecieć odciawszy najbardziej uszkodzoną część kadłuba i zabierając z niej wszystko, co stanowiło dla nich jakąś wartość. Co to musiało być za zadanie!

Alvin ledwie go słyszał. Patrzył na tajemniczy znak, który przyciągnął go do tego miejsca — smukły pręt, otoczony na dwóch trzecich wysokości poziomym kołem. Alvin widział go po raz pierwszy, rozumiał jednak niemy przekaz przeniesiony przez ten symbol przez wieki.

Pod tymi głazami, gdyby ważył się je odwalić, leżała odpowiedź na co najmniej jedno z nurtujących go pytań. Mogło pozostać bez odpowiedzi; kimkolwiek były te istoty, zasłużyły sobie na prawo do odpoczynku.

Hilvar ledwie słyszał słowa wyszeptane przez Alvina w drodze powrotnej na statek:

— Mam nadzieję, że dotarli do domu.

— I dokąd teraz? — spytał Hilvar, gdy znowu znaleźli się w kosmosie.

Alvin popatrzył w zamyśleniu na ekran, zanim odpowiedział.

— Uważasz, że powinniśmy wracać? — spytał.

— To byłoby rozsądne. Szczęście może nas opuścić, a kto wie, jakie jeszcze niespodzianki gotują nam inne planety.

Był to głos rozsądku i ostrożności i Alvin był teraz gotów dać mu większy posłuch, niżby to

uczynił kilka dni temu. Ale przebył daleką drogę i całe życie czekał na tę chwilę; nie zawróci, kiedy tyle jeszcze jest do obejrzenia.

— Od tej chwili nie będziemy opuszczać statku — powiedział — i nigdzie nie będziemy lądować. To powinno zapewnić nam bezpieczeństwo.

Hilvar wzruszył ramionami, jak gdyby nie chciał brać odpowiedzialności za to, co się może wydarzyć. Teraz, kiedy Alvin przejawiał pewną ostrożność, uważał, że nierozsądnie by było przyznawać, że również obstaje za dalszymi badaniami, chociaż dawno już stracił nadzieję na spotkanie na tych planetach inteligentnego życia.

Przed sobą mieli podwójny świat: wielka planeta z obiegającym ją mniejszym satelitą. Kiedyś mogła to być bliźniaczka świata, który odwiedzili jako drugi; pokryta była tym samym kobiercem zjadliwej zieleni. Lądowanie na niej nie miało sensu.

Alvin wprowadził statek na orbitę satelity; nie potrzebował ostrzeżeń złożonych mechanizmów, które go chroniły, żeby domyślić się, iż nie posiada on atmosfery. Wszystkie cienie miały wyraźne, ostre krawędzie, a dzień przechodził gwałtownie w noc bez żadnych stanów pośrednich. Był to pierwszy świat, na którym zobaczył coś zbliżonego do nocy, ponieważ w rejonie, nad którym teraz krążyli, nad horyzontem wisiało tylko jedno z odległych słońc. Krajobraz skąpany był w jego mdłym czerwonym świetle i wyglądał jak unurzany we krwi.

Przez wiele mil lecieli nad górami tak samo poszarpanymi i ostrymi jak wiele wieków temu, w dniu ich narodzin. Był to świat, który nigdy nie zaznał zmian ani rozkładu, nigdy nie nawiedzały go wiatry i deszcze. Nie było tu trzeba żadnych układów wieczności, żeby zachować wszystko w pierwotnym stanie. Ale jeśli nie istniało tu powietrze, to nie mogło być też i życia... a może?

— Oczywiście — powiedział Hilvar, kiedy Alvin zwrócił się doń z tym pytaniem. — W twoim przypuszczeniu nie ma żadnego biologicznego absurdu. Życie może powstać w środowisku pozbawionym powietrza, ale może wtedy rozwinąć tylko takie formy, jakie w nim przetrwają.

Co do planety, nad którą przelatowali, pomyślał sobie Alvin, spekulacje Hilvara miały charakter czysto teoretyczny. Nigdzie nie było widać jakichkolwiek dowodów na to, że zrodziła ona jakieś życie — czy to inteligentne, czy nie. Ale w takim przypadku czemu miał służyć ten świat? Alvin był już pewien, że cały układ Siedmiu Słońc jest tworem sztucznym, a ten glob stanowić musiał część jego imponującej konstrukcji.

Niewykluczone, że miał służyć tylko jako ozdoba — jako księżyc swej gigantycznej towarzyszki. Jednak nawet w takim przypadku wykorzystano by go chyba w jakiś sposób.

— Popatrz — powiedział Hilvar wskazując na ekran. — Tam po prawej.

Alvin zmienił kurs statku i krajobraz na ekranie przechylił się. Przy prędkości, z jaką lecieli, oświetlone na czerwono skały rozmywały się w purpurowe smugi. Nagle obraz ustabilizował się i w dole zobaczyli niezaprzeczalny dowód życia.

Niezaprzeczalny, ale również niweczący wszystkie nadzieje. Przybrał formę rzędu wysmukłych kolumn rozstawionych w odstępach co sto stóp i dwa razy tak wysokich. Biegły w dal kurcząc się coraz bardziej w hipnotyzującej perspektywie, aż wreszcie połykał je odległy horyzont.

Alvin wykonał skręt w prawo i poprowadził statek wzdłuż rzędu kolumn zastanawiając się, jakiemu celowi mogły kiedyś służyć. Absolutnie jednakowe, wchodziły jedna za drugą na wzniesienia i schodziły w doliny. Nic nie wskazywało na to, żeby kiedykolwiek coś podpierały; były gładkie, niczym się nie wyróżniające i zwężały się nieco ku górze. Zupełnie nagle rząd kolumn zmienił kierunek skręcając pod kątem prostym. Alvin przeleciał jeszcze kilka mil, zanim zdążył na to zareagować i zmienić odpowiednio kurs statku.

Kolumny biegły wciąż przez martwą krainę nieprzerwanym szeregiem, zachowując idealnie

regularne odstępy. Potem, pięćdziesiąt mil od ostatniej zmiany kierunku, skrzyły znowu pod kątem prostym. W tym tempie, pomyślał sobie Alvin, wrócimy niebawem do punktu wyjścia.

Nie kończący się ciąg kolumn tak ich zahipnotyzował, że omal nie przeoczyli miejsca, gdzie się przerywał. Byli już kilka mil dalej, zanim Hilvar krzyknął do Alvina, żeby zawrócił statek. Zmniejszyli łagodnie wysokość lotu i gdy krążyli nad tym, co dostrzegł Hilvar, w ich umysłach zaczęło kiełkować fantastyczne przypuszczenie, chociaż z początku żaden z nich nie ważył się wspomnieć o tym drugiemu.

Dwie z kolumn były ułamane tuż przy podstawach i leżały na skałach, tam gdzie upadły. Ale nie było to wszystko; dwie kolumny sąsiadujące ze szczeliną zostały odgięte na zewnątrz przez jakąś potężną siłę.

Nie było ucieczki przed wzbudzającym grozę wnioskiem. Alvin wiedział już, nad czym lecieli; widywał to często w Lys, ale aż do tej pory szokująca różnica skali uniemożliwiała rozpoznanie.

— Hilvarze — powiedział, ociągając się wciąż z ubraniem w słowa swych przypuszczeń — czy wiesz, co to jest?

— Trudno w to uwierzyć, ale wydaje mi się, że latamy wokół zagrody. Ten rząd kolumn to płot — płot, który nie był wystarczająco mocny.

— Ludzie, którzy hodują zwierzęta — kontynuował Alvin chichocząc nerwowo — powinni wiedzieć, jak utrzymać je w ryzach.

Hilvar nie zareagował na jego słowa. Patrzył na wyłamane ogrodzenie, marszcząc w zadumie brwi.

— Nie rozumiem — odezwał się w końcu — czym się żywiło na takiej jak ta plancie? I dlaczego uciekło z zagrody? Dużo bym dał, żeby się dowiedzieć, co to było za stworzenie.

— Może pozostawiono je własnemu losowi i wyłamało płot, bo było głodne — snuł przypuszczenia Alvin. — Albo może coś je rozdrażniło.

— Zejdźmy niżej — poprosił Hilvar. — Chcę przyjrzeć się powierzchni.

Opuścili się tak, że statek dotykał niemal nagiej skały i dopiero wtedy zauważyli, iż równina zryta była niezliczonymi małymi dziurkami o średnicy nie większej niż cal lub dwa. Jednak na zewnątrz ogrodzenia nie było tych tajemniczych śladów; zatrzymali się nad linią płotu.

— Miałeś rację — powiedział Hilvar. — Było głodne. Ale to nie zwierzę; właściwiej byłoby nazwać to rośliną. Wyczerpało glebę wewnątrz ogrodzenia i musiało poszukać pożywienia gdzie indziej; porusza się prawdopodobnie stosunkowo wolno; przewrócenie tych kolumn zabrało jej pewnie całe lata.

Wyobraźnia Alvina szybko wypełniała luki. Nie wątpił, że dedukcje Hilvara są w zasadzie słuszne i że jakiś botaniczny potwór, poruszający się być może zbyt wolno, aby mogło to dostrzec oko, stoczył ospałą, ale zaciętą walkę z ogrodzeniem, które go otaczało.

Pomimo wieków, jakie minęły od tamtej pory, mógł jeszcze żyć i włóczyć się po całej powierzchni planety. Szukanie go było jednak zadaniem beznadziejnym, ponieważ oznaczało przeczesanie powierzchni całego globu. Przeszukali dla spokoju teren w promieniu kilku mil od wylotu i znaleźli wielką, okrągłą łatę o średnicy jakichś pięciuset stóp, podziobaną mnóstwem małych otworków. Tu zapewne zatrzymał się potwór, aby się pożywić — jeśli można było użyć tego słowa dla organizmu, który czerpał pożywienie z litej skały.

Gdy wznieśli się znowu w kosmos, Alvin poczuł ogarniające go dziwne znużenie. Odwiedzanie innych światów układu Siedmiu Słońc było bezcelowe, ale nawet jeśli gdzieś indziej we wszechświecie istniała jeszcze inteligencja, to gdzie jej szukać? Spojrzał na gwiazdy rozsiane jak pył po ekranie i wiedział, że na zbadanie ich wszystkich nie wystarczy czasu.

Zwrócił się po starci do Hilvara, ale ten stał nieruchomo z zaciśniętymi pięściami i szklanymi oczyma. Głowę przechylił na bok; zdawał się nasłuchiwać, wyęczać wszystkie zmysły na otaczającą ich pustkę.

— Co się stało? — spytał ponaglająco Alvin. Musiał powtórzyć to pytanie, zanim Hilvar dał po sobie poznać, że je słyszy. Odpowiedział patrząc wciąż w nicość.

— Coś nadciąga — powiedział wolno. — Coś, czego nie pojmuję.

Alwinowi wydało się, że w kabinie powiało chłodem i w całej swej grozie powrócił, aby stanąć mu przed oczami, pradawny koszmar Najeźdźców. Wysiłkiem woli, który wyczerpał jego siły, stłumił ogarniającą go panikę.

— Czy przybywa w pokojowych zamiarach? — spytał. — Czy powinniśmy uciekać na Ziemię?

Hilvar odpowiedział tylko na drugie pytanie, pierwsze pomijając milczeniem. Głos miał cichy, ale nie było w nim niepokoju czy strachu. Wyrażał raczej ogromne zdumienie i ciekawość, jak gdyby chłopiec spotkał się z czymś tak zaskakującym, że nie chciał zwracać sobie głowy odpowiadaniem na trwożne pytanie Alvina.

— Spóźniłeś się — powiedział. — Już jest tutaj.

Galaktyka obróciła się już wiele razy wokół swej osi od chwili, kiedy w Yanamondzie zbudziła się świadomość. Niewiele sobie przypominał z tych pierwszych eonów i niewiele pamiętał istot, które się nim wtedy opiekowały, ale pamiętał wciąż swój nieutulony żal, kiedy odeszły i zostawiły go samego pośród gwiazd. Od tego czasu wędrował wiek po wieku, od słońca do słońca, rozwijając się powoli i zwiększając swą potęgę. Kiedyś marzył o odnalezieniu tych, którym zawdzięczał swoje narodziny, i chociaż marzenia te zbladły już teraz, to nie umarły całkowicie.

Na niezliczonych światach znajdował szczątki, jakie pozostawiło po sobie życie, ale inteligencję odkrył tylko raz i w przerażeniu czmychnął z Czarnej Słońca. Jednak wszechświat był bardzo wielki, a poszukiwania dopiero się zaczynały.

Chociaż było to daleko w czasie i w przestrzeni, wielki wybuch energii dotarł do Yanamonda przez lata świetlne z serca Galaktyki. Był zupełnie niepodobny do promieniowania gwiazd i pojawił się w jego polu świadomości tak nagle, jak smuga pozostawiona przez meteor na bezchmurnym niebie. Pognał w tamtym kierunku przez kosmos i czas, zrzucając z siebie martwy, nie zmieniający się model przeszłości.

Długiego metalowego kształtu z jego nieskończoną złożonością budowy nie mógł pojąć, gdyż był on tak mu obcy, jak niemal wszystkie wytwory świata fizycznego. Wokół tego kształtu unosiła się wciąż aureola energii, która ściągnęła go tu z krańców wszechświata, ale nie ona go teraz interesowała. Ostrożnie, z płochą nerwowością dzikiego zwierzęcia, gotowego w każdej chwili czmychnąć, sięgnął w kierunku dwóch umysłów, które odkrył.

I wiedział już, że jego długie poszukiwania dobiegły końca.

Alvin chwycił Hilvara za ramiona i potrząsnął nim gwałtownie, starając się przywołać przyjaciela do rzeczywistości.

— Powiedz mi, co się dzieje? — błagał. — Co mam robić? Z oczu Hilvara spęzła ekstaza.

— Wciąż tego nie pojmuję, ale nie ma powodu do obaw. Jestem tego pewien. Cokolwiek to jest, nie wyrządzi nam krzywdy. To coś wydaje się po prostu... zainteresowane.

Alvin miał właśnie o coś spytać, gdy nagle owładnęło nim uczucie, jakiego do tej pory nie zaznał. Zdawało mu się, że po jego ciele rozchodzi się przyjemny, ciepły dreszcz; trwało to kilka sekund, ale kiedy ustało, nie był już tylko Alvinem. Coś dzieliło z nim jego mózg nakładając się nań, jak jedno koło może częściowo pokrywać inne. Był również świadomy, że oddalony na wyciągnięcie ręki umysł Hilvara jest tak samo sprzęgnięty ze świadomością istoty, która się tu pojawiła. Uczucie było

raczej dziwne niż nieprzyjemne i dzięki niemu Alvin po raz pierwszy uświadomił sobie, co to jest telepatia — zdolność, która tak zdegenerowała się w Diaspar, że teraz z jej pomocą można było tylko sterować maszynami.

Alvin zbuntował się od razu, kiedy jego umysłem próbowała zawładnąć Seranis, ale z tą ingerencją nie potrafił walczyć. Opór był beznadziejny, a zresztą wiedział, że ta istota nie żywi względem niego nieprzyjaznych zamiarów. Odprężył się, akceptując bez sprzeciwu fakt, że jego umysł bada nieskończenie większa inteligencja.

Yanamond zorientował się od razu, że jeden z tych umysłów jest bardziej przystępny. Stwierdził, że obydwa są zaskoczone jego obecnością. Trudno było mu uwierzyć, że mogły zapomnieć; zła pamięć, podobnie jak śmiertelność, wykraczała poza zdolność pojmowania Yanamonda.

Nawiązanie kontaktu było bardzo trudne; wiele obrazów, jakie znalazł w tych umysłach, było tak dziwnych, że z ledwością je rozpoznawał. Był zaintrygowany i z lekka przestraszony przewijającym się w nich wciąż strachem przed Najeźdźcami; przypominało mu to jego własne odczucia, kiedy po raz pierwszy w jego polu postrzegania znalazło się Czarne Słońce.

Ale te umysły nie wiedziały nic o Czarnym Słońcu i teraz zaczęły się w nich formować pierwsze pytania.

— Kim jesteś?

Udzielił jedynej odpowiedzi, jakiej mógł udzielić:

— Jestem Yanamond.

Następna przerwa (jakże długo formułują się ich myśli), a potem pytanie zostało powtórzone. Nie zrozumieli; dziwne, przecież to na pewno ich rodzaj nadał mu to imię. Pamiętał ten fakt od dnia narodzin. Wspomnień miał mało i wszystkie zaczynały się od jednego punktu w czasie, ale były kryształowo wyraźne.

W jego świadomość wdarły się znowu ich słabiutkie myśli.

— Gdzie są ludzie, którzy zbudowali Siedem Słońc? Co się z nimi stało?

Nie wiedział. Nie dowierzali mu i ich rozczarowanie dotarło doń ostro i wyraźnie poprzez otchłań dzielącą ich umysły od jego. Ale byli cierpliwi i chciał im pomóc, ponieważ szukali tego samego co on i przy nich po raz pierwszy nie czuł się samotny.

Alvin nie wierzył, że kiedykolwiek przeżyje jeszcze takie doświadczenie jak ta bezgłośna rozmowa. Trudno było uwierzyć, że można być czymś więcej niż widzem, ponieważ nie chciał przyznać, nawet przed sobą, że umysł Hilvara był w jakiś sposób o wiele chłonniejszy niż jego. Mógł tylko czekać zdumiony i na wpół oszołomiony strumieniem myśli przekraczających zdolność jego pojmowania.

Nagle Hilvar, poblady na twarzy i spięty, przerwał kontakt i zwrócił się do przyjaciela.

— Alvinie — powiedział znużonym głosem. — Dzieje się tu coś dziwnego. Nic z tego nie rozumiem.

To oświadczenie niewiele się przyczyniło do przywrócenia Alwinowi jego dawnej pewności siebie i odczytując to z jego twarzy Hilvar uśmiechnął się.

— Nie potrafię odkryć, czym jest ten... Yanamond — ciągnął. — Jest istotą, która dysponuje olbrzymią wiedzą, a jednocześnie wydaje się obdarzony bardzo małą inteligencją. Oczywiście — dodał — jego umysł może być tak różny od naszego, że nie potrafimy go zrozumieć — jednak nie wierzę jakoś, że to prawdziwe wyjaśnienie.

— No, a czego się dowiedziałeś? — spytał niecierpliwie Alvin. — Czy on wie coś o Siedmiu Słońcach? Umysł Hilvara wydawał się wciąż rozkojarzony.

— Zostały zbudowane przez wiele ras, włączając w to i naszą — powiedział nieobecny głosem.

— On może podawać mi takie jak ten fakty, ale zdaje się nie rozumieć ich znaczenia. Sądzę, że posiada świadomość przeszłości, ale nie potrafi jej interpretować. Wszystko, co się kiedyś wydarzyło, zdaje się przemieszane w jego umyśle.

Przerwał na chwilę i zamyślił się, potem twarz mu pojaśniała.

— Pozostaje tylko jedno; tak czy inaczej musimy zabrać Yanamonda na Ziemię, aby skonfrontować go z naszymi filozofami.

— Czy to będzie bezpieczne? — spytał Alvin.

— Tak — odparł Hilvar, zauważając, jak nietypowa dla przyjaciela była ta uwaga. — Yanamond jest nam przyjazny. Co więcej, wydaje mi się, że jest do nas przywiązany.

Rozdział 22

Jakże całkowicie nie do pomyślenia, zastanawiał się Jeserac, byłaby ta konferencja jeszcze kilka krótkich dni temu. W Sali Rady przy stole ustawionym w poprzek otwartego końca podkowy siedziało sześciu gości z Lys. Jeserac przypominał sobie z rozbawieniem, że nie tak dawno, stojąc w tym samym miejscu, Alvin słuchał orzeczenia Rady postanawiającego, że Diaspar musi znowu zostać zamknięte przed światem. Teraz świat wdarł się do miasta nie na żarty, i to nie tylko świat — cały wszechświat.

Skład Rady uległ od tamtego czasu zmianie. Brakowało ponad pięciu jej dawnych członków. Nie byli w stanie sprostać stojącym teraz przed nimi problemom i odpowiedzialnością i poszli w ślady Khedrona. To, że tak wielu jego mieszkańców nie potrafiło stawić czoła pierwszemu od milionów lat, realnemu wyzwaniu, myślał Jeserac, było dowodem, iż Diaspar przegrało. Wiele tysięcy jego mieszkańców schroniło się w Bankach Pamięci w nadziei, że kiedy się obudzą, kryzys już będzie zażegnany i zastaną Diaspar takim, jakie znali je dawniej.

O zajęcie jednego z wakujących w Radzie miejsc poproszono Jeseraca. Siedział teraz na jednym z końców stołu na miejscu, które miało kilka zalet. Mógł stąd nie tylko obserwować profile gości, ale również widzieć oblicza radców — z ich twarzy można było dużo wynioskować.

Nie ulegało już wątpliwości, że Alvin miał rację i Rada uświadamiała sobie z wolna tę niemiłą prawdę. Delegaci Lys potrafili myśleć o wiele szybciej od najświetniejszych umysłów z Diaspar. A nie była to ich jedyna przewaga, ponieważ w ich zachowaniu dostrzegało się niebywały stopień koordynacji, zawdzięczany, jak się domyślał Jeserac, ich zdolnościom telepatycznym. Ciekaw był, czy czytali myśli radców, po chwili jednak odrzucił to podejrzenie. Nie złamałoby przecież solennego przyrzeczenia, bez którego nie doszłoby do tego spotkania.

Jeserac zdawał sobie sprawę, że jak dotąd nie poczyniono żadnych postępów i nie spodziewał się, aby obrady doprowadziły do jakiegoś pozytywnego rezultatu. Rada, która ledwie przyjmowała do wiadomości fakt istnienia Lys, zdawała się nie uświadamiać sobie wagi tego, co się stało. Poza tym była wyraźnie przestraszona — i tak samo, jak się domyślał, przestraszeni byli goście, chociaż lepiej potrafili to ukryć.

Sam Jeserac nie bał się tak, jak się tego spodziewał; lęk wciąż go prześladował, ale potrafił teraz stawić mu czoło. Coś z lekkomyślności Alvina (a może była to odwaga?) zaczęło zmieniać jego pogląd na świat. Nie wierzył, aby kiedykolwiek był zdolny do ruszenia się na krok poza mury miasta, ale teraz rozumiał pobudki, jakie popchnęły do tego Alvina.

Pytanie Przewodniczącego zaskoczyło go, ale szybko odzyskał nad sobą panowanie.

— Sądzę — powiedział — że tylko przypadek sprawił, iż obecna sytuacja nie zaistniała wcześniej. Wiemy wszyscy, że Odmieńców było czternastu, a za ich tworzeniem musiał kryć się określony plan. Jego celem, jak przypuszczam, było niedopuszczenie do wiecznej separacji Lys i Diaspar. Alvin to rozumiał, ale zrobił jeszcze coś, czego według mnie na pewno nie zawierał pierwotny projekt. Czy Centralny Komputer może to potwierdzić?

Bezosobowy głos odpowiedział od razu:

— Radca orientuje się, iż nie wolno mi komentować instrukcji, które otrzymałem od konstruktorów. Jeserac przyjął ze spokojem tę łagodną naganę.

— Z jakiejś bliżej nie określonej przyczyny nie możemy rozważyć tych faktów. Alvin odleciał w kosmos. Gdy powróci, możecie mu uniemożliwić następne podobne wyprawy, chociaż osobiście wątpię, czy wam się to uda, bo do tego czasu na pewno dużo się nauczy. A jeśli dojdzie w końcu do tego, czego tak się wszyscy obawiacie, to nikt z nas nic na to nie może poradzić. Ziemia jest

całkowicie bezbronna — taka, jaka była przez miliony wieków.

Jeserac przerwał i popatrzył na twarze zebranych. Jego słowa nie zostały przyjęte z zadowoleniem, ale też nie oczekiwał tego.

— Nie widzę jednak powodu do niepokoju — ciągnął dalej. — Ziemia nie znajduje się teraz w większym niż kiedy indziej niebezpieczeństwie. Dlaczego dwaj ludzie w jednym małym statku mieliby ściągać na nas znowu gniew Najeźdźców? Bądźmy szczerzy i przyznajmy, że Najeźdźcy, gdyby tylko chcieli, mogli zniszczyć nasz świat już wieki temu.

Przewodniczący przerwał mu marszcząc brwi.

— Czyż legenda nie mówi, że Najeźdźcy oszczędzili Ziemię tylko pod warunkiem, że Człowiek nigdy więcej nie wyruszy w kosmos? A czyż nie złamaliśmy teraz tego warunku?

— Owszem, tak mówi legenda — powiedział Jeserac. — Akceptujemy bezkrytycznie wiele legend i ta jest jedną z nich. Nie ma jednak dowodu, że akurat ta jest prawdziwa. Trudno mi uwierzyć, aby coś o takim znaczeniu nie zostało zarejestrowane w pamięci Centralnego Komputera, bo on przecież nie wie nic o tym pakcie. Pytałem go, chociaż tylko za pośrednictwem maszyn informacyjnych. Rada może zapytać go o to bezpośrednio.

Jeserac skończył i czekał na odpowiedź Przewodniczącego. I nie doczekał się, gdyż właśnie w tym momencie goście z Lys zastygli nagle w swych fotelach, a ich twarze ściągnęły się w jednoczesnym grymasie niedowierzania i zaniepokojenia. Zdawali się nasłuchiwać jakiegoś odległego głosu wlewającego w ich uszy niezwykle wiadomości.

Radcy czekali na koniec tej bezgłośnej konwersacji z rosnącym z minuty na minutę niepokojem. Lider delegacji otrząsnął się wreszcie z transu i zwrócił przepaszająco do Przewodniczącego:

— Odebraliśmy właśnie jakieś dziwne i niepokojące wieści z Lys — powiedział.

— Czy Alvin wrócił na Ziemię? — spytał Przewodniczący Rady.

— Nie, to nie Alvin. To coś innego.

Łądując na polanie w Airlee, Alvin zastanawiał się, czy kiedykolwiek w dziejach ludzkości jakiś inny, powracający z kosmosu statek przywiózł na Ziemię równie niezwykle ładunek — o ile w ogóle Yanamond znajdował się w fizycznej przestrzeni maszyny. Podczas podróży nie dawał znaku istnienia; Hilvar twierdził, a czerpie swą wiedzę z bardziej bezpośrednich stosunków z tą fantastyczną istotą, że tylko o sferze percepcji Yanamonda powiedzieć można, iż zajmuje jakieś określone położenie w przestrzeni. Sam Yanamond nie znajdował się nigdzie — może nawet nigdy go nie było.

Gdy wynurzyli się ze śluzy powietrznej statku, czekała już na nich Seranis z pięcioma senatorami. Jednego z senatorów Alvin poznał podczas ostatniej wizyty; dwaj inni, uczestniczący w tamtym spotkaniu, przebywali teraz, jak się domyślał, w Diaspar. Ciekaw był, jak idzie delegacji i jak zareagowało miasto na pojawienie się pierwszych od tylu milionów lat intruzów z zewnątrz.

— Wygląda na to, Alwinie — powiedziała oziębłe Seranis przywitawszy się z synem — że masz szczególny dar odkrywania niezwykłych istot. Myślę jednak, że upłynie sporo czasu, zanim zdystansujesz swoje ostatnie osiągnięcie na tym polu.

— A więc Yanamond przybył?

— Tak, jest tu od wielu godzin. Zdołał wytropić jakoś trasę, którą przemierzyliście lecąc w tamtą stronę — wyczyn sam w sobie zdumiewający i wywołujący wiele problemów natury filozoficznej. Istnieje pewien dowód na to, iż dotarł on do Lys w tym samym momencie, kiedy go odkryliście, a więc potrafi przemieszczać się w przestrzeni z nieskończoną szybkością. Ale to nie wszystko. Przez ostatnie kilka godzin dowiedzieliśmy się od niego o takich faktach z naszej historii, których istnienia nawet nie podejrzewaliśmy.

Alvin patrzył na nią w osłupieniu. Potem zrozumiał; nietrudno było sobie wyobrazić, jakim szokiem dla tych ludzi o sprzężonych umysłach i wyostrej percepcji zmysłowej było pojawienie się Yanamonda. Zareagowali z zadziwiającą szybkością i nagle wyobraził sobie Yanamonda, może trochę przestraszonego, otoczonego najbystrzejszymi w Lys umysłami.

— Czy wiecie już, czym on jest? — spytał.

— Tak. To było proste, choć nadal nie wiemy, skąd pochodzi. Jest on czystym umysłem, a wiedza, jaką dysponuje, wydaje się nieograniczona. Ale jest dziecinny w dosłownym tego słowa znaczeniu.

— Naturalnie! — wykrzyknął Hilvar. — Powiniennem się tego domyślić.

Alvin wyglądał na zaintrygowanego i Seranis zrobiło się go żal.

— Chodzi mi o to, że chociaż Yanamond dysponuje kolosalnym, być może nieograniczonym umysłem, to jest on jeszcze niedojrzały i nie rozwinięty. Jego faktyczna inteligencja jest w tej chwili mniejsza od ludzkiej — uśmiechnęła się z przymusem — chociaż jego procesy myślowe przebiegają dużo szybciej i bardzo łatwo przyswajają sobie wiedzę. Dysponuje on także innymi możliwościami, których nie jesteśmy jeszcze w stanie zrozumieć. W sposób trudny do opisanja wydaje się otwarta przed jego umysłem cała przeszłość. Tę zdolność mógł właśnie wykorzystać przybywając po waszych śladach na Ziemię.

Alvin milczał. Teraz dopiero uświadomił sobie, jak słusznie postąpił Hilvar sprowadzając Yanamonda do Lys i jakie miał kiedyś szczęście on sam, wywodząc w pole Seranis; ten podstęp nie udałby mu się po raz drugi.

— Twierdzisz zatem, że Yanamond niedawno się narodził? — spytał.

— Posługując się jego standardami, tak. W rzeczywistości istnieje on już bardzo długo, chociaż na pewno krócej niż rasa ludzka. Najbardziej zaskakujące jest to, iż on z uporem twierdzi, że to my go powołaliśmy do istnienia i nie ulega wątpliwości, że z jego pochodzeniem wiążą się wszystkie największe tajemnice przeszłości.

— Gdzie jest teraz Yanamond? — spytał Hilvar.

— Wypytyują go historycy z Grevarn. Starają się ustalić ogólne zarysy przeszłości, ale ta praca zajmie im całe lata. Yanamond może opisać przeszłość ze wszystkimi szczegółami, ale nie rozumie tego, co widzi; bardzo trudno z nim współpracować.

Chodziło tu o coś, czego Alvin nigdy nie był w stanie w pełni pojąć: bezpośredni kontakt, nawet między ludzkimi umysłami, był dlań taką samą tajemnicą, jak muzyka dla głuchego czy barwa dla ślepego. Jednak ludzie z Lys wymieniali teraz myśli z tą niewyobrażalnie obcą istotą, którą sprowadził na Ziemię, ale której nigdy by sam nie wykrył żadnym z posiadanych zmysłów.

Nie tu było jego miejsce; po zakończeniu przesłuchania dowie się o jego wynikach. Otworzył bramy nieskończoności i przestraszył się teraz tego, co uczynił. Dla spokoju sumienia musi wrócić do maleńkiego znajomego światka Diaspar, które szukało schronienia, podczas gdy on brał się za bary ze swymi marzeniami i ambicjami. Jakaż tkwiła w tym ironia; ten, który porzucił miasto, aby ryzykować życie wśród gwiazd, wraca teraz do domu jak przestraszone dziecko uciekające w popłochu pod opiekę matki.

Rozdział 23

Diaspar nie było zbyt zadowolone z powrotu Alvina. W mieście wrzało jak w mrowisku, w które nagle wsadzono kij. Mieszkańcy wciąż nie chcieli pogodzić się z rzeczywistością, ale ci, którzy wzbraniali się przed uznaniem istnienia Lys i świata zewnętrznego, nie mieli się już gdzie ukryć. Banki Pamięci przestały ich przyjmować. Nie skutkowały żadne apele do Centralnego Komputera, który nie wyjaśniał motywów swojego postępowania. Niedoszli uciekinierzy musieli wracać do miasta i stawić czoło problemom swego stulecia.

Alvin wylądował na skraju Parku, niedaleko Gmachu Rady. Aż do ostatniej chwili nie był pewien, czy potrafi wprowadzić statek do miasta przez ekrany, które oddzielały je prawdopodobnie od świata zewnętrznego. Niebo Diaspar, tak samo zresztą jak wszystko w tym mieście, było tworem sztucznym lub przynajmniej częściowo sztucznym. Noc z gwiazdnymi pozostałościami wszystkiego, co utracił Człowiek, nie była do miasta dopuszczana; ekrany chroniły je też przed burzami, które szalały czasami nad pustynią, zakrywając niebo ruchomymi ścianami piasku.

Niewidoczni strażnicy przepuścili jednak Alvina i gdy zobaczył w dole Diaspar, wiedział, że jest w domu. Niezależnie od tego, jak wzywał go wszechświat i jego tajemnice, tu się urodził i do tego miejsca należał. Nigdy go nie satysfakcjonowało, ale zawsze by tu powrócił.

Zanim jeszcze statek wylądował, w Parku zebrały się tłumy i Alvin zastanawiał się z niepokojem, jak przyjmą go mieszkańcy miasta. Dość łatwo czytał w ich twarzach, oglądając na ekranie otoczenie przed otworzeniem śluzy powietrznej. Dominującą emocją zdawała się ciekawość — sama w sobie będąca w Diaspar czymś niezwykłym. Mieszała się z nią obawa, tu i ówdzie niezaprzeczone oznaki strachu. Alvin pomyślał ze smutkiem, że nikt nie wydaje się zadowolony z jego powrotu.

Mimo to Rada przyjęła go pozytywnie. Chociaż to właśnie on był sprawcą obecnego kryzysu, to tylko on mógł podać fakty, na których opierać się będzie przyszła linia postępowania. Z głęboką uwagą wysłuchano jego relacji z lotu do Siedmiu Słońc i spotkania z Yanamondem. Potem odpowiadał na liczne pytania, okazując cierpliwość, która dziwiła wielce pytających. Jak się szybko zorientował, ich umysły opanowane były strachem przed Najeźdźcami, chociaż nie wymienili ani razu tej nazwy i nie byli zbyt zachwyceni, gdy bezpośrednio poruszył ten temat.

— Gdyby Najeźdźcy istnieli jeszcze we wszechświecie — mówił Alvin — to na pewno spotkałbym ich w samym jego środku. Ale wśród Siedmiu Słońc nie ma inteligentnego życia; domyśliliśmy się tego sami, zanim Yanamond potwierdził nasze przypuszczenia. Sądzę, że Najeźdźcy odeszli wieki temu; przynajmniej Yanamond, który wydaje się równie stary jak Diaspar, nic o nich nie wie.

— Chciałem zauważyć — wtrącił nagle jeden z radców — że Yanamond w jakimś stopniu, którego jeszcze sobie nie uświadamiamy, może być potomkiem Najeźdźców. Nie pamięta swego pochodzenia, ale nie oznacza to, że pewnego dnia nie może znów stać się dla nas niebezpieczny.

Hilvar, który brał udział w zebraniu w charakterze widza, nie czekał na udzielenie mu głosu. Alvin po raz pierwszy widział przyjaciela tak wzburzonego.

— Yanamond wszedł w mój umysł — powiedział — a i ja wejrzałem na krótko w jego. Moi ludzie dużo już o nim wiedzą, chociaż nie odkryli jeszcze, kim jest. Ale jedno jest pewne — Yanamond jest nam przyjazny i bardzo się ucieszył ze spotkania z nami. Z jego strony nie mamy się czego obawiać.

Po tym wybuchu zapadła krótka chwila milczenia, a Hilvar zmieszał się i na jego twarzy odmalował się wyraz zakłopotania. Dało się zauważyć, że od tej chwili napięcie panujące dotąd w Sali Rady zaczęło powoli opadać, jakby z dusz obecnych uniosła się jakaś chmura. Przewodniczący

nie upomniął nawet Hilvara za zabranie głosu bez przyzwolenia.

Przysłuchując się debacie, Alvin wyróżniał wyraźnie trzy szkoły myślenia reprezentowane w łonie Rady. Konserwatyści, stanowiący mniejszość, wciąż żywili nadzieję, że uda się jeszcze cofnąć wskazówki zegara i przywrócić stary porządek. Wbrew zdrowemu rozsądkowi trzymali się kurczowo tezy, że Diaspar i Lys można skłonić do ponownego zapomnienia o sobie.

Postępowcy stanowili również mniejszość; fakt, że w ogóle znaleźli się tacy w Radzie, mile zaskoczył Alvina. Prawdę mówiąc, nie przyjęli oni z radością inwazji świata zewnętrznego, ale byli zdecydowani jak najwłaściwiej ją wykorzystać. Niektórzy z nich posuwali się aż do sugestii, że może istnieć sposób przełamania barier psychologicznych, które tak długo, jeszcze skuteczniej od barier fizycznych, odcinały Diaspar od świata.

Większość członków Rady, odbijająca dokładnie nastroje panujące w mieście, przyjęła postawę czujnej ostrożności w oczekiwaniu na zarysowanie się kształtu przyszłości. Zdawali sobie sprawę, że póki nie ucichnie burza, poty nie ma sensu snuć żadnych planów ani starać się wprowadzać określonej linii postępowania.

Po zakończeniu sesji Jeserac podszedł do Alvina i Hilvara. Zdawał się odmieniony od czasu ostatniego spotkania z Alvinem — i ostatniego rozstania — w Wieży Loranne, w bezpośredniej bliskości roztaczającej się w dole pustyni. Zmiana nie była taka, jakiej spodziewał się Alvin, ale z podobną metamorfozą postaw miał się spotykać w nadchodzących dniach coraz częściej.

Jeserac zdawał się odmłodnieć, jakby ognie życia znalazły w jego żyłach świeże paliwo i płonęły teraz jaśniej. Pomimo podeszłego wieku należał do tych, którzy mogą podjąć wyzwanie rzucone Diaspar przez Alvina.

— Mam dla ciebie wieści, Alvinie — powiedział. — Znasz chyba senatora Gerane?

— Oczywiście — był jednym z pierwszych ludzi, jakich spotkałem w Lys. Czy wchodzi w skład ich delegacji?

— Tak, poznaliśmy się dosyć dobrze. Jest bardzo inteligentnym człowiekiem i rozumie psychikę ludzką lepiej, niż kiedykolwiek sądziłem, że jest to możliwe — chociaż mówił mi, że jak na warunki panujące w Lys, jest bardzo początkujący. Podczas swego tutaj pobytu zainicjował coś, co będzie bardzo bliskie twemu sercu. Ma nadzieję zanalizować bodziec, który nie pozwala nam opuszczać miasta, i wierzy, że kiedy odkryje, jak został wprowadzony, będzie w stanie go usunąć. Dwudziestu z nas już z nim współpracuje.

— I ty jesteś jednym z nich?

— Tak — odparł Jeserac rumieniąc się lekko. — To nie jest łatwe i na pewno nie sprawia przyjemności — ale cel jest kuszący.

— A co właściwie robi Gerane?

— Oddziałuje na nas poprzez Sagi. Wyreżyserował ich wiele i bada nasze reakcje, gdy je przeżywamy. Nigdy nie myślałem, że w moim wieku wrócę znowu do zabaw dzieciństwa.

— Co to są Sagi? — spytał Hilvar.

— Wyimaginowane światy marzeń — wyjaśnił Alvin. — Przynajmniej większość z nich jest wyimaginowana, chociaż niektóre opierają się prawdopodobnie na faktach historycznych. W komórkach pamięci miasta zarejestrowane są ich miliony; możesz sobie wybrać jakikolwiek rodzaj przygody czy doświadczenia i po wprowadzeniu do twego umysłu odpowiednich impulsów będzie ci się wydawało, że przeżywasz je naprawdę. — Zwrócił się do Jeseraca: — Jakie Sagi wprowadził wam Gerane?

— Większość z nich wiąże się, jak się pewnie domyślasz, z opuszczeniem Diaspar. Niektóre przenoszą nas z powrotem do naszych najwcześniejszych wcieleń, tak blisko czasów założenia

miasta, jak to tylko możliwe. Gerane sądzi, że im bardziej zbliży się do chwili wprowadzenia tego bodźca, tym łatwiej będzie mu go usunąć.

Ta wiadomość dodała Alwinowi pewności siebie i ucieszyła go. Jego sukces byłby połowiczny, gdyby otworzył bramy miasta — po to tylko, aby stwierdzić, że nikt przez nie nie przejdzie...

— Naprawdę chcecie pozbyć się lęku przed opuszczeniem Diaspar? — spytał przenikliwie Hilvar.

— Nie — odparł bez wahania Jeserac. — Jestem przerażony tym pomysłem, ale zdaję sobie sprawę, że myliliśmy się całkowicie uważając, że Diaspar jest pępkiem świata i logika mówi mi, że trzeba coś zrobić dla naprawienia tego błędu. Emocjonalnie wciąż nie jestem zdolny do opuszczenia miasta; może już na zawsze taki pozostanę. Gerane chce zabrać niektórych z nas do Lys i pragnę mu pomóc w tym eksperymencie — chociaż z drugiej strony mam nadzieję, że się nie powiedzie.

Alvin spojrział na swego starego nauczyciela z nowym uznaniem. Ciekaw był, jak całkowite przełamanie tej bariery wpłynie na Lys i na Diaspar. Trzeba było w jakiś sposób zachować najlepsze elementy obu ośrodków i spoić je w nową, zdrowszą kulturę. To było gigantyczne zadanie i do jego wykonania potrzebna będzie cała mądrość i cierpliwość, na jakie potrafi się zdobyć ludzkość.

Hilvar z kolei ciekaw był, co stanie się z Diaspar, gdy skończy się jego długa izolacja. Najlepszym wyjściem, na jakie mogłoby się zdobyć miasto, było zniszczenie Banków Pamięci, które utrzymywały je w nie zmienionym stanie przez tyle wieków. Chociaż były takie cudowne — stanowiąc być może największy triumf nauki, która je stworzyła, były jednak wytworem chorej kultury prześladowanej wieloma lękami. Niektóre z tych lęków znajdowały uzasadnienie w rzeczywistości, ale inne, jak się teraz wydawało, opierały się wyłącznie na imaginacji. Hilvar znał już zarysy historii wyłaniającej się z umysłu Yanamonda. Za kilka dni pozna je i Diaspar — i dowie się, jak wiele z przeszłości było tylko mitem.

Gdyby jednak zniszczono Banki Pamięci, za tysiąc lat miasto byłoby martwe, ponieważ jego mieszkańcy straciliby możliwość odtwarzania się. Był to dylemat, z którym należało się liczyć, ale Hilvar miał już jedno możliwe do przyjęcia rozwiązanie. Na każdy problem natury technicznej istniała odpowiedź, a jego ludzie byli mistrzami nauk biologicznych.

Najpierw jednak miasto musiałoby się nauczyć tego, co zapomniało. Edukacja taka zajęłaby wiele lat — może nawet wiele wieków. Ale to był dopiero początek; niebawem szok pierwszej lekcji wstrząśnie Diaspar tak głęboko, jak obecny kontakt z Lys.

Wstrząśnie on również Lys. Pomimo wszystkich różnic dzielących obie kultury wyrosły one z jednego pnia — i dzieliły te same złudzenia. Wyjdzie im na zdrowie, jeśli jeszcze raz spojrzą w zapomnianą przeszłość.

Rozdział 24

Amfiteatr, który wzniesiono specjalnie na tę okazję, mieścił całą populację Diaspar i wypełniony był do ostatniego ze swych dziesięciu milionów miejsc. Patrząc na wygiętą w kształcie łuku widownię ze swego miejsca na szczycie trybun, Alvin przypominał sobie Shalmirane. Te dwa kratery miały podobny kształt i były niemal tej samej wielkości.

Była jednak między nimi zasadnicza różnica. Wielka niecka Shalmirane istniała naprawdę; ten amfiteatr był tylko fantomem, matrycą ładunków elektrycznych, przechowywaną do tej pory w pamięci Centralnego Komputera. Alvin wiedział, że w rzeczywistości znajduje się wciąż w swoim pokoju i że ludzie, którzy zdawali się go otaczać, również pozostawali w swoich domach.

Rzadziej niż raz na tysiąc lat życie miasta zamierało, aby jego mieszkańcy mogli spotkać się na Wielkim Zgromadzeniu. Również w Lys, Alvin wiedział o tym, odbywało się coś równoważnego z tym zebraniem. Tam było to spotkanie umysłów.

Rozpoznawał większość otaczających go twarzy. Ponad milę od niego, tysiąc stóp w dół, ustawione było małe podium, na którym skupiała się teraz uwaga całego świata. Trudno było uwierzyć, że można coś zobaczyć z takiej odległości, ale Alvin był przekonany, że kiedy rozpocznie się przemówienie, będzie widział i słyszał wszystko tak wyraźnie jak każdy w Diaspar.

Podium zasnute było mgłą. Mgła przybrała postać Callitraxa, przewodniczącego grupy, której zadaniem było zrekonstruowanie przeszłości z informacji dostarczonych na Ziemię przez Yanamonda. Było to przedsięwzięcie ogromne i prawie niewykonalne i to nie tylko z uwagi na wchodzący w grę przedział czasu. Tylko raz, przy pomocy Hilvara, wejrzał Alvin w umysł dziwnej istoty, którą wspólnie odkryli — lub która odkryła ich. Myśli Yanamonda były dla Alvina tak niezrozumiałe, jak tysiąc głosów krzyczących jednocześnie w jakiejś wielkiej jaskini, zniekształconych do tego odbijającym się od jej ścian echem. Ludzie z Lys potrafili je jednak rozwikłać, potrafili je zarejestrować i zinterpretować. To co odkryli, głosiła plotka, której Hilvar ani nie zaprzeczał, ani jej nie potwierdzał, było tak dziwne, że niewiele przypominało historię, jaką cała rasa ludzka uważała od miliardów lat za swoją.

Callitrax zaczął mówić. Streścił pokrótce akceptowane dotąd dzieje ludzkości. Mówił o nieznanym ludzkości Cywilizacji Zarania, po których nie pozostało nic prócz sławnych nazw i spłowiałych legend o Imperium. Od samego początku Człowiek pożądał gwiazd — i w końcu ich dosięgnął. Przez miliony lat penetrował Galaktykę obejmując we władanie układ po układzie. Potem, z ciemności, spoza krawędzi wszechświata, uderzyli Najeźdźcy i wydarli mu wszystko, co zdobył.

Odwrót od Układu Słonecznego musiał być gorzki i trwał na pewno wiele wieków. Z legendarnych bitew szalejących wokół Shalmirane ledwo ocalała sama Ziemia. Kiedy się skończyły, Człowiek pozostał tylko ze swymi wspomnieniami i światem, na którym się narodził.

Od tej chwili wszystko było długim pasmem upadku. Jak na ironię, rasa, która chciała władać wszechświatem, rozdzieliła się na dwie izolowane kultury Lys i Diaspar — oazy życia wśród pustyni, która dzieliła je tak samo, jak międzygwiazdna otchłań.

Callitrax przerwał; Alwinowi, tak jak każdemu obecnemu na Wielkim Zgromadzeniu, wydawało się, że historyk patrzy właśnie na niego oczyma widzzącymi rzeczy, którym jeszcze teraz niezupełnie daje wiarę.

— I to tyle — powiedział Callitrax — jeśli chodzi o opowieści, w które wierzone dotychczas. Muszę wam teraz powiedzieć, że są one nieprawdziwe — nieprawdziwe w każdym szczególe — tak nieprawdziwe, że nawet teraz nie w pełni pogodziliśmy się z prawdą.

Odczekał, aż zebrani pojną w pełni znaczenie jego słów. Potem, mówiąc wolno i wyraźnie,

przekazał Lys i Diaspar wiedzę zaczerpniętą z umysłu Yanamonda.

Nie było prawdą, że Człowiek sięgnął do gwiazd. Całe jego małe imperium ograniczało się do orbit Plutona i Persefony, ponieważ przestrzeń międzygwiazdowa stanowiła dlań barierę nie do przebycia. Cała cywilizacja ludzka kłębiła się wciąż wokół Słońca i była jeszcze bardzo młoda, kiedy dosięgnęły jej gwiazdy.

Szok musiał być wstrząsający. Pomimo ciągłych niepowodzeń Człowiek nigdy nie wątpił, że pewnego dnia podbije otchłanie kosmosu. Wierzył też, że jeśli nawet wszechświat zamieszkują równi jemu, to nie ma w nim ras przewyższających go pod jakimkolwiek względem. I nagle dowiedział się, że oba przekonania były mylne i że wśród gwiazd istnieją umysły daleko bardziej rozwinięte niż jego. Przez wiele wieków, najpierw w statkach innych ras, potem w maszynach zbudowanych na podstawie zapożyczonej wiedzy, Człowiek badał Galaktykę. Wszędzie natykał się na kultury, które potrafił zrozumieć, ale nie potrafił się do nich dostosować, a czasami spotykał umysły, których w ogóle nie potrafił pojąć.

Szok był straszliwy, ale przyczynił się do rozwoju rasy. Smutniejszy, ale nieskończenie mądrzejszy powrócił Człowiek do Układu Słonecznego, aby rozwinąć wiedzę, którą uzyskał. Przyjął wyzwanie i powoli realizował swój plan, który dawał nadzieję na przyszłość.

Dawniej największym zainteresowaniem darzył Człowiek nauki fizyczne. Teraz z jeszcze większym zapałem zwrócił się ku genetyce i badaniom umysłu. Nie licząc się z kosztami wzniósł się do granic ewolucji.

Ten wielki eksperyment pochłaniał przez miliony lat całą energię rasy. Wszystkie te wysiłki, wszystkie poświęcenia stały się tylko garścią słów w narracji Callitraxa. Przyniosły Człowiekowi największe zwycięstwa: zwalczył dzięki nim chorobę; jeśli chciał, mógł żyć wiecznie, a opanowując telepatię, nagiął do swej woli najpotężniejszą z sił.

Zależny tylko od siebie samego, był gotów do ponownego wyruszenia na podbój ogromnych przestrzeni Galaktyki. Spotkał się jak równy z rasami ze światów, od których się kiedyś odwrócił, i zaczął odgrywać pełną rolę w dziejach wszechświata.

Dokonał tego. Z tego właśnie okresu, być może najobszerniejszego w historii ludzkości, pochodzą legendy o Imperium. Było to Imperium wielu ras, ale zapomniano o tym w dramacie, w którym znalazło ono swój koniec.

Imperium trwało co najmniej miliard lat. Musiało przeżywać kryzysy, może nawet wojny, ale wszystko to zaginęło w pochodzie wielkich ras zmierzających ku dojrzałości.

— Możemy być dumni — ciągnął Callitrax — z roli, jaką odegrali w tej historii nasi przodkowie. Osiągnąwszy wyżyny kultury nie zaniechali żadnej ze swych inicjatyw. Tutaj mamy raczej do czynienia z domysłami niż udowodnionymi faktami, ale wydaje się pewne, że eksperymenty, które przyczyniły się zarówno do początku końca Imperium, jak i do ukoronowania jego chwały, zostały zainspirowane przez Człowieka i prowadzone były pod jego kierunkiem.

Filozofia leżąca u podstaw tych eksperymentów była przypuszczalnie następująca:

Kontakt z przedstawicielami innych ras wykazał Człowiekowi, jak bardzo obraz świata odbierany przez daną rasę zależy od jej postaci fizycznej i organów zmysłowych, w które jest wyposażona. Dowiedziono, że jeśli w ogóle możliwe jest pojmowanie wszechświata, jakim jest on w rzeczywistości, to dokonać tego może tylko umysł całkowicie uwolniony od wszelkich ograniczeń fizycznych — czysty umysł. Przekonanie to było powszechne wśród wielu starożytnych wierzeń religijnych, jakie rozwinęły się na Ziemi, i zadziwiające jest, że idea nie mająca żadnych racjonalnych podstaw, stała się w końcu jednym z największych celów nauki.

W naturalnym wszechświecie nie napotymano nigdy żadnej pozbawionej ciała inteligencji;

Imperium postanowiło taką stworzyć. Tak jak wiele innych rzeczy, w zapomnienie poszła już wiedza, która czyniła to możliwym. Naukowcy Imperium ujarzмили wszystkie siły Natury, zgłębili wszystkie tajemnice czasu i przestrzeni. Tak jak nasze umysły są produktem ubocznym niezwykle skomplikowanego systemu komórek mózgu połączonych ze sobą siecią układu nerwowego, tak oni usiłowali stworzyć mózg, którego elementy nie byłyby materialne, ale stanowiły matrycę nałożoną na samą przestrzeń. Taki mózg, jeśli w ogóle można go nazwać mózgiem, żywiłby się energią pola elektromagnetycznego, czy jeszcze potężniejszymi siłami, i byłby całkowicie uwolniony spod tyranii materii. Mógłby funkcjonować z daleko większą szybkością niż jakakolwiek inteligencja na podłożu organicznym; mógłby przetrwać tak długo, jak długo we wszechświecie pozostanie choć erg energii, a jego możliwości byłyby nieograniczone. Raz stworzony, rozwijałby wciąż swą potęgę, której ostatecznych rozmiarów nie byli w stanie przewidzieć nawet jego twórcy.

Człowiek zaproponował stworzenie takich istot, w wielkiej mierze na skutek doświadczeń zebranych podczas własnej regeneracji. Było to największe wyzwanie rzucone kiedykolwiek inteligencji zamieszkującej wszechświat i po wiekach dyskusji podjęto je. Do realizacji tego zadania przystąpiły wszystkie rasy Galaktyki.

Wcielenie marzeń w rzeczywistość zajęło ponad milion lat. Cywilizacje rodziły się i upadały, kilkakrotnie marnotrawiono wiekowy dorobek światów, ale o tym celu nigdy nie zapomniano. Być może poznamy kiedyś pełną historię tego największego w dziejach, nieprzerwanego wysiłku. Dzisiaj wiemy tylko, że doprowadził on do katastrofy, która omal nie zniszczyła całej Galaktyki.

W ten okres dziejów zmysł Yanamonda wzbrania się wgłębiać. Istnieje wąski przedział czasu, który jest dlań zablokowany, ale wydaje nam się, że tylko na skutek jego własnych lęków. Na początku tego kresu widzimy Imperium u szczytu potęgi i chwały, oczekujące z niecierpliwością zbliżającego się sukcesu. Na końcu, zaledwie kilka tysięcy lat później, Imperium jest już zgruchotane, a gwiazdy świecą słabiej, jakby wyczerpały swą energię. Nad Galaktyką rozsnuty jest całun strachu, strachu, z którym wiąże się nazwa: Szalony Umysł.

Nietrudno się domyślić, co się wydarzyło w tym krótkim okresie. Stworzona została czysta inteligencja, ale była albo szalona, albo, co wynika z pewnych przesłanek i jest bardziej prawdopodobne, nieubłaganie wroga wobec materii. Pustoszyła przez wieki wszechświat, dopóki nie dostała się pod kontrolę sił, których istoty nie potrafimy odgadnąć. Jakiegokolwiek broni użyło Imperium w tej krytycznej sytuacji, wyczerpała ona zasoby energii gwiazd; ze wspomnień o tym konflikcie wykluły się niektóre, chociaż nie wszystkie z legend o Najeźdźcach. Ale o tym jeszcze powiem.

Szalonego Umysłu nie można było zniszczyć, bo był nieśmiertelny. Wyparto go na skraj Galaktyki i uwięziono tam, uciekając się do sposobu, którego nie jesteśmy w stanie pojąć. Jego więzieniem stała się dziwna, sztuczna gwiazda zwana Czarnym Słońcem i tam pozostaje on po dziś dzień. Kiedy Czarne Słońce umrze, będzie znowu wolny. Ile czasu dzieli nas jeszcze od tego dnia, nie sposób przewidzieć.

Callitrax zamilkł, jak gdyby zagubił się we własnych myślach, niepomny faktu, iż patrzą nań oczy całego świata. W ciszy, która zaległa, Alvin rozejrzał się po twarzach stłoczonej wokół niego ciżby, starając się odczytać z nich, jak przyjęto tę nową rewelację i wieść o nowym zagrożeniu, które musi teraz zastąpić mit o Najeźdźcach. Twarze mieszkańców Diaspar zastygły w większości w wyrazie niedowierzania; wciąż nie chcieli odrzucić swej fałszywej przeszłości i nie potrafili zaakceptować jeszcze dziwniejszej rzeczywistości, która miała zająć jej miejsce.

Callitrax zaczął mówić znowu, opisując cichym, opanowanym głosem ostatnie dni Imperium. Słuchając jego słów, Alvin uświadomił sobie nagle, że był to okres, w którym chciałby żyć. Był to

czas przygody i wspaniałej, niepokromionej odwagi — odwagi, która wyrwała zwycięstwo ze szczęk klęski.

— Chociaż Galaktyka spustoszona została przez Szalony Umysł — ciągnął Callitrax — potencjał Imperium był nadal ogromny, a jego duch nie złamany. Z odwagą, którą możemy tylko podziwiać, podjęto na nowo wielki eksperyment i poszukiwano błędu, który doprowadził do katastrofy. Wielu sprzeciwiało się teraz, oczywiście, prowadzeniu tych prac, przepowiadając kolejne klęski, ale nie zważano na nich. Przedsięwzięcie postępowało naprzód i dzięki zdobytej w tak przykry sposób wiedzy tym razem się powiodło.

Nowa rasa, która się narodziła, dysponowała potencjalnym intelektem, którego nie sposób było sobie nawet wyobrazić. Był to jednak intelekt całkowicie infantylny; nie wiemy, czy leżało to w założeniach twórców, ale wydaje się prawdopodobne, iż wiedzieli, że będzie to nieuniknione. Trzeba było milionów lat, zanim osiągnie dojrzałość, i nie można było zrobić nic, aby przyspieszyć ten proces. Pierwszym z tych umysłów był właśnie Yanamond; gdzieś w Galaktyce muszą istnieć jeszcze inne, ale sądzimy, iż stworzono ich bardzo niewiele, ponieważ Yanamond nigdy nie napotkał żadnego z siebie podobnych.

Stworzenie czystych umysłów było największym osiągnięciem Cywilizacji Galaktycznej; Człowiek odgrywał w tym przedsięwzięciu poważną, być może dominującą rolę. Brak tu jakichkolwiek wzmianek o samej Ziemi, ponieważ jej historia jest cieniutką niteczką w ogromnym gobelinie. Nasza planeta, zawsze cierpiąca na odpływ najbardziej żądnych przygód duchów, stawała się nieuchronnie coraz bardziej konserwatywna i w końcu przeciwstawiła się naukowcom, którzy stworzyli Yanamonda. Nie wpłynęło to na pewno w najmniejszym stopniu na ostatni akt całej historii.

Zadanie, jakie postawiło przed sobą Imperium, zostało wykonane; ludzie tych czasów patrzyli w koło na gwiazdy, które zdewastowali w swej desperackiej walce o przetrwanie, i podjęli decyzję. Pozostawiają wszechświat Yanamondowi.

I tu natykamy się na tajemnicę — tajemnicę, której chyba nigdy nie wyjaśnimy, ponieważ Yanamond nie potrafi nam pomóc. Wiemy tylko, że Imperium nawiązało kontakt z czymś bardzo dziwnym i bardzo wielkim, sygnalizującym swą obecność gdzieś spoza krzywizny kosmosu, z drugiego końca samej przestrzeni. Co to było, możemy się tylko domyślać, ale wezwanie stamtąd musiało nosić w sobie wielkie ponaglenie i ogromną obietnicę. Niedługo potem przodkowie nasi i sprzymierzone z nimi rasy wyruszyli w podróż, w którą nie możemy za nimi podążyć. Umysł Yanamonda wydaje się ograniczony do tej Galaktyki, ale obserwowaliśmy za jego pośrednictwem początki tej wielkiej i tajemniczej przygody. Oto obraz, który zrekonstruowaliśmy; cofnijcie się teraz w przeszłość o ponad miliard lat...

"Obracająca się wolno spirala Galaktyki — blade widmo jej minionej chwały — unosiła się w nicości. Przez całą jej długość biegły wielkie, puste bruzdy, które wyorał Szalony Umysł — rany, które z upływem nadchodzących wieków zabliznią się dryfującymi gwiazdami. Ale gwiazdy te nigdy nie przywrócą jej świetności, która przeminęła.

Człowiek szykował się do opuszczenia swego wszechświata, tak jak kiedyś opuszczał swój świat. I to nie tylko Człowiek, ale i tysiące innych ras, które wraz z nim budowały Imperium. Zebrali się razem tutaj, na skraju Galaktyki.

Zgromadzili flotę, przed którą kapitulowała wyobraźnia. Jej statkami flagowymi były gwiazdy, mniejszymi jednostkami planety. Całe to skupisko globów z wszystkimi jego układami słonecznymi i wszystkimi rojącymi się światami szykowało się do skoku przez nieskończoność.

Długi warkocz ognia smagnał serce wszechświata, przeskakując od gwiazdy do gwiazdy. W jednej chwili umarło tysiąc słońc, zasilając swą energią monstrualny kształt, który przedarł się przez

Galaktykę wzdłuż jej osi i oddalając zniknął w otchłani...

I tak Imperium opuściło wszechświat, ruszając na spotkanie swego przeznaczenia. Kiedy jego spadkobiercy, czyste umysły, osiągną dojrzałość, powróci być może znowu. Ale ten dzień na pewno jest jeszcze odległy".

— To jest w najkrótszym i najzwięźlejszym zarysie historia Cywilizacji Galaktycznej. Nasze własne dzieje, które wydają nam się tak ważne, są niczym więcej, jak spóźnionym, zupełnie pospolitym epilogiem, tak jednak zagmatwanym, że nie byliśmy w stanie wyjaśnić wszystkich jego szczegółów. Wygląda na to, że wiele starszych, mniej odważnych ras, nie chciało opuścić swych domów; wśród nich byli nasi bezpośredni przodkowie. Większość z tych ras zdegenerowała się już do tego czasu lub wymarła, chociaż niektóre mogły jeszcze przetrwać. Nasz świat ledwie uniknął tego samego losu. Podczas Wieków Przejściowych — które w rzeczywistości trwały miliony lat — zagubiono wiedzę o przeszłości albo celowo ją zniszczono. To ostatnie, chociaż trudno w to uwierzyć, jest bardziej prawdopodobne. Przez wieki Człowiek pogrążył się w przesądym, choć wciąż naukowym barbarzyństwie, zniekształcając jednocześnie historię, aby usunąć z niej ślady swej nieudolności i tchórzostwa. Legendy o Najeźdźcach są z gruntu fałszywe, chociaż niewątpliwie wniosły coś do nich zmagania z Szalonym Umysłem. Nic nie zepchnęło naszych przodków z powrotem na Ziemię, z wyjątkiem słabości ich własnego ducha.

Kiedy to odkryliśmy, zastanowił nas szczególnie jeden problem związany z Lys. Bitwa o Shalmirane nigdy nie miała miejsca — jednak Shalmirane istniało i istnieje po dziś dzień. Co więcej, stanowiło niegdyś jedną z najpotężniejszych broni zagłady, jaką kiedykolwiek zbudowano.

Rozwiązanie tej zagadki zajęło nam sporo czasu, ale odpowiedź, kiedy ją już znaleźliśmy, okazała się bardzo prosta. Dawno temu nasza Ziemia posiadała jedyne gigantyczne satelity — Księżyc. Kiedy w wyniku zmagania między siłami przyptywów i grawitacji Księżyc zaczął w końcu spadać na Ziemię, wystąpiła konieczność zniszczenia go. W tym celu wzniesiono Shalmirane i właśnie wokół jej wykorzystania osnute są legendy, które znacie wszyscy.

Callitrax uśmiechnął się ze smutkiem do swej ogromnej widowni.

— O naszej przeszłości istnieje wiele takich legend, częściowo prawdziwych, częściowo fałszywych. Dużo też jest w niej paradoksów, które jeszcze nie zostały wyjaśnione. Ten problem jest, jak sądzę, natury bardziej psychologicznej niż historycznej. Nie można bezgranicznie ufać nawet danym zmagazynowanym w pamięci Centralnego Komputera, gdyż noszą one wyraźnie znamiona manipulowania nimi w bardzo odległej przeszłości.

Na Ziemi tylko Diaspar i Lys przetrwały okres upadku — Diaspar dzięki perfekcji swych maszyn, Lys zawdzięczając to częściowej izolacji i niezwykłemu potencjałowi intelektualnemu swoich mieszkańców. Ale obie kultury, chociaż potrafiły się wspiąć z powrotem na poprzedni szczebel cywilizacji, były zniekształcone przez lęki i mity, jakie przypadły im w spadku po przodkach.

Te lęki nie muszą już was nawiedzać. Moim obowiązkiem, jako historyka, nie jest przepowiadanie przyszłości, lecz obserwacja i interpretacja przeszłości, ale ta lekcja jest wystarczająco jasna; zbyt długo żyliśmy bez kontaktu z rzeczywistością i teraz nadszedł czas, żeby przebudować nasze życie.

Rozdział 25

Zdumiony Jeserac kroczył w milczeniu ulicami Diaspar, którego dotąd nie widział. Tak różne było ono od miasta, gdzie spędził wszystkie swoje wcielenia, że wcale go nie poznawał. Wiedział jednak, że to jest Diaspar, chociaż nie miał pojęcia skąd.

Uliczki były wąskie, budynki niższe i nie było Parku. A raczej jeszcze nie istniał. To było Diaspar przed przebudową, Diaspar otwarte na świat i wszechświat. Niebo nad miastem było bladobłękitne i nakrapiane postrzępionymi kłaczkami chmur popychanych wiatrem wiejącym nad młodszą Ziemią.

Ponad i pod tymi obłokami przelatywali solidniejsi podniebni podróżnicy. Mile nad miastem przemykały statki powietrzne łączące Diaspar z całym światem. Jeserac przyglądał się przez dłuższy czas tajemnicy i cudowi otwartych przestworzy i w pewnej chwili o jego duszę otarł się strach. Czuł się nagi i bezbronny, uświadamiając sobie, że ta spokojna niebieska kopuła nad jego głową nie jest już najcieńszą ze skorup — że poza nią leży, ze wszystkimi swymi tajemnicami i zagrożeniami, niezmierny kosmos.

Lęk nie był na tyle silny, aby sparaliżować jego wolę. Częścią swego mózgu Jeserac domyślał się, że całe to doświadczenie jest snem, a we śnie nie może mu się przytrafić nic złego. Przejdzie przezeń kosztując wszystkiego, co mu przyniesie, dopóki nie obudzi się znów w mieście, które znał.

Szedł w stronę serca Diaspar, w kierunku miejsca, gdzie w jego czasach stał Grobowiec Yarłana Zeya. W tym starożytnym mieście miejsce Grobowca zajmował niski, okrągły budynek z wieloma łukowato sklepionymi wejściami prowadzącymi do jego wnętrza. Przy jednym z tych wejść czekał na niego jakiś mężczyzna.

Jeserac powinien poczuć się zaskoczony, ale w tej chwili nic go nie mogło zadziwić. Wydawało się naturalne i oczywiste, że powinien teraz stanąć oko w oko z człowiekiem, który zbudował Diaspar.

— Sądzę, że mnie poznajesz — zagadnął Yarlan Zey.

— Oczywiście, tysiące razy widziałem twój pomnik. Jesteś Yarlanem Zeyem, a to jest Diaspar takie, jakim było miliard lat temu. Wiem, że śnię i że żaden z nas nie jest tu naprawdę.

— Nie musisz się więc niczego obawiać. Chodź ze mną i pamiętaj, że nie może ci się tu stać krzywda, ponieważ kiedy tylko będziesz chciał, obudzisz się w Diaspar — w swoim własnym czasie.

Jeserac, z umysłem chłonnym jak gąbka, wszedł posłusznie za Yarlanem Zeyem do wnętrza budynku. Jakieś wspomnienie czy echo wspomnienia ostrzegało go, że stanie się teraz coś, przed czym kiedyś kulił się ze strachu. Nie odczuwał jednak lęku. Nie tylko czuł się chroniony przez świadomość, iż nie jest to realne doświadczenie, ale i obecność Yarłana Zeya wydawała się talizmanem przeciwko wszelkim niebezpieczeństwom, jakie mogą mu zagrażać.

Zatrzymali się w milczeniu przed długim cylindrem, który, jak wiedział Jeserac, może wynieść go z miasta w podróż, która kiedyś tak go przerażała. Ruchomymi drogami zjeżdżało na dół kilkoro ludzi i oprócz nich w pobliżu nie było nikogo. Kiedy jego przewodnik wskazał otwarte drzwi, Jeserac zawahał się nie dłużej niż chwilę na progu, po czym wszedł odważnie do środka.

— Widzisz, jakie to łatwe — powiedział z uśmiechem Yarlan Zey. — Teraz odpręż się i pamiętaj, że jesteś bezpieczny — nic ci się nie może stać.

Jeserac wierzył mu. Leciutki dreszczyk emocji przeszedł mu po plecach tylko wtedy, gdy wlot tunelu ruszył w ciszy w jego kierunku, a maszyna, w której siedział, nabierając szybkości pomknęła poprzez wnętrze Ziemi. W swym pragnieniu porozmawiania z niemal mityczną postacią z przeszłości zapomniał o wszystkich lękach, jakie go prześladowały.

— Czy nie wydaje ci się dziwne — zaczął Yarlan Zey — że chociaż przestworza są dla nas

otwarte, usiłujemy zagrzebać się w Ziemi? To początek choroby, której koniec obserwujesz w swoim stuleciu. Ludzkość próbuje się ukryć; boi się tego, co znajduje się w kosmosie, i niedługo zamknie wszystkie drzwi prowadzące do wszechświata.

— Ale przecież widziałem nad Diaspar statki kosmiczne — powiedział Jeserac.

— Już ich nie zobaczysz. Utraciliśmy kontakt z gwiazdami i niedługo opuścimy nawet planety. Marsz w tamtą stronę zajął nam miliony lat — ale powrót do domu tylko kilka stuleci. A niebawem wycofamy się też z niemal całej powierzchni samej Ziemi.

— Dlaczego to robicie? — spytał Jeserac. Znał odpowiedź, jednak coś skłoniło go do zadania tego pytania.

— Potrzebujemy schronienia, które osłoniłoby nas przed dwiema dręczącymi nas obawami — lękiem Śmierci i lękiem Przestrzeni. Jesteśmy ludźmi chorymi i nie chcemy już udzielać się we wszechświecie — a więc wmawiamy sobie, że on nie istnieje. Widzieliśmy szalejący wśród gwiazd chaos i pragniemy spokoju i stabilizacji. Diaspar musi więc zostać zamknięte, aby nie mogło doń wtargnąć nic nowego.

Zaprojektowaliśmy miasto, które znasz, i sfalszowaliśmy przeszłość, aby ukryć nasze tchórzostwo. Och, nie byliśmy pierwszymi, którzy tak postąpili — byliśmy jednak pierwszymi, którzy zrobili to tak dokładnie. Przeprojektowaliśmy duszę człowieka, ograbiając ją z ambicji i gwałtowniejszych namiętności, tak aby był zadowolony ze świata, który teraz posiadał.

Budowa miasta i wszystkich jego maszyn trwała tysiąc lat. Każdy z nas, po wykonaniu wyznaczonego mu zadania, poddany został zabiegowi wymazania wszystkich wspomnień. Do jego mózgu wprowadzono dokładnie zaprojektowaną matrycę fałszywych wspomnień, a jego osobowość zapamiętana została w układach pamięci miasta i przechowywana w niej, dopóki nie nadejdzie czas jej wywołania.

I tak w końcu nadszedł dzień, kiedy w Diaspar nie było ani jednego żywego człowieka; był tylko Centralny Komputer wykonujący wydane mu rozkazy i kontrolujący Banki Pamięci, w których spaliśmy. Nie było nikogo, kto miałby jakikolwiek kontakt z przeszłością i od tego momentu rozpoczęła się nasza historia.

Potem, jeden po drugim, w z góry ustalonej kolejności, wywoływani byliśmy z układów pamięci i znowu obdarzani ciałem.

Jednak niektórzy z nas już od samego początku mieli wątpliwości. Wieczność to długi okres; zdawaliśmy sobie sprawę z ryzyka związanego z niepozostawieniem żadnego wyjścia i całkowitym odcięciem się od wszechświata. Nie mogliśmy przeciwstawiać się powszechnej woli, pracowaliśmy więc w tajemnicy, dokonując modyfikacji, które uznaliśmy za konieczne.

Odmieńcy byli naszym pomysłem. Mieli pojawiać się w długich odstępach czasu i jeśli pozwolą na to okoliczności, badać, czy poza Diaspar istnieje coś, z czym warto się skontaktować. Nigdy nie myśleliśmy, że upłynie tyle czasu, zanim jednemu z nich powiedzie się — ani nie spodziewaliśmy się, że ten sukces będzie tak wielki.

Pomimo stłumienia krytycyzmu, charakterystycznego dla marzeń sennych, Jeserac zdziwił się, że Yarlan Zey może rozprawiać z taką swadą o wydarzeniach, które miały rozegrać się za miliard lat. To wszystko było bardzo pogmatwane... nie wiedział, w jakim punkcie czasu i przestrzeni właściwie się znajduje.

Podróż dobiegała końca, ściany tunelu nie umykały już w tył z tak karkołomną szybkością. Yarlan Zey zaczął mówić szybciej i z jego głosu przebijał teraz władczy ton, czego Jeserac wcześniej nie zauważył.

— Przeszłość się skończyła; na lepsze czy gorsze dopięliśmy swego. Kiedy zostałeś stworzony,

Jeseracu, obarczono cię strachem przed światem zewnętrznym i w ten sposób zmuszono do pozostania w mieście. Ten strach dzieli z tobą każdy mieszkaniec Diaspar. Teraz wiesz, że lęk ten był bezpodstawny, że został ci sztucznie narzucony. Ja, Yarlan Zey, który cię nim obarczyłem, zwalnię cię teraz z jego okowów. Rozumiesz?

Głos Yarlana Zeya przybierał coraz bardziej na sile, aż w końcu zdawał się rozbrzmiewać w całym kosmosie. Podziemny wagon rozmażywał się i drżał wokół Jeseraca, jak gdyby sen zbliżał się do końca. Gdy jednak wizja zbladła i zniknęła, wciąż słyszał ten grzmiący mu w mózgu głos.

— Już się nie boisz, Jeseracu. Już się nie boisz.

Piął się z wysiłkiem ku jawie jak nurek dążący z głębin oceanu z powrotem na powierzchnię. Yarlan Zey znikł, i panowała dziwna pustka. Przemawiały doń głosy, które znał, ale których nie mógł rozpoznać, i czuł, jak podpierają go ręce przyjaciół. Potem, jak nagły brzask, powróciła fala rzeczywistość.

Otworzył oczy i zobaczył stojących obok Alvina, Hilvara i Gerane. Nie zwracał jednak na nich uwagi; jego umysł zbyt był zaprzątnięty cudem, który roztaczał się teraz przed nim — panoramą lasów i rzek i błękitnego sklepienia otwartego nieba.

Był w Lys i nie bał się.

Nikt mu nie przeszkadzał i ta beczasowa chwila odciskała na zawsze swe piętno w jego mózgu. Upewniwszy się wreszcie, że to rzeczywistość, zwrócił się do towarzyszy:

— Dziękuję, Gerane — powiedział. — Nie wierzyłem, że się uda.

Psycholog, z malującym się na twarzy wyrazem zadowolenia, dokonywał drobnych regulacji w małej, unoszącej się obok niego maszynie.

— Napędziłeś nam trochę strachu — przyznał. — Raz czy dwa zaczynałeś zadawać pytania, na które nie można było odpowiedzieć logicznie, i bałem się, że będę musiał przerwać sekwencję.

— No a przypuśćmy, że Yarlan Zey by mnie nie przekonał — co byś wtedy zrobił?

— Przetrzyimalibyśmy cię w stanie nieświadomości i zabrali z powrotem do Diaspar, gdzie obudziłbyś się, naturalnie nie wiedząc nawet, że byłeś w Lys.

— A ten obraz Yarlana Zeya, który wprowadziliście do mego mózgu — ile z tego, co powiedział, było prawdą?

— Sądzę, że większość. Dużo więcej uwagi przykładalem do tego, aby moja mała Saga była przekonująca, a nie historycznie ścisła, ale Callitrax przejrzał ją i nie wychwycił żadnych błędów. Wchodzi do niej na pewno wszystko, co wiemy o Yarlanie Zeyu i początkach Diaspar.

— A więc teraz możemy naprawdę otworzyć miasto — zapalił się Alvin. — To może jeszcze potrwać, ale w końcu będziemy w stanie zneutralizować ten lęk i każdy, kto zechce, będzie mógł opuścić Diaspar.

— To potrwa jeszcze długo — powiedział oschle Gerane. — I nie zapominaj, że Lys nie jest na tyle duże, aby pomieścić miliony dodatkowych ludzi, jeśli wszyscy postanowią tu przybyć. Nie sądzę, aby było to prawdopodobne, ale należy się liczyć z taką ewentualnością.

— Ten problem rozwiąże się sam — odparł Alvin. — Może i Lys jest małe, ale świat jest szeroki. Dlaczego mamy pozostawić go pustyni?

— A więc wciąż marzysz, Alvinie — wtrącił z uśmiechem Jeserac. — Zastanawiałem się właśnie, co ci zostało do roboty.

Alvin nie odpowiedział; to pytanie coraz natarczywiej dręczyło go przez ostatnie kilka tygodni. Gdy schodzili ze wzgórza, kierując się w stronę Airlee, pogrążony w myślach, szedł za przyjaciółmi z tyłu. Czyż wieki, które nadejdą, będą jednym długim pasmem rozczarowań?

Odpowiedź spoczywała w jego rękach. Dopełnił swego przeznaczenia; teraz będzie mógł zacząć

žyc.

Rozdział 26

W świadomości, że długo pożądaný cel został w końcu osiągnięty i że życie zmieni teraz swój kształt w dążeniu do realizacji nowych zamierzeń, tkwi jakiś nieokreślony żal. Alvin czuł ten żal spacerując wśród lasów i pól Lys. Nie towarzyszył mu nawet Hilvar, ponieważ są chwile, kiedy człowiek musi być sam.

Nie włączył się bez celu, chociaż nie wiedział, która z wsi będzie jego następnym przystankiem. Nie szukał określonego miejsca, ale nastroju, natchnienia na nową drogę życia. Diaspar nie potrzebowało go teraz; ferment, który zasiał w mieście, działał szybko i nie mógł już przyspieszyć ani spowolnić zachodzących tam zmian.

Ta spokojna kraina też się zmieni. Ostatnio często się zastanawiał, czy w swej nieprzepartej chęci zaspokojenia własnej ciekawości nie postąpił źle otwierając starożytne drogi pomiędzy obiema kulturami. Jednak dobrze na pewno się stało, że Lys dowiedziało się, iż ono również, tak jak Diaspar, powstało na fundamencie strachu i fałszu.

Czasami zastanawiał się, jaki kształt przybierze nowe społeczeństwo. Wierzył, że Diaspar wydobędzie się w końcu z więzienia komórek pamięci i powróci znowu do cyklu życia i śmierci. Hilvar był pewien, że można do tego doprowadzić, jednak jego wyjaśnienia były zbyt skomplikowane, aby Alvin mógł je zrozumieć. Może nadejdą znowu czasy, kiedy do Diaspar powróci miłość.

Czy tego właśnie, zastanawiał się Alvin, zawsze w mieście brakowało? Czy tego właśnie szukał? Wiedział teraz, że chociaż ambicja i ciekawość zostaną już zaspokojone, pozostaje nadal tęsknota za uczuciem. Nikt nie żył prawdziwie, dopóki nie zaznał tej syntezy miłości i pożądania, o której istnieniu nawet nie marzył, zanim nie przybył do Lys.

Jako pierwszy od miliarda lat człowiek spacerował po planetach Siedmiu Słońc. Niewiele to jednak dlań znaczyło; czasami myślał, że oddałby wszystkie swoje dokonania za możliwość usłyszenia płaczu dziecka, o którym wiedziałby, że jest jego.

W Lys w ciągu jednego dnia mógł znaleźć wszystko, czego mu brakowało; wśród tych ludzi wyczuwał ciepło i zrozumienie, o które trudno było w Diaspar. Ale zanim spocznie, zanim znajdzie spokój, musi podjąć jeszcze jedną decyzję.

W jego rękach spoczywała teraz wielka potęga. Była to odpowiedzialność, której kiedyś szukał i przyjął z ochotą, ale teraz wiedział, że nie zazna spokoju, dopóki się od niej nie uwolni. Pozbycie się jej byłoby jednak nadużyciem zaufania...

Podjął decyzję w wiosce wąziutkich kanałów, leżącej nad brzegiem rozległego jeziora. Kolorowe chatki, zdające się kołysać na kotwicy na łagodnych falach, tworzyły scenę niemal nierzeczywistej piękności. Tutaj było życie i ciepło, i komfort — wszystko, czego brakowało wśród wyludnionych wspaniałości Siedmiu Słońc.

Pewnego dnia ludzkość znowu będzie gotowa do wyruszenia w kosmos. Jaki nowy rozdział zapisze Człowiek wśród gwiazd? Alvin nie wiedział tego; to nie była jego sprawa — jego przyszłość leżała tu, na Ziemi.

Ale zanim odwróci się plecami do gwiazd, odbędzie jeszcze jeden lot.

Kiedy Alvin sprawdzał ciąg wznoszącego się statku, widoczna już była krzywizna planety, a miasto było zbyt odległe, aby rozpoznać w nim dzieło człowieka. Niebawem zobaczą linię brzasku w jej nie kończącym się marszu przez pustynię. Wokół i ponad nimi świeciło tysiące gwiazd, wciąż jasnych pomimo utraconej chwały.

Hilvar i Jeserac milczeli domyślając się, po co Alvin odbywa ten lot i dlaczego poprosił ich, aby

mu towarzyszyli, ale nie byli tego całkowicie pewni. Żaden nie miał ochoty rozmawiać w obliczu roztaczającej się pod nimi wyludnionej panoramy. Ta pustka przygnębiała obu i Jeserac poczuł nagłą złość na ludzi przeszłości, którzy przez swe niedbalstwo pozwolili umrzeć pięknu Ziemi.

Żywił nadzieję, iż Alvin nie myli się twierdząc, że wszystko można jeszcze zmienić. Energia i wiedza wciąż istniały — trzeba było tylko chęci i woli, aby zawrócić stulecia i doprowadzić do tego, żeby oceany znowu toczyły swe fale. Głęboko pod ziemią wciąż była woda; jeśli znajdzie tego potrzeba, można również zbudować instalacje do jej sztucznego wytwarzania.

Tyle było do zrobienia w nadchodzących latach. Jeserac zdawał sobie sprawę, że przyszło mu żyć na przełomie dwóch epok; wyczuwał wokół przyspieszający znów puls ludzkości. Trzeba było stawić czoło wielkim problemom — ale Diaspar im sprosta. Poprawianie błędów przeszłości potrwa wieki, ale kiedy dobiegnie końca, Człowiek odzyska wszystko, co utracił.

Czy aby na pewno wszystko? Trudno uwierzyć, że znowu podbije Galaktykę, a jeśli nawet, to po co?

Z zadumy wyrwał go Alvin i Jeserac odwrócił wzrok od ekranu.

— Chciałem, żebyście to zobaczyli — powiedział cicho Alvin. — Możecie już nigdy nie mieć po temu okazji.

— Nie opuszczasz chyba Ziemi?

— Nie; nie chcę już latać w kosmos. Nawet jeśli w Galaktyce przetrwała jakaś cywilizacja, to wątpię, czy warto jej szukać. Tyle jest do zrobienia tutaj; teraz wiem, że to mój dom i nie zamierzam go porzucić.

Spojrzał w dół, na wielkie pustynie, ale zamiast nich widział oczami wyobraźni wody, które istniały na ich miejscu miliony lat temu. Człowiek na nowo odkrył swój świat i jeśli na nim pozostanie, znowu uczyni go pięknym. Potem...

— Nie jesteśmy gotowi, aby wyruszyć ku gwiazdom, i upłynie dużo czasu, zanim znowu będziemy mogli podjąć to wyzwanie.

Zastanawiałem się, co powinienem zrobić z tym statkiem; jeśli pozostanie tu, na Ziemi, wciąż będzie mnie kusilo, żeby z niego skorzystać i nigdy nie zaznam spokoju. Nie mogę go jednak zniszczyć. Został mi powierzony w zaufaniu i muszę go wykorzystać z pożytkiem dla świata.

Postanowiłem więc, co następuje. Zamierzam wysłać go poza granice Galaktyki z robotem w charakterze pilota, aby dowiedział się, co się stało z naszymi przodkami — i, jeśli to możliwe, w poszukiwaniu czego opuścili nasz wszechświat. To musiało być dla nich coś cudownego, jeśli porzucili tak wiele, aby za tym podążyć.

Bez względu na długość tej podróży robot nigdy się nie zmęczy. Pewnego dnia nasi kuzyni odbiorą moje przesłanie i dowiedzą się, że czekamy na nich tu, na Ziemi. Oni wrócą i mam nadzieję, że do tego czasu będziemy ich wari, niezależnie od tego, jak będą wielcy.

Alvin zamilkł patrząc w przyszłość, którą kształtował, ale której mógł nigdy nie oglądać. Podczas gdy Człowiek zajmie się przebudową swego świata, ten statek będzie przemierzał mroczną otchłań dzielącą galaktyki i powróci dopiero za tysiące lat. Może będzie tu jeszcze, żeby go powitać, ale jeśli nawet nie, to i tak był rad.

— Uważam, że mądrze postępujesz — odezwał się Jeserac. I nagle, po raz ostatni, nawiedziło go echo dawnego lęku. — Ale przypuśćmy — dodał — że statek nawiąże kontakt z czymś, czego nie chcemy poznać... — urwał w pół zdania rozpoznając źródło swych obaw i uśmiechnął się z przymusem, odpędzając ostatnie widmo Najeźdźców.

— Zapomniałeś — powiedział Alvin, biorąc jego słowa bardziej serio, niż się Jeserac spodziewał — że niedługo będziemy mieć do pomocy Yanamonda. Nie wiemy, jakimi

możliwościami dysponuje, ale chyba wszyscy w Lys uważają, że są one potencjalnie nieograniczone. Czyż nie tak, Hilvarze?

Hilvar nie odpowiedział od razu. Prawdą było, że Yanamond jest kolejną wielką zagadką, znakiem zapytania, który, jeśli pozostanie na Ziemi, stać będzie zawsze przed przyszłością ludzkości. Było niemal pewne, że ewolucja Yanamonda ku świadomości już została przyspieszona dzięki jego kontaktowi z filozofami Lys. Pokładali oni wielkie nadzieje w przyszłej współpracy z dziecinnym superumysłem wierząc, iż zdołają skrócić te eony, których wymagałby jego naturalny rozwój.

— Nie jestem pewien — przyznał Hilvar. — To tylko intuicja. — Mógł dodać więcej, ale nie zrobił tego. Te sprawy nie nadawały się do dyskusji i chociaż wiedział, że Alvin nie wyśmiałby jego marzeń, to nie odważył się wyjawić ich nawet swemu przyjacielowi.

Pewien był, że jest to coś więcej niż tylko marzenie i że będzie go to zawsze prześladowało. Ta myśl zakiełkowała w jego mózgu podczas tego nie dającego się opisać niesamowitego kontaktu, który nawiązał z Yanamondem. Czy Yanamond wiedział, jakie musi być jego samotne przeznaczenie?

Pewnego dnia energia Czarnej Słońca wyczerpie się i uwolni ono swojego więźnia. A wtedy, na granicy wszechświata, gdzie sam Czas zwalnia swój bieg, aby się wkrótce zatrzymać, pośród trupów gwiazd Yanamond musi się zmierzyć z Szalonym Umysłem.

To starcie może zaciągnąć kurtynę na samo Tworzenie. Będzie to jednak starcie, z którym Człowiek nie będzie miał nic wspólnego i którego wyniku nigdy nie pozna...

— Patrzcie! — wykrzyknął nagle Alvin. — To właśnie chciałem wam pokazać. Rozumiecie, co to oznacza?

Statek wisiał teraz nad biegunem i planeta pod nimi była idealną półkulą. Patrząc w dół, na linię brzości, Jeserac i Hilvar dostrzegli w pewnym momencie zarówno wschód, jak i zachód Słońca po przeciwległych stronach świata. Symbolika tego zjawiska była tak jednoznaczna i tak uderzająca, że tę chwilę mieli zapamiętać na całe życie.

W tym wszechświecie zapadała noc; cienie wydłużały się ku wschodowi, który nie zazna nowego świtu. Ale gdzie indziej gwiazdy były wciąż młode, światło poranka pojawiało się nadal; a drogą, którą niegdyś przebył, Człowiek znowu pewnego dnia pójdzie.

Spis treści

[Strona tytułowa. 1](#)

[Rozdział 1. 4](#)

[Rozdział 2. 9](#)

[Rozdział 3. 13](#)

[Rozdział 4. 17](#)

[Rozdział 5. 25](#)

[Rozdział 6. 29](#)

[Rozdział 7. 33](#)

[Rozdział 8. 40](#)

[Rozdział 9. 47](#)

[Rozdział 10. 54](#)

[Rozdział 11. 64](#)

[Rozdział 12. 71](#)

[Rozdział 13. 81](#)

[Rozdział 14. 86](#)

[Rozdział 15. 91](#)

[Rozdział 16. 96](#)

[Rozdział 17. 104](#)

[Rozdział 18. 111](#)

[Rozdział 19. 119](#)

[Rozdział 20. 126](#)

[Rozdział 21. 135](#)

[Rozdział 22. 142](#)

[Rozdział 23. 147](#)

[Rozdział 24. 151](#)

[Rozdział 25. 158](#)

[Rozdział 26. 163](#)